

# Senne Manowce

## NORTON ANDRE



calibre 0.7.28

ANDRE NORTON

Senne Manowce

PRZEŁOZYŁA BOGUMILA KANIEWSKA

TYTUŁ ORYGINALU PERILOUS DREAMS

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZABAWKI TAMISAN

I

-Ma certyfikat od samej Matki Foost, Lordzie Starrexie, jest prawdziwa fantazjotwórczynia, jej sny to przygody do dziesiątej potęgi! Jabis stał się nachalny, niemal zbyt nachalny, za bardzo nalegał. Tamisan zachnęła się w myślach i, nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, obrzuciła wszystkich błyskawicznie spojrzeniem spod przymkniętych powiek. Ta transakcja dotyczyła przede wszystkim jej, była towarem, o którym mówiono, choć ona sama nie miała tu nic do powiedzenia.

Miejsce, w którym się znalazła, wyglądało jak typowa podniebna wieża. Podpory wznoszące ją wysoko ponad poziom Ty-Kry były cienkie i tak dobrze ukryte, że zdawało się, iż konstrukcja unosi się w powietrzu. Z żadnego z okien nie dostrzegano się jednak rzeczywistego widoku na zewnątrz, w każdym umieszczony był inny pejzaz przedstawiający - jak się domyślała - inne planety. Może niektóre z nich zainspirowały, czy nawet stworzyły jakieś sny... Pośrodku puszystego, miękkiego niczym zielona run dywanu stała wygodna sofa, na której - pół siedząc, pół leżąc - spoczywał właściciel zamku.

Jabisowi nie podsunęto nawet rozkładanego stolika, stali również dwaj mężczyźni towarzyszący Lordowi Starrexowi. Obaj byli ludźmi, nie androidami - co od razu sytuowało ich pana w klasie kredytowych krezusów. Jeden z nich wyglądał, zdaniem Tamisan, na osobistego strażnika Lorda, ale strój drugiego - młodszego i szczuplejszego, o nienasyconych ustach - prawie dorównywał szatom mężczyzny na sofie i tylko nieznaczna różnica wskazywała na to, że jego pozycja rodowa była nieco niższa. Tamisan starała się chłonąć wszystko, co widziała, i zachować to w sobie na przyszłość. Fantazjotwórczynie zwykle nie zwracały uwagi na otaczający je świat, były zbyt zagubione we własnych kreacjach, by obchodziła je rzeczywistość. Tamisan zmarszczyła brwi. Tak, była fantazjotwórczynia. Jabis i Matka Foost dobrze o tym wiedzieli. Ten próżniak na sofie też może się o tym przekonać, jeśli tylko zapłaci tyle, ile od niego zadano. Była jednak kims jeszcze, kims więcej, choć sama jeszcze nie wiedziała kim. Jej matka okazała się na tyle mądra, by ukryć to, co różniło jej córkę od innych dziewcząt z Roju Matki Foost - one nie potrafiły tak gładko wracać ze snów do świata rzeczywistości. Niektóre musiały być karmione, ubierane, otaczane opieką; wyglądały, jakby utraciły świadomość posiadania ciała!

-Fantazjotwórczyni przygod. - Lord Starrex unosił ramiona, a miękkie obicie sofy natychmiast zmieniło kształt, tak reagując na jego poruszenie, by zapewnić mu jak największą wygodę. - Sny przygodowe są trochę dziecięce.

Tamisan poczuła w sobie iskry gniewu, ale opanowała się. Dziecinne? Zaprzagnęła pokazać mu, jak "dziecinny" sen potrafi stworzyć, by złapać w pułapkę swego klienta.

Jednak Jabis wydawał się nie wzruszony tą poniżającą uwagą człowieka, który mógł mu zapłacić; w jego oczach było to tylko logiczne posunięcie handlowe.

-Skoro zyczysz sobie fantazjotwórczyni klasy E... - Wzruszył ramionami, zdobywając się na drobna beczelność. - Choc zamawiales w Roju klasę A.

Czyżby był aż tak pewny swego? - zastanawiała się Tamisan. Musiał dysponować jakimiś ukrytymi informacjami, które dawały mu całkowitą pewność, Jabis potrafił bowiem płaszczyć się i człogac, jeśli uznał, że pomoże mu to zyskać jeden lub dwa płatki kredytu.

-Kas, ile jest wart ten twój pomysł? - spytał obojętnie Starrex. Młodszy z mężczyzn przesunął się o krok czy dwa do przodu - to z jego powodu znalazła się tutaj.

Lord Kas był kuzynem właściciela tej wspaniałej posiadłości, choć z pewnością - Tamisan odkryła to wcześniej - nie posiadał żadnej władzy. Jednak to, że Starrex spoczywał na sofie, nie było wynikiem lenistwa, lecz tego, co ukrywała polyskliwa, luźna, jedwabna szata okrywająca połowę jego ciała. Dla człowieka, który nigdy już nie będzie chodzić o własnych siłach, możliwości fantazjotwórczyni mogły okazać się prawdziwą rozkoszą.

-Ma dziesięć punktów na skali - przypomniał mu Kas. Czarne brwi, które nadawały twarzy Lorda surowy wygląd, unosiły się lekko.

-To aż tak?

Jabis szybko skorzystał z okazji.

-Aż tak, Lordzie Starrexie, z całego wylegu tego roku ona osiągnęła najwięcej punktów.

To dlatego... z tego właśnie powodu, oferujemy ją Waszej Lordowskiej Mosci.

-Nie płacę za same słowa - odparł Starrex. Jabis nie stracił rezonu.

-Dziesięć punktów, drogi Lordzie, wyklucza pokazy. Jak sam wiesz, Roj nie wystawia fałszywych świadectw. Nie sprzedawałbym jej wcale, gdyby nie to, że mam pilne interesy na Brok i muszę tam natychmiast wyjechać. Miałem propozycję od samej Matki Foost, by ten egzemplarz zatrzymać i przeznaczyć wyłącznie do wydzierzawiania.

Tamisan założyłaby się, gdyby tylko miała o co, albo z kim, że te walke wygra jej wuj.

Wuj? Tamisan nie mogła znieść myśli, że jest połączona więzami krwi z tym marnym ludzkim insektem z poodartą zmarszczkami twarzy, wiecznie rozbieganymi oczyma i chudymi dłońmi z przykurczonymi palcami, przywodzącymi jej na myśl szpony wysunięte po lup. Jej matka na pewno w niczym nie przypominała wujaszka Jabisa, w przeciwnym wypadku jej ojciec nie mógłby przecież znaleźć w niej nic, co kazałoby mu dzielić z nią łóżko (i to nie przez jedną noc, lecz przez pół roku). Nie po raz pierwszy jej myśli skierowały się ku tajemnicy własnego pochodzenia. Jej matka nie tworzyła snów, ale miała siostrę, która na nieszczęście (dla stanu rodzinnego majątku) zmarła w Roju podczas stymulacji, jako fantazjotwórczyni klasy E. Jej ojciec pochodził z innego świata, był obcym, choć przypominał człowieka na tyle, by móc się z ludźmi krzyżować. Zniknął znowu w innych światach, kiedy jego zadania gwiazdnej włości stała się tak silna, że nie mógł jej już opanować. Gdyby nie to, że dość wcześnie zaczęła wykazywać swój talent do tworzenia snów, ani wuj Jabis, ani nikt inny z chciwego klanu Yeska nie poświęciłby jej nawet jednej myśli po tym, jak jej matka umarła na błękitną zarazę.

Była zatem mieszancem i miała dość inteligencji, by domyslić się, że właśnie z tego powodu jej talent różni się od talentu innych mieszkanki Roju. Zdolność do tworzenia snów była wrodzonym darem. Dla fantazjotwórczyni o mniejszej mocy oznaczała ona właściwie nieobecność w świecie, toteż były one w większości bezużyteczne. Te natomiast, które potrafiły projektować sny i przez połączenie wprowadzać w nie innych, osiągały wysoką cenę, w zależności od siły i stałości swych kreacji. Fantazjotwórczyni klasy E, które wywoływały erotyczne, lubieżne światy, były niegdyś cenione wyżej niż sniące przygody.

Jedną w ostatnich latach rolę się odwróciły, choć nikt nie mógł zgadnąć, jak długo to potrwa.

Szczęściarze, którzy byli w posiadaniu fantazjotwórczyni klasy A, wyprzedawali w pośpiechu swój towar w obawie przed zmianą popytu.

Ukryty talent Tamisan polegał na tym, że nigdy nie zanurzała się bez reszty w krainie snu - jak ci, których do niej przenosiła. Poza tym (a odkryła to całkiem niedawno i zachowała wyłącznie dla siebie) potrafiła - do pewnego stopnia - panować nad połączeniem z nimi, nie była zatem bezwolnym więźniem zmuszonym do tworzenia snów zgodnie z cudzymi pragnieniami. Zastanowiła się, co wie o Lordzie Starrexie. To, że Jabis sprzedaje ją ktoremuś z właścicieli podniebnych zamków, było jasne od samego początku, tak jak oczywiste było, że przyjmie tę ofertę którą uzna za najkorzystniejszą. Jednak, choć w Roju krążyły najrozwnięjsze pogłoski, Tamisan wierzyła, że większość opowieści o zewnętrznych światach jest przesadzona i zniekształcona. Fantazjotwórczyni były przecież odgródzone ścianami i dachem od prawdziwego, normalnego życia, ich talenty rozwijano i doskonalono podczas długich sesji z projektorami tri-dee oraz tasmami informacyjnymi.

Starrex, odmiennie niż inni członkowie kasty, z której się wywodził, był człowiekiem czynu. Łamiąc kastowe zwyczaje wyprawiał się w długie podróże poza granice świata.

Dopiero jakis tajemniczy wypadek sprawil, ze stal sie kaleka, skrzetnie kryjacym wszakze swe niesprawne ciało. W niczym nie przypominal tych, ktorzy zwykle odwiedzali Roj w poszukiwaniu towaru. Choc wlasciwie to Lord Kas ja tu sprowadzil. Lezacy na sofie mezczyzna, szczelnie okryty wspanialym jedwabiem, byl postacia zagadkowa.

Pomyslala, ze stojac, gorowalby nad Jabisem, wygladal tez na muskularnego, ale przypominal przy tym raczej swego straznika niz kuzyna. Twarz o dziwnym obrysie - szeroka w czole i koscicach policzkowych, gwaltownie zwezajaca sie ku waskiej, mocnej brodzie - nadawala jego glowie niezwykle, lekko klinowaty ksztalt. Mial sniada skore, niemal tak sniada jak zwykly astronauta. Jego ciemne wlosy byly obciete tak krotko, ze wygladaly jak ciasna, aksamitna czapeczka. Roznil sie pod tym wzgledem od noszacego dluzsze kosmyki krewnego.

Lutraxowa tunika w rdzawym odcieniu miedzi byla uszyta ze znakomitego materialu, lecz mniej zdobna niz ta, ktora mial na sobie mlodszy z mezczyzn. Jej rekawy byly bardzo luzne i szerokie, a gdy od czasu do czasu wznosil dlonie do ramion, zsuwajaca sie materia odslaniala naga skore. Zdobil go tylko jeden klejnot - kamien korosu osadzony w kolczyku niczym kropla zwisajaca ponizej linii szczeki. Tamisan nie wydawal sie przystojny, ale bylo w nim cos pociagajacego. Moze sprawiala to aura aroganckiej pewnosci siebie, sprawiajaca wrazenie jakby przez cale zycie przywykl do tego, ze spelniano wszystkie jego zyczenia.

Jednak nigdy przedtem nie spotkal sie z Jabisem, wiec moze nawet teraz Lord Starrex moglby sie czegos nauczyc.

Wijac sie i krecac, oburzony lub przekonujacy, wykorzystujac kazda sztuczke ze swego bogatego doswiadczenia w handlu i ciemnych interesach, Jabis kontynuowal transakcje.

Wzywal bogow i demony, by swiadczyli o jego bezinteresownym pragnieniu sprawienia Lordowi radosci. Udawal zrozpaczzonego z powodu niezrozumienia jego prawdziwych intencji. Bylo to wspaniale przedstawienie i Tamisan starala sie zapamietac co smaczniejsze kawalki i przechowac je w swoim zbiorze wykorzystywanym w tworzeniu snow. To bylo znacznie bardziej fascynujace niz tri-dee. Zastanawiala sie nawet, dlaczego ten dziejacy sie realnie dramat nie jest dostepny w Roju. Moze Matka Foost i jej pomocnicy obawiaja sie, ze tak samo jak wszystkie inne okruczosc rzeczywistosci moglyby wytracic sniace z wlasciwego im stanu pogrzenia we wlasnym, snionym swiecie.

Przez chwile odnosila wrazenie, ze Lorda Starrexa rowniez bawi ten spektakl.

Wprawdzie na jego twarzy pojawil sie wyraz znuzenia, ale bylo to normalne w przypadku kazdego, kto kupowal sobie prywatnego fantazjotworce. Wtem, jakby zniecierpliwiony, stanowczym gestem przerwal Jabisowi jedno z jego najgorliwszych blagan o niebianskie poswiadczenie, ze chodzi mu wylacznie o zwrot poniesionych kosztow.

-Czlowieku, jestem zmeczony, wez swoja zaplate i odejdz. - Zamknal oczy na znak

zakonczenia posluchania.

Straznik wyjal zza pasa platek kredytu i wyciagnal dlugie ramie ku Lordowi Starrexowi, ktory odcisnal na nim swoj kciuk, przypieczetowujac transakcje, a nastepnie rzucil kredyt Jabisowi. Platek spadl na podloge, wiec maly czlowieczek musial zeszkrobac go paznokciami.

Tamisan zauwazyla, jak Jabisowi sciemnialy oczy. Nie przepadal za Lordem Starrexem, co, oczywiscie, nie oznaczalo pogardy dla platka kredytu, po ktory musial sie schylic. Wycofujac sie w uklonach, nawet nie spojrzal na Tamisan, stojaca bez ruchu jak android.

Podszedl do niej Lord Kas i lekko dotknal jej reki, jakby sadzil, ze potrzebuje przewodnika.

-Chodz - powiedzial, zaciskajac palce wokol jej nadgarstka. Lord Starrex nie zwracal uwagi na swoj nowy nabytek.

-Jak masz na imie? - Lord Kas mowil wolno, podkreslajac kazde slowo, jakby musial przedzierac sie przez jakas zaslone miedzy nimi. Tamisan domyslila sie, ze mial dotad do czynienia z fantazjotworczykami nizej klasy, ktore zawsze gubia sie w rzeczywistym swiecie. Ostroznosc podpowiedziala jej, by utwierdzic go w przekonaniu, iz tkwi w stanie podobnego oszolomienia. Powoli podniosla glowe, starajac sie sprawiac wrazenie osoby, ktorej z trudem udaje sie skoncentrowac.

-Tamisan - odezwala sie po dluzszej przerwie. - Tamisan.

-Tamisan to ladne imie - mowil jak ktos, kto zwraca sie do nierozgarnietego dziecka.

-Jestem Lord Kas. Chce byc twoim przyjacielem.

Tamisan, uwrazliwiona na najmniejsza zmiane tonu glosu, pomyslala, ze dobrze zrobila, udajac oszolomiona. Kimkolwiek byl ten Kas, na pewno nie darzyl kazdego przyjaznia, zwlaszcza wowczas, gdy nie sluzyl to jego planom.

-Oto twoje komnaty. - Poprowadzil ja w dol holu, ku odleglym drzwiom. Przesunal dlonia po ich powierzchni, aby odsunac lekka zasuwke. Pozniej, trzymajac ja wciaz za reke, wprowadzil Tamisan do wysoko sklepionego pokoju. Zakrzywionej sciany nie przecinalo ani jedno okno. Pomieszczenie mialo owalny ksztalt, a podloga opadala szerokimi, plytkami stopniami az do srodka, gdzie znajdowal sie niewielki basen z fontanna rozpylajaca pachnaca mgla, opadajaca nastepnie do basenu w kolorze kosci. Na stopniach lezalo mnostwo poduszek i poduszczyk w pastelowych odcieniach blekitu i zieleni. Owalne sciany byly pokryte udrapowana jasnoszara siatka z lsniacego zidexu, ozdobiona bladzielonymi paskami i splotami. Komnate urzadzono z ogromna starannoscia. Byc moze Tamisan byla kolejna z zamieszkujacych ja fantazjotworczyk, bo miejsce to okazalo sie wrecz wymarzone do wypoczynku sniacych, wyposazone w luksusy, o jakich nawet w Roju nikomu sie nie snilo.

Jedna ze sciennych draperii uniosła się i pojawiła się pokojowka-android. Jej głowa była spłaszczona kula z szeroko rozstawionymi płytkami oczu i sensorami słuchu - nic więcej nie zakłócało gładkiej powierzchni. Jej nagi korpus o ludzkim kształcie miał barwę kości słoniowej.

-To jest Porpae - powiedział Kas. - Będzie się toba opiekowała. Moja strażniczka - pomyślała Tamisan. Nie wątpiła w to, że android otoczy ją najstaranniejszą, a przy tym niekrepującą opieką, ale wiedziała także, że ta istota w kolorze kości słoniowej stanie pomiędzy nią a nadzieją na wolność.

-Przekazuj jej każde swoje życzenie. - Kas puścił jej dłoń i odwrócił się do drzwi. - Kiedy Lord Starrex zapragnie snić, przysle po ciebie.

-Jestem do usług - wymamrotała i była to właściwa odpowiedź.

Odprowadziła wzrokiem wychodzącego Lorda i spojrzała na Porpae. Tamisan nie bez powodu przypuszczała, że android został tak zaprogramowany, by rejestrować każdy jej ruch.

Czy jednak ktokolwiek stąd uwierzyłby w to, że fantazjotwórczyni chce być wolna?

Tworcy snów pragną tylko snić, sny są całym ich życiem. Opuszczenie miejsca, które zostało stworzone po to, by żyć, snuć, wyglądałoby na samozagładę, o której prawdziwa fantazjotwórczyni nigdy by nie pomyślała.

-Jestem głodna - powiedziała androidowi. - Chcę jeść.

-Będzie jedzenie. - Porpae podeszła do ściany, znów odsunęła siatkę i odsłoniła rzędy guzików, które wciskała w jakims skomplikowanym porządku.

Posilek podano na tacy, każda potrawa w innym - ciepłym lub zimnym - pojemniczku.

Jedząc, Tamisan rozpoznawała dania, które zazwyczaj składały się na dietę twórczyni snów, ale były o wiele lepiej ugotowane i smaczniej podane niż w Roju. Najedzona, wykapała się w łazience, którą Porpae wskazała jej za innym fragmentem ściany z siatki, a potem zasnęła słodko i spokojnie na poduszkach obok basenu, ukolysana szumem wody.

W owalnym pokoju czas tracił swoje znaczenie. Tamisan. jadła, spała, kąpała się i przeglądała tasma tri-dee, które dostarczyła jej Porpae. Gdyby niczym nie różniła się od swych współplemienców z Roju, ten tryb życia byłby dla niej ideałem. Ona jednak niepokoiła się coraz bardziej, gdyż wezwanie, które miało stać się okazją do zaprezentowania całego jej kunsztu, wcale nie nadchodziło. Zdawało się, że nikt z mieszkańców podniebnego zamku nie pamiętał o niej, uwięzionej w owalnej komnacie. Przy drugim przebudzeniu Tamisan stwierdziła, że może zrobić już tylko jedno. Fantazjotwórczyni - jeśli została kupiona na własność, a nie tylko wydzierzawiona z Roju - mogła, a nawet powinna zbadać osobowość

pana, któremu służy. Teraz miała prawo zazać tasm dotyczących Lorda Starrexa.

Byłoby wręcz dziwne, gdyby tego nie uczyniła, toteż poprosiła o nie od razu. Nareszcie dowiędzie się czegoś o Starrexie i jego rodzie.

Kas posiadał niegdyś własną fortunę, którą stracił wskutek jakiegoś kataklizmu, kiedy był jeszcze dzieckiem. Został adoptowany przez ojca Starrexa, głowę klanu i - ponieważ Starrex był kaleką - często występował jako jego zastępca. Straznik nazywał się Ulfilas i był najemnym żołnierzem pochodzącym z innego świata. Lord przywiózł go z jednej ze swych gwiazdnych wypraw. Sam Starrex jednak, poza garstką dostępnych jej faktów, pozostawał tajemnicą. Tamisan ogarnęła wątpliwość, czy w ogóle przypomina on innych ludzi.

Porzucił świat w poszukiwaniu odmiany, ale to, co znalazł, nie ukoilo tkwiącego w nim znużenia życiem. Zapisy dotyczące jego spraw prywatnych były bardzo skąpe. Tamisan uwierzyła w to, że traktował swych domowników jak narzędzia, których można użyć w potrzebie lub je wyrzucić, gdy stają się zbędne. Nie był zony, a jego związek z kobietą, którą wprowadził do swego domu (bardziej na skutek jej wysiłków niż własnych starań), okazał się nietrwały i prędko dobiegł końca. Był tak zamknięty w skorupie obojętności, że fantazjotwórczyni zaczęła się zastanawiać, czy osoba kryjąca się za tą zewnętrzną powłoką jest jeszcze prawdziwym człowiekiem. Próbowała też domyslić się, dlaczego zezwolił, by Kas sprowadził ją tu jako kolejny przedmiot. Właściciel musi współpracować z twórcą snów, jeśli pragnie jakichś efektów, a z tego, co Tamisan wyczytała na tasmach, wynikało, że obojętność Starrexa stanie się prawdziwą barierą w osiągnięciu tego celu.

Im więcej było tych złych wieści, tym bardziej stawały się one dla niej wyzwaniem. Leżała na brzegu basenu, rozmyślając, i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jej rozważania odbiegają od surowych ćwiczeń umysłu fantazjotwórczyni z dziesięcioma punktami. Dostarczenie Starrexowi snu, który mógłby go urzec, było prawdziwym wyzwaniem. Miała działać we śnie, ale to co już przecwoczyła, choć bardzo trudne, nie zadowoliłoby go. Właśnie dlatego musi stworzyć zupełnie nowe przygody. Żyli w świecie, który wiedział już niemal wszystko, podroże gwiazdne stały się faktem; a tasm - choć nie podawały żadnych szczegółów na temat podróży Starrexa w zaswiaty - świadczyły jednak o tym, że Lord doświadczył już bardzo wiele z tego, co oferował jego czas. Mogło go pociągnąć tylko nieznanne. Tasm nie wskazywały na to, by tkwiły w nim jakies skłonności do perwersji czy sadyzmu. Wiedziała też, że gdyby je miał, to nie ona powinna znaleźć się tutaj.

Poza tym Kas zaznaczyłby to, składając zamówienie w Roju.

Na zwitkach przeszłości znalazła wiele opowieści, z których czerpać mógł każdy, ale także wiele takich, które trzeba było odkryć na nowo, przypomnieć. Opowieści o przyszłości były już zużyte, wyswiechtane. Tamisan sciągnęła ciemne brwi ponad przymkniętymi oczyma. To banalne, wszystko, o czym myślała, było banalne! Czemu jednak miałaby się tym tak przejmować. Nie wiedziała nawet, skąd wzięło się w niej to ogromne pragnienie, by



stworzyc taki sen, ktory - gdy zostanie wezwana - wytraci Starrexa z jego skorupy, udowodni mu, ze warta jest swojej rangi. Moze prowokowal ja czesciowo fakt, ze jej nie wzywa, nie chce przekonac sie o jej zdolnosciach, sugerujac swoja obojetnoscia, ze nie sadzi, by miala cos do zaoferowania.

Mogla sciagnac tu z Roju cala biblioteke tasm, najbogatszy zbior na gwiazdnych szlakach.

Coz, statki kosmiczne wyruszaja na wyprawy tylko po to, by dostarczyc informacji, ktore posluzą za inspiracje tworczyiom snow!

Przeszlosc... wrocila myslami do historii. Wszystko wydawalo sie zbyt banalne dla jej celow. Czym wlasciwie jest historia. To seria zdarzen, czynow jednostek albo narodow.

Czyny wywoluja jakies skutki. Tamisan usiadla wsrod poduszek. Skutki! Jeden czyn miewal czasem bardzo dalekosiezne rezultaty: smierc wladcy, zwycieska bitwa, pomyslna ladowanie statku kosmicznego albo fakt, ze nie udalo mu sie wyladowac. Zatem...

Pomysl, ktory majaczyl w jej glowie, zyskal konkretny ksztalt. Przeszlosc kryje wiele szlakow wedrownych poza jedyna, znana juz droga. Tylko jak to wykorzystac? Ma mnostwo mozliwosci. Dlonie Tamisan zacisnely sie na materii okrywajacej ja szaty.

Zamyslila sie.

Potrzebowala wiecej czasu... Juz nie draznila, obojetnosc wladcy. Przyda jej sie kazda minuta tej obojetnosci.

-Porpae!

Android wylonil sie zza siatki.

-Potrzebuje pewnych tasm z Roju. - Tamisan zawahala sie. Mimo zniecierpliwienia musi wygladac na spokojna i pewna siebie. - Wiadomosc dla Matki Foost: przeslac Tamisan u Starrexa zwoje historii Ty-Kry z ostatnich pieciuset lat.

Byla to historia miasta lezacego u stop podniebego zamku. Zacznie od malego wycinka, ale bedzie mogla sprawdzic swoj pomysl. Dzis tylko jedno miasto, jutro swiat, a pozniej... kto wie? Moze Układ Sloneczny? Opanowala swoj entuzjazm. Miala duzo do zrobienia, potrzebowała rejestratora notatek i czasu. Na Cztery Cycki Vlasty... oby sie tylko udalo!

Wszystko wskazywalo na to, ze czasu jej wystarczy, choc na samym dnie umyslu Tamisan tlil sie niepokoj, ze w kazdej chwili moze zostac wezwana do Starrexa. Nadeszly jednak tasmy wraz z rejestratorem z Roju. Przejrzala jedna po drugiej i zanotowala wszystko, czego sie dowiedziala. Kiedy zwrocila tasmy, goraczkowo przegladala notatki. Ten pomysl stal sie dla niej czymś wiecej niz tylko sposobem dogodzenia wymagajacemu panu, pochlonal ja calkowicie. Ulegla mu tak, jakby byla tworczyinia nizszej rangi, calkowicie

uwiklana we własna kreacje. Kiedy to spostrzegła, przerwała badania i wróciła do tasm dotyczących domu Starrexa, by dowiedzieć się jeszcze czegoś na temat Lorda. Akurat zdążyła na powrót zając się swoimi notatkami, kiedy w końcu została wezwana. Nie wiedziała, ile czasu spędziła już w zamku. Dni i noce w owalnym pokoju wyglądały bowiem tak samo. Tylko staranna Porpae czuwała nad jej posiłkami i odpoczynkiem. Kiedy przyszedł Lord Kas, w porę przypomniała sobie rolę zagubionej twórczyni snów.

-Dobrze ci, szczęśliwie? - Użył konwencjonalnego powitania.

-Cieszę się życiem.

-Wola Lorda Starrexa jest, by wstąpić w sen. - Wyciągnął do niej rękę, przyjęła jego gest. - Lord Starrex ma wielkie wymagania, postaraj się jak najlepiej, fantazjotwórczyni - brzmiało to jak ostrzeżenie.

-Fantazjotwórczyni sni - odparła cicho. - Dzielić się może tym, co wysni.

-To prawda, ale trudno zadowolić Lorda Starrexa. Postaraj się, fantazjotwórczyni.

Nie odpowiedziała. Pociągnął ją za sobą do szarego szybu i zjechali na dół.

Pokój, do którego weszli, był przygotowany w sposób dobrze jej znany: sofa dla twórcy snów, druga dla tego, kto miał wstąpić w sen, między nimi maszyna łącząca. Poza tym jednak znajdowała się tu jeszcze trzecia sofa. Tamisan spojrzała zdziwiona. - Sni dwoje, nie troje. Kas potrząsnął głową.

-Lord Starrex życzy sobie, aby sen dzielił ktoś jeszcze. To maszyna nowego typu, bardzo silna. Została dobrze sprawdzona.

Kim będzie ten trzeci? Ulfilas? Czy Lord Starrex uważa, że musi zabrać do snu swego osobistego strażnika? Drzwi rozsunęły się znowu i wszedł Lord Starrex. Szedł sztywno, jedna noga zwisała mu bezwładnie, jakby nie mógł ugiąć jej w kolanie ani zapanować nad mięśniami, wspierał się ciężko na androidzie. Gdy słuzacy ułożyli go na sofie, nawet nie spojrzał na Tamisan, ale skinął lekko głową Kasowi.

-Ty również zajmij swoje miejsce - rozkazał.

Czyżby Starrex bał się uspienia i potrzebował kuzyna, który najwyraźniej snił już przedtem, jako podpory? Siegając po koronę snu, Starrex odwrócił się do niej, naśladując ruch, jakim umieszcza krag na własnej głowie.

-Zobaczmy, co możesz nam pokazać. - W jego głosie slychac było nutkę wrogosci, to własnie bylo wyzwanie: pokaze mu, ze potrafi stworzyc to, w co on nie potrafi uwierzyc.

Teraz nie mogła sobie pozwolić na myśli o Starrexie, musiała skoncentrować się na śnie. Stworzy go. Jej dzieło z pewnością będzie równie doskonałe, jak marzenia o nim.

Tamisan zamknęła oczy, zebrała całą wolę, sięgnęła do swojej fantazji wszystkie watki utkane przez jej badania i zaczęła snuć sen. Przez chwilę, przez mgnienie oka, jego początek przypominał wszystkie inne sny, by natychmiast...

Nie przyglądała się mu, z uwagą i skupieniem obserwując, jak zrecznie go wysnuwa. Nie, było to tak, jakby pajeczyna snu nagle stała się rzeczywista i uwięziła ją, tak jak blekitnoskrzydłego drotaila w sieć pajaka-olbrzyma. Tamisan nigdy jeszcze tak nie sniła, strach tak gwałtownie ścisnął ją za gardło i piersi, że krzyknęłaby z przerażenia, gdyby była w stanie wydobyć z siebie głos. Spadała w dół, z jakiegoś wysoko położonego punktu, wreszcie upadła w jakieś krzaki, które zamortyzowały upadek, choć i tak była potłuczona i polprzytomna. Leżała bez ruchu, z trudem łapiąc powietrze, bała się otworzyć zacisnięte powieki, by nie zobaczyć, że rzeczywiście zablakowała się w jakimś przeraźliwym koszmarze zamiast snu.

Leżąc, powoli przezwyciężała oszłomienie i próbowała zapanować nie tylko nad swoim strachem, ale także nad swoją mocą fantazjotwórczyni. Po chwili ostrożnie otworzyła oczy.

Zobaczyła nad sobą bladezielone niebo, ze smugami wąskich, szarych chmur przypominających zacisnięte, długie palce. Było tak rzeczywiste, jak tylko rzeczywiste może być niebo, jakby spacerowała pod nim w swoim własnym czasie i miejscu. We własnym czasie i miejscu! Przypomniła sobie o pomysle, który miał zadziwić Starrexa.

Zaraz powróciła jej jasność umysłu. Czyżby przez swoją pracę nad nową teorią, przez próbę zmiany snów i wytracenia z pancerza obojętności znudzonego mężczyzny, spowodowała to właśnie?

Tamisan usiadła, krzywiąc się z bólu, i rozejrzała dookoła. Znalazła się na samym szczycie niewielkiego wzniesienia. Otaczająca ją kraina wyglądała na dziką. Trawa była gładka i przystrzyżona, widniejące tu i ówdzie skały reka rzeźbiarza zmieniła w postaci, niektóre z nich były okryte szatami z kwitnącej winorośli. Inne, zupełnie nagie skalne figury zdawały się poważne i zadumane. Ich twarze kierowały się ku murom u stóp wzgórz. Rzeźby różniły się kształtem - niektóre nieco przypominały człowieka, inne - raczej potwory.

Tamisan przyjrzała się im dokładniej, ale nie przywodziły jej na myśl niczego. Nie pochodziły z jej wyobraźni.

Za murem widac było skupisko jakichś budowli. Dotąd miała okazję oglądać tylko podniebne zamki, te tutaj - mniejsze i bardziej materialne - wyglądały ciężko i niezgrabnie. Najwyższy nie przekraczał trzech pieter. Tutejsi mieszkańcy nie wznosili budowli do gwiazd, lecz raczej ściśle przywierali je do ziemi. Tylko gdzie było to "tutaj"? Nie pochodziło z jej snu. Tamisan zamknęła oczy i skoncentrowała się na początku zaplanowanego snu. Owszem,

mieli udac sie do innego swiata, zrodzonego w jej wyobrazni, ale to nie byl ten swiat. Jej zamysl byl bardzo prosty, choc, o ile wiedziala, nikt jeszcze nie wykorzystal go w swoich snach. Opieral sie na przekonaniu, ze historia swiata zmieniala sie w przeszlosci wielokrotnie. Wybrala sobie z niej trzy kluczowe punkty i zaczela zastanawiac sie nad tym, co by sie stalo, gdyby los odwrocil ich zakonczenia. Teraz, zaciskajac powieki, by nie widziec rzeczywistosci, w ktora spadla, Tamisan z najwyzsza determinacja starala sie skoncentrowac na tych wybranych wydarzeniach. "Powitanie Krolowej Krolow Ahta" - wymienila pierwsze z nich. Co by sie stalo, gdyby pierwszy statek kosmiczny po wyladowaniu nie zostal uznany za zjawisko nadprzyrodzone, a male krolestwo, w którym dotknal ziemi, nie zobaczyloby w jego zalodze bostw, lecz powitalo ich zatrutymi strzalami, jakich pozniej uzywano w kosmosie? To byl jej pierwszy wybor. "Zagubienie >>Wedrowca<< - drugie. Byl to statek przewozacy kolonistow, który zboczył znacznie ze swojego kursu na skutek usterki komputera i musiał natychmiast ladowac, by ocalic pasazerow. Gdyby ten blad nie zaistnial i "Wedrowiec" wyladowal u celu, zakladajac nowa kolonie, co staloby sie dalej? "Smierc Sylta Slodkoustego przed dotarciem do Oltarza Ictio". Wieszczek mogl nigdy nie zyskac swej srogiej mocy, ktora doprowadzila do wybuchu krwawego powstania, przenoszacego sie od swiatyni do swiatyni, i pogrাজারego w ciemnosciach trzy czwarte swiata.

Wybrala te wydarzenia, choc nawet nie byla pewna, czy jedno nie zniosloby drugiego. Sylt poprowadzil powstanie przeciwko osadnikom z "Wedrowca". Gdyby nie powitanie...

Tamisan nie byla pewna, probowala tylko odnalezc porzadek wydarzen, by potem stworzyc w wyobrazni nowy, wynikajacy z tych zmian swiat. Znow otworzyla oczy. To nie byl stworzony przez nia swiat. Nikt nie naraza sie na siniaki i otarcia we wlasnym snie, nie siedzi na mokrej ziemi, czujac podmuchy wiatru, i nie pozwala, by pierwsze krople deszczu moczyly mu wlosy i ubranie. Uniosla obie dlonie ku wlosom. Co z korona snu? Jej palce natrafily na splot z metalu, brak bylo jednak kabli. Po raz pierwszy przypomniała sobie wtedy, ze kiedy to sie stalo, byla polaczona z Starrexem i Kasem.

Tamisan zerwala sie na rowne nogi, niemal spodziejajac sie, ze zobaczy ich obu gdzies w poblizu. Byla jednak sama, a deszcz padal coraz gesciej. Obok muru stala jakas zadaszona budowla, pobiegla tam. Trzy rzezbione spiralnie kolumny podtrzymywaly niewielki dach.

Schronienie bylo pozbawione scian, Tamisan skulila sie na samym srodku, aby uniknac kropel niesionych przez wiatr. Nie mogla pozbyc sie uczucia, ze to nie jest sen, lecz najprawdziwsza rzeczywistosc.

A jesli... jesli mozliwe bylo wysnienie czegos, co istnieje naprawde? Tamisan ogarnal paniczny lek, starala sie rozwazyc taka ewentualnosc. Czyzby znalazla sie w realnie istniejacym Ty-Kry, a wydarzenia, ktore odmienila swoja wyobraznia, mialy zajsc naprawde?

A jeśli tak, to czy mogłaby powrócić tam, skąd przyszła, rozsnuwając ich odwrotną wizję?

Zamknęła oczy i skoncentrowała się. Poczula skurcz żołądka i zrobiło się jej niedobrze.

Próbowała się uwolnić, ale schwytała ją nagle szarpnięcie. Podjęła próbę raz jeszcze, z tym samym rezultatem. Trzesąc się od mdłości, zrezygnowała z dalszych prób.

Wzdrygnęła się, otworzyła oczy i popatrzyła na deszcz. Znowu zaczęła rozmyślać nad tym, co się stało. Przykre uczucie, jakiego doznała przed chwilą, przypominało to, które towarzyszyło przerywaniu snu.

To zaś mogło oznaczać, że jednak śni. Najwyraźniej też jest w tym śnie uwięziona. W jaki sposób? I dlaczego? Zmrużyła lekko oczy, choć wpatrywała się w samą siebie, a nie w zroszony deszczem ogród przed sobą. Kto ja tu więzi?

Przypuszczmy... przypuszczmy, że jeden z tych, którzy przygotowywali się do tego, by dzielić ze mną sen, znalazł się tu także... może obaj... choć nie w tym samym miejscu, co ja... muszę zatem ich odnaleźć. Musimy wrócić razem, bo inaczej zaginiony pociągnie za sobą pozostałych. Znaleźć ich i to od razu!

Dopiero teraz spojrzała na wilgotną szatę, która przylepiła się do jej smukłego ciała. Nie był to popielaty kostium, jaki zwykły nosić twórczynię snow. Ten strój był długi, omiatał jej kostki. Był fioletowy, a jego ciemny odcień wydał się Tamisem niezwykle stosowny i przyjemny. Od wycięcia aż po kolana biegł pas pokryty niezwykle misternym haftem, tak zdobnym i skomplikowanym, że niezwykle trudno było określić jego wzór. Dopiero po dłuższej chwili przyglądania się, spostrzegła, ku swemu zdumieniu, że przypomina on nie tyle misterny splot tkaniny, co stronicę manuskryptu. Widywała takie na kasetach video z zamierzchłej przeszłości. Nitki haftu miały barwę metalicznej zieleni i srebra, tylko gdzieś tam musniete jasniejszym odcieniem fioletu. Jej talie opasywał łańcuch ze srebra spięty szeroką klamrą wysadzaną fioletowymi klejnotami. Przy pasie wisiała zamykana sakiewka. Od kibici aż po dekolt sukni była ozdobiona srebrnymi sznureczkami, przeplecionymi przez obwiedzione metalem oczka. Jej rękawy były długie i szerokie, przecięte od łokci na cztery części, które opadły swobodnie, gdy podniosła rękę, aby zdjąć koronę.

To, co zdjęła, w niczym jednak nie przypominało czapeczki ściśle dopasowanej do jej gładko ostrzyżonej głowy. Była to opaska ze srebra. Umieszczone w jej wnętrzu druciki i pasy zbiegały się w kształt stożka, dodając jej stopy czy dwie wzrostu. Miejsce, w którym się łączyły, było przepięknie wyrzeźbionym ptakiem, ze skrzydłami wzniesionymi niczym do lotu i oczyma z Isniących, drogocennych kamieni. Ptak ten był tak wykonany, że kiedy odwróciła koronę, długa ptasia szyja poruszyła się, a skrzydła uniosły lekko.

Tak ją to zaskoczyło, że upuściła koronę, sądząc, że może być żywa. Wkrótce jednak rozpoznała ten przedmiot, przypomniała sobie tasmy z przeszłości. Był to flakar Olawy.

Fakt, że miała go na głowie, oznaczał tylko jedno - była Glosem, Glosem Olawy, trochę kapłanka, trochę czarodziejka, a także - co dość dziwne - magiczka. Miała szczęście: jako Głos Olawy mogła wędrować dokąd tylko chciała, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, nie budząc podejrzeń - wędrowki były zwykłą częścią jej życia. Zanim znów nałożyła koronę, Tamisan przesunęła dłoń po głowie. Nie poczuła pod palcami szorstkiej, krótkiej czupryny fantazjotwórczyni, lecz miękkie, długie, nasączone wilgocią kosmyki, które wijąc się, opadały na jej czoło, na karku natomiast związane były w kitkę. Zwykle, oczywiście, obmyślała swój wygląd w snach. Tym razem jednak nic takiego nie stworzyła. Glosem Olawy została również wbrew własnej woli. Jednak Olawa pochodził z czasów panowania Królowej Królów.

Czyżby w jakiś sposób cofnęła się w czasie? Im wcześniej dowie się, gdzie i w jakim czasie się znalazła, tym lepiej.

Deszcz przestał padać i Tamisan opuściła swoje schronienie. Ujęła długą spodnicę w obie dłonie i zaczęła wspinać się na szczyt wzgórza. Tam obracała się powoli, próbując odnaleźć jakiś dowód na to, że nie została wrzucona do tego dziwnego świata w pojedynkę.

Nie zobaczyła jednak nic poza figurami wyrytymi w skalach i niewielkimi zagonami sporych kwiatów. W dole widac było mur i zadaszone miejsce, które właśnie opuściła.

Jednak z tyłu, za plecami, miała następne zbocze, prowadzące na wyższe wzgórze - jego szczyt uwieczony był dachem, widocznym tylko częściowo, zasłaniała go bowiem ściana drzew oarnu. Na obu końcach dach wygięty był ku gorze, co wywoływało dziwaczne wrażenie, że budynek został wyposażony w parę uszu. Gładka powierzchnia miała zieloną barwę, Isniaca nawet mimo chmur na niebie. Rozglądając się na prawo i lewo, Tamisan dostrzegła załamania muru, fragmenty skalnych postaci, kwiatów i krzewów. Podciągnęła wyżej sukienkę i ruszyła w górę stoku, aby odnaleźć jakąś drogę, czy może ścieżkę, która zaprowadziłaby ją na szczyt.

Akurat omijała gąszcz potężnych krzaków obsypanych wielkimi, fioletowymi kwiatami, gdy natknęła się na to, czego szukała. Droga była szeroka wybrukowana niewielkimi, barwnymi otoczkami, mocno osadzonymi w twardej powierzchni traktu. Ciągnęła się od otwartej bramy u stop wzgórza ku budowli. W kształcie tego budynku Tamisan odnajdywała coś znajomego, choć nie bardzo wiedziała co. Być może przypominał jej coś widzianego na tasmach tri-dee. Drzwi domu miały ten sam kolor jaskrawej zieleni co dach, ale ściany były kremowożółte, przecięte w regularnych odstępach przez wąskie, długie okna, sięgające od ziemi po sam dach. Akurat zatrzymała się, zastanawiając się, gdzie widziała już taki budynek, gdy z domu wyszła jakaś kobieta. Ona także miała na sobie długą suknię ze stanikiem ozdobionym sznureczkami i rekawami przeciętymi do łokcia. Jej szata była zielona, w identycznym odcieniu co drzwi domu i kiedy stała na ich tle, widac było tylko głowę oraz ramiona. Machała energicznie ręką i Tamisan nagle pojęła, że to ona sama przyzywana jest tym gestem, jakby się jej tu spodziewano. Znowu poczuła lek. Przywykła do spotkań i rozstań w snach, ale przecież zawsze odbywały się one według jej zamysłu,

nigdy nie prowadziły do celu, który był jej obcy. Ludzie, których sniła, byli niczym marionetki, jak elementy układanki, przesuwane tu i tam, zawsze zgodnie z jej wola.

-Tamisan, pośpiesz się! Oni czekają! - zawołała kobieta.

Tamisan poczuła nagłą chęć, by jak najszybciej ruszyć w przeciwnym kierunku, i tylko potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej na temat swego położenia powstrzymała ją i skłoniła do pójścia w stronę kobiety, choć wiedziała, że może oznaczać to zagrożenie.

-Och, jesteś mokra! To nie jest pora na spacer po ogrodzie. Pierwsza prosi o słowa Głosu. Jeśli ma cię hojnie nagrodzić, nie pozwól, aby straciła cierpliwość!

Uchyliły się drzwi do ciasnej sieni, a kobieta w zieleni skierowała tam Tamisan.

Po chwili dziewczyna znalazła się w obszernej komnacie, gdzie stały ustawione w krąg sofy.

Przy każdej znajdował się mały stół zastawiony potrawami, które właśnie sprzątały pokojowki; posiłek dobiegał akurat końca. W tkwiących pomiędzy kanapami lichtarzach, wysokich jak ona sama, płonęły świece o grubości jej ramienia. Dawały one nie tylko światło, wydzielaly także jakiś słodki zapach. W głównym miejscu kregu stało krzesło z wysokim oparciem i rozpostartym nad nim baldachimem. Siedziała tam kobieta z pucharem w dłoni.

Futro, okrywające jej ramiona, zasłaniało niemal całkowicie szate, tylko gdzieś tam blask świec odbijał się w złotej materii. Pod kapturem, w tym samym, metalicznym kolorze, widoczna była tylko jej twarz - bardzo pomarszczona twarz staruszki z zapadniętymi oczami.

Tamisan zauważyła, że na sofach siedzieli zarówno mężczyźni, jak i kobiety; te ostatnie zajmowały miejsca bliższe krzesłu sędziwej matrony. Dokładnie naprzeciwko niej stało drugie, równie wspaniałe krzesło, jednak bez baldachimu; przed nim znajdował się stół, na którym, we wszystkich czterech rogach, umieszczono małe miseczki: kremowa, blad różowa, błękitna! zielona w odcieniu morskiej pianki. Wiedza, jaką posiadała Tamisan, okazała się przydatna. Te miseczki służyły magii Głosu, najwyraźniej oczekiwano od niej przepowiedni. Co też uczyniła najlepszego, pozwalając się tu sprowadzić? Czy zdoła udawać tak mądra, by oszukać całe zgromadzenie? - Czuje głód, Glosie Olawy, choć nie brak mi tego, co żywi ciało. To głód ducha - stara kobieta lekko pochyliła się do przodu. Jej głos był wprawdzie stłumiony przez wiek, miał jednak w sobie siłę, siłę człowieka, którego słowa i rozkazy nie znaly sprzeciwu.

Tamisan wiedziała, że będzie musiała improwizować. Była przecież fantazjotwórczynią i w swoich snach tworzyła wiele niezwykłych rzeczy. Mokre spodnice nieprzyjemnym chłodem oblepiły jej nogi, kiedy - nie odpowiadając kobiecie - podeszła do krzesła i usiadła. Szukała pomocy w jakichś ukrytych zakamarkach pamięci, które istniały jakby poza nią sama, choć

jeszcze sobie tego w pełni nie uświadamiała.

-Co chciałabys wiedzieć, Pani z Pierwszych? - Intuicyjnym gestem podniosła ręce i palcami wskazującymi dotknęła prawej i lewej skroni.

-Co mnie czeka... i moich. - Ostatnie dwa słowa brzmiały niemal jak echo.

Tamisań bezwładnie wyciągnęła ręce. Opanowała własne zaskoczenie. Czuliła się tak, jakby powtarzała czynność, której wyuczyła się tak dobrze jak sztuki snu. W lewą dłoń ujęła pełną garść piasku z kremowej miski. Był on o odcień lub dwa ciemniejszy niż ścianki naczynia.

Nagłym ruchem nadgarstka podrzuciła ziarenka, które rozsypały się po powierzchni stołu.

Wszystko, co robiła, działo się poza jej świadomością, tak jakby kierował nią jakiś inny umysł. Jednak po sposobie, w jaki kobieta na krześle pochylona się do przodu, po ciszy, jaka zapanaowała wokół, domyśliła się, że postępuje prawidłowo. Choć jej mózg nadal nie wydawał jej żadnych poleceń, prawa ręka Tamisań powędrowała ku błękitnej misce z niebieskim piaskiem. Tym razem nie wyrzuciła go. Podniosła tylko zacisniętą pięść z ziarenkami piasku i powoli wypuszczała strugę na stół. Piaskowa nitka rysowała wzór na utworzonym wcześniej tle. Był to jakiś znak, nie tylko przypadkowo rozrzucone ziarna.

Piasek ułożył się w kształt miecza z gardą rekojesci i lekko zakrzywiona klinga zwezajająca się ku ostrzu. Teraz jej ręka powędrowała do różowego naczynia. Piasek, po który sięgnęła, był ciemnoczerwony, żywszy od innych barw. Rysowała nim jakby świeżo utoczona krew.

Znowu podniosła zacisniętą pięść, a strugę wyciekającą z jej dłoni nakreśliła sylwetkę statku kosmicznego! Jego zarys różnił się nieco od tych, jakie zdarzało się jej w życiu widywać, ale bez wątpliwości był to kosmiczny pojazd narysowany na stole. Sprawiał wrażenie, jakby bał się zbliżyć do miecza. Choć może było na odwrót?

Usłyszała wokół siebie jęk zaskoczenia, czy może strachu. Nie wydała go jednak kobieta, która prosiła o przepowiednię. Musiał wyrwać się ktoś z towarzyszących jej osób, zapatrzonych w obrazy, jakie malowała lotnym piaskiem. Prawa dłoń Tamisań sięgnęła teraz do czwartej miski. Tym razem nie nabrała pełnej garści piasku, lecz wzięła tylko spora szczyptę. Podniosła ją wysoko, zamkniętą pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, i wypuszczyła. Zielone drobinki spłynęły w dół... i utworzyły krąg, w którym brakowało jednego fragmentu. Wpatrzyła się w ten znak, a on zdawał się zmieniać pod wpływem jej wzroku.

Doskonale znalazła ów symbol; westchnęła bezwładnie. Był to, uproszczone wprawdzie, ale doskonale czytelne godło Dworu Starrexa. Jego obwód nakładał się na skraj statku i ostrze miecza.

-Odczytaj to! - zazała ostro dostojniczka.



Tamisan nie wiedziała, skąd pojawiły się w jej głowie słowa:

-Ten miecz to orez wzniesiony w obronie Ty-Kry.

-Z pewnością, z pewnością- zaczęto szeptać po sofach.

-Statek sprowadza niebezpieczeństwo.

-Ten przedmiot, statek? To nie jest statek.

-To statek z gwiazd.

-Biada nam! Biada! - To już nie był szept, lecz donosny krzyk pełen przerażenia. - Jak za naszych ojców, kiedy musieliśmy walczyć ze złymi. O Ahta! Niech duch twój stanie się puklerzem dla naszych ramion, mieczem dla naszych dłoni!

Władczyni uciszyła ich jednym gestem.

-Dosc! Błagania o pomoc czcigodnych duchów mogą przynieść ukojenie, nic jednak nie pomogą tym, którzy sami nie chwycą za bron. Od czasów Ahty przybywały tu już statki kosmiczne i rozprawialiśmy się z nimi - jak sami chcieliśmy. Gdy przybędzie ten następny, będziemy już uprzedzeni, co oznacza, że będziemy także uzbrojeni. Co jednak, o Glosie Olavy, oznaczać ma ten zielony znak, który zdziwił nawet ciebie?

Tamisan zyskała bezcenny czas na przemyślenie wszystkiego. Jeśli prawda było - a mogła się tego tylko domyślać - że nie uda się jej opuścić tego świata bez tych, których zabrała tu ze sobą, to musi ich odnaleźć. Wiedziała, że tutaj ich nie ma i właśnie dlatego ostatnia przepowiednia musi posłużyć jej celom.

-Zielony znak oznacza zwycięzce, wojownika, który rozstrzygnie nadchodzącą bitwę.

Pozostanie on jednak nie znany nikomu, dopóki znak sam go nie wskaże - a pomoc w tym może tylko ktoś obdarowany widzeniem. - Popatrzyła matronie w oczy i zadrzała lekko, wcale nie dlatego, że spowijające ją szaty jeszcze nie wyschły. Zadrzała, gdyż dwoje chmurnych oczu obserwowało ją chłodno i domagało się dowodów.

-A zatem owego kogoś z darem widzenia, o kim mówisz, powinien przewidzieć całe TyKry, całą krainę aż do jej granic?

-Jeśli będzie trzeba. - Tamisan zachowała powagę.

-Może to być długa podróż, z licznymi niebezpieczeństwami. A jeśli owego statek przybędzie, zanim odnajdzie się wojownik? Myślę, Glosie Olavy, że przyszłość miasta, królestwa, ludzi została zawieszona na bardzo, bardzo cienkiej nici. Szukaj więc, jeśli taka twoja wola, choć sadzę, że posiadamy bardziej sprawdzone metody rozprawiania się z podniebnymi

natretami. Zapamiętamy jednak, Glosie, że nas ostrzegalas.

Opuszcila rece na oparcia fotela i wsparla sie na nich, by wstac. Wszyscy zgromadzeni uczynili to samo, a dwie kobiety pospieszyly, aby mogla sie wesprzec na ich ramionach.

Odeszla, nie patrzac na Tamisan, ktora nadal tkwila na swoim krzesle. Poczula sie nagle wyczerpana, tak jak niegdys, gdy sen gasl, a ja opuszczaly wszystkie sily i mysli. Ten sen jednak sie nie skonczyl, ciagle siedziala przy stole, na którym widnialo piaskowe malowidlo, i wpatrywala sie w zielony znak, nadal uwiklana w siec innego swiata.

Kobieta w zieleni powrocila, niosac w obu dloniach puchar, ktory podala Tamisan.

-Pierwsza udaje sie do Wysokiego Zamku, do Krolowej Krolow. Skrecila w prowadzaca tam droge. Napij sie, Tamisan, moze sama Krolowa poprosi cie o przepowiednie.

Tamisan? Tak brzmialo jej prawdziwe imie, a ta kobieta nazwala ja nim dwukrotnie. Skad znano jej imie w tym snie? Wciaz nie smiala zadac tego pytania ani zadnego z wielu innych, na ktore bedzie musiala otrzymac odpowiedz. Napila sie tylko z pucharu. Goracy, wonny napoj natychmiast uwolnil jej cialo od dreszczy. Tak wielu rzeczy bedzie musiala sie dowiedziec, tak wiele poznac, ale nie odkryje ich, jesli nie przekona sie najpierw, kim sama jest.

-Jestem zmeczona.

-Miejsce, w ktorym mozesz odpoczac, jest juz gotowe - odparla kobieta. - Wystarczy, ze tam pojdiesz.

Tamisan podniosla sie niemal z takim samym trudem, co stara arystokratka.

Krecilo jej sie w glowie i musiala przytrzymac sie krzesla. Potem ruszyla za gospodynia, pelna rozpaczliwej nadziei, ze jednak czegos sie dowie.

III

Czy we snie mozna spac, a moze snic? - zastanawiala sie Tamisan, ukladajac sie wygodnie na sofie, wskazanej przez kobiete. Jednak gdy odlozyla korone i przytulila glowe do walka, ktory sluzyl za poduszke, znow ogarnal ja niepokoj, mysli przemykaly jej przez glowe i wiklaly sie w tak nieslychana gmatwanine, ze poczula zawrot glowy, jak wtedy gdy podniosla sie z krzesla wieszczki. Czy wyrysowane w piasku godlo Starrexa, nakladajace sie na miecz i statek kosmiczny, ma oznaczac, ze znajdzie to, czego szuka, dopiero wtedy, kiedy ten swiat spotka sie ze swiatem z gwiazd? Moze w jakis sposob rzeczywiscie znalazla sie w przeszlosci i bedzie swiadkiem pierwszego przybycia do Ty-Kry podroznikow z kosmosu? Jednak ta arystokratka wspominala o poprzednich spotkaniach zakonczonych po mysli wladcow Ty-Kry. Zamiarem Tamisan bylo stworzenie wspolczesnego swiata takim, jakim bylby, gdyby historia potoczyla sie inaczej. To, co otaczalo ja teraz, pochodziło

głównie z przeszłości.

Czyżby miało to oznaczać, że gdyby nie powstał tamten, jej własny świat, Ty-Kry pozostałoby niemal nie zmienione przez całe wieki?

Rzeczywiste, zmyślone, dawne, nowe. Straciła panowanie nad snem. Nie przesuwiała już marionetek zgodnie ze swoją wola, lecz tkwiła uwieczona w pasmie zdarzeń, których nie potrafiła przewidzieć ani zapanować nad nimi. I jeszcze ta kobieta dwa razy nazwała ją jej prawdziwym imieniem, a ona sama, bez udziału woli, dokonała obrzędu jasnowidzenia, tak jakby dokonywała go już wielokrotnie. Czy to możliwe? Tamisan przygryzła dolną wargę, aż poczuła ból, dokładnie tak samo, jak czuła ból ciała potłuczonego podczas gwałtownego pojawienia się w tym tajemniczym miejscu. Czy mogą zdarzyć się sny tak głębokie, tak doskonale stworzone, by wydawały się rzeczywistością nawet ich twórcy? Czy podzieliła los "zamkniętych" twórczyni snu, nieprzydatnych nawet w Roju? Tych, które w swoim transie przeżywają życie wielokrotnie? Przecież nie była jedną z nich. Obudzić się!

Wyciągnięta na sofie, użyła całych swoich umiejętności, by uwolnić się z tego snu i znów poczuła te niesamowite, ogarniające ją pustkę i mdłości, jakby została wrzucona w próżnię, przywiązana do jakiejś kotwicy, która odbierała wszelką nadzieję na to, że uda się jej wyrwać z tego szaleństwa w bezpieczną przestrzeń świadomości. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: gdzieś w tym dziwnym Ty-Kry znajduje się jeden z tych, którzy przygotowywali się, by dzielić z nią sen, może nawet są tu obaj; a ona musi ich znaleźć, by wrócić.

Im prędzej to się stanie, tym lepiej! Tylko jak zacząć poszukiwania? Choć czuła, że jej ręce i nogi wciąż są tak słabe, że chodzenie sprawia wrażenie przedzierania się przez silną wichurę, podniosła się z sofy. Odwróciła się, by sięgnąć po koronę i... Oslupiała, zobaczywszy swoje odbicie w owalnym lustrze. Postać, która odbijała się w zwierciadlanej tafli, nie była tą Tamisan, która знаła. Nie zmieniła jej ani szata, ani korona.

Była ona zupełnie inną osobą. Od dawna, od kiedy sięgnęła pamięcią, miała jasną cerę i krótko przycięte włosy fantazjotwórczyni rzadko oglądającej światło słońca. Tymczasem twarz kobiety w lustrze była sniada, niemal brązowa. Jej kości policzkowe były szerokie, oczy - ogromne, a usta - bardzo czerwone. Brwi... pochylila się bliżej lustra, żeby sprawdzić, co nadaje im ten dziwny wygląd wysokiego luku, i stwierdziła, że zostały celowo wyrwane albo wygolone. Włosy miały długość przynajmniej trzech palców, ale nie były dobrze znanego, jasnego koloru, lecz ciemne i kędzierzawe. Tamisan nie była więc sobą, a ta obca kobieta nie była też tworem jej wyobraźni. Skoro ona nie była sobą, to logicznie myśleć, ci dwaj, których szuka, również mogą wyglądać zupełnie inaczej. To jeszcze bardziej utrudni poszukiwania.

Czy w ogóle uda się ich rozpoznać?

Przerazona usiadła na posłaniu, wpatrując się w lustro. Nie może pozwalać sobie na lek.

Jesli straci panowanie nad soba, bedzie zgubiona. Nawet w tym nielogicznym swiecie pomoze jej logiczne, jasne myslenie. Na ile prawdziwa byla jej wrozbza? Na pewno nie miala zadnego wplywu na ksztalty, jakie przybieral piasek. Byc moze Glos Olavy byl wyposazony w zdolnosc nadprzyrodzone. Kiedys zabawiala sie czarami w tworzonych przez siebie snach, ale pochodzily one z jej wyobrazni. Czy teraz mogla posluzyc sie nimi swiadomie?

Wygladalo na to, ze jakas nieznana czastka jej osobowosci sluzyla tajemniczym mocom.

Teraz musiala skoncentrowac mysli na jednym z mezczyzn, myslec tylko o nim. Do ktorego z nich popchnie ja senna wierz, do Kasa czy Starrexa? Wszystko, co wiedziala o swoim panu, pochodziło z tasm, a tasm daja tylko powierzchowna wiedze. Nie sposob dobrze poznac czlowieka, przygladajac sie jego, nie do konca zrozumialej, dzialalnosc przez zaslonę, ktora wiecej ukrywa niz pokazuje. Kas rozmawial z nia, czula jego dotyk. Jesli musi wybrac jednego z nich, aby sie stad wydostac, lepszy bedzie Kas.

Tamisan utworzyla w mysli jego wizerunek, tak jak budowala obrazy rozpoczynajace sny.

Potem nagle portret Lorda zamigotal w jej glowie, zmienil sie i zobaczyla innego czlowieka.

Byl wyzszy niz Kas, ktorego znala, ubrany w zolnierska tunike i wysokie buty kosmiczne; rysy twarzy byly slabo widoczne. Obraz zniknal w ulamku sekundy. Statek! W piaskowej wrozbzie znak Starrexa dotykal zarowno statku, jak i miecza. Latwiej bedzie szukac czlowieka na pokladzie statku kosmicznego niz przemierzac ulice obcego miasta, nie posiadajac innej wskazowki poza ta, ze gdzieś tu moze znajdowac sie Starrex w nowym wcieleniu.

Bardzo nikly byl ten punkt, od ktorego miala rozpoczac Doszukiwania: pojazd, ktory mogli, ale nie musial, zmierzac wlasnie ku Ty-Kry, gdzie spotkac go mialo okrutne przyjecie. Co sie stanie, jesli Kas, czy tez jego sobowtor, zginie? Czy zostanie tu uwieziona na zawsze?

Tamisan stanowczo odepchnela od siebie te ponure przypuszczenia. Trzeba myslec o tym, co wazne, a statek jeszcze nie wyladowal. Musiala jednak zyskac pewnosc, ze kiedy przybedzie, ona znajdzie sie wsrod tych, ktorzy beda go "witac".

Wygladalo na to, ze podjecie tej decyzji umozliwilo jej odpoczynek, gdyz zmeczenie, ktore czula wczesniej, powrocilo teraz zwielokrotnione, tak ze upadla z powrotem na sofe i nie pamietala juz nic wiecej, az do momentu, gdy zostala obudzona. Stala nad nia kobieta w zieleni, jedna reka lekko potraszajac ja za ramie.

-Obudz sie, przyslano po ciebie.

Abym snila - pomyslala nieprzytomnie Tamisan - ale obcy pokoj wktrotce calkowicie przywrocil jej swiadomosc.

-Wezwwała cie Pani Pierwsza, Jassa - w głosie kobiety slychac bylo przejecie. - Jej poslaniec, ktory przybyl po ciebie z dwukolka, mowi, ze masz udac sie do Wysokiego Zamku. Moze bedziesz przepowiadac samej Krolowej Krolow! Masz jednak dosc czasu, wywalczylam go dla ciebie, abys mogla sie wykapac, zjesc cos i zmienic ubranie.

Spojrz, przerzucilam moja skrzynie z wyprawa - wskazala na krzeslo, na ktorym lezala rozlozona fioletowa suknia, raczej o barwie wina niz glebokiego fioletu, jaki nosila teraz. - To jedyna z moich szat w odpowiednim, czy tez niemal odpowiednim, kolorze - z czuloscia pogladzila sute faldy ubioru.

-Tylko pospiesz sie - dodala szorstko. - Jako Glos mozesz sobie pozwolic na to, by zyskac czas na przygotowanie sie do wystapienia w tak szacownym towarzystwie, ale jesli sie bedziesz ociagala, wzbudzisz gniew Pierwszej.

W nastepnym pokoju znalazla miednice, wystarczajaco duza na to, by posluzyc jako wanna, a kobieta, poza suknia, przyniosla jej takze swieza bielizne. Gdy Tamisan znow stanela przed lustrem, aby zapiac pas i nalozyc korone Glosu, czula sie jak nowo narodzona, totez probowala podziekowac kobiecie, jednak ta przerwala jej jednym gestem:

-Czy nie pochodzimy z jednego klanu, kuzynko? Czy ktokolwiek moglby powiedziec, ze Nahra nie jest szczodra dla swoich? Caly klan jest dumny z tego, ze znalazl sie w nim Glos, pozwol wiec cieszc sie soba!

Przyniosla przykryte naczynie oraz kielich, a Tamisan pozywila sie potrawa z maki, w ktorej zapieczono suszone owoce i kawalki czegos, co fantazjotwórczyni uznala za siekane mieso. Jedzenie bylo smaczne, zjadla je do ostatniego kesa, wypila tez do dna slodkawocierpki napoj.

-Dobrej drogi, Tamisan, to wielki dzien dla klanu Fermont. Znajdziesz sie w Wysokim Zamku, a moze staniesz przed sama Krolowa. Moze twoja przepowiednia bedzie znakiem dobra, a nie zagrozenia. Choc jestes tylko Glosem, nie zas jedna z Tych, ktore decyduja o losach nas, zyjacych, lecz smiertelnych.

-Przyjmij moje podziekowania za twoja pomoc i zyczliwe slowa - powiedziala Tamisan. - I ja takze mam nadzieje, ze dobry los pokona nieszczescie. - To szczerza prawda, pomyslala, bo musze zlapac ten dobry los i mocno trzymac go obiema rekami, jesli nie chce przegrac tej gry.

Poslaniec Pani Pierwszej, Jassy byl oficerem, jego zebrane do gory wlosy kryly sie pod prazkowanym helmem, tworzac dodatkowa ochrone dla glowy podczas walki. Mial napiersnik z namalowana na nim blekitna podwojna korona Krolowej Krolow i wysuniety do przodu miecz. Wygladal tak, jakby kroczył ulicami miasta juz toczacego jakas wojne.

Pomiedzy dwoma dyszlami powozu stal maly gryf. Czekali takze dwaj uzbrojeni mezczyzni - jeden przy glowie zwierzecia, drugi przytrzymywal zaslony, kiedy oficer pomagal Tamisan

wsiasc do powozu. Opuscil je jednym szarpnieciem, nie pytajac jej o zdanie.

Pomyslala wiec, ze jej wizyta w Wysokim Zamku ma raczej pozostac okryta tajemnica. Przez szpary pomiedzy zaslonami udawalo jej sie dostrzec fragmenty Ty-Kry i, choc wiele bylo dla niej obcych, rozpoznawala i takie, ktore przywracaly jej poczucie rzeczywistosci. Brakowalo tu podniebnych wiez i innych form architektonicznych wprowadzonych przez podroznikow z kosmosu. Jednak ulice, niektore zarosla i kwiaty byly dokladnie takie same jak te, ktore znala przez cale swoje zycie. Wziela gleboki oddech, gdy opuscili miasto i jadac nad rzeka, zblizali sie do Wysokiego Zamku. Byl on czescia takze jej swiata, ale juz jako zrujnowany i bardzo wiekowy zabytek. Zostal czesciowo zniszczony podczas powstania Sylta, mial zla slawe miejsca dotknietego nieszczęściem, odwiedzali go tylko spragnieni sensacji turysci spoza swiata. Tu stal w chwale, wiekszy i bardziej rozlegly niz ten w jej Ty-Kry, jakby te pokolenia, ktore opuscily go w jej swiecie, tu przyglgnely do niego, powiekszajac jego ogrom.

Wysoki Zamek nie byl po prostu budowla, byl miastem. Nie bylo tu jednak sklepow ani budynkow uzytecznosci publicznej. Znajdujace sie tu domy byly siedzibami arystokratow, ktorzy musieli spedzac na dworze spora czesc roku, ich sluzby oraz wielu urzednikow krolestwa. W samym centrum stal budynek, od ktorego pochodzila nazwa tego miejsca - zbior wiez, gorujacych znacznie nad nizszymi budowlami. Jego sciany byly szare przy fundamentach i stopniowo zmienialy barwe, az do glebokiego, pysznego granatu na szczytach. Pozostale domy mialy mury jednolicie szare i ciemnoniebieskie dachy.

Powoz posuwal sie ze skrzypem kol, gryf szedl rownym tempem, pilnowany przez mezczyzne kroczonego u jego lba. Przejechali pod poteznym sklepieniem zewnetrznego muru, potem w gore ulicy pomiedzy domami, ktore sprawialy wrazenie niewielkich na tle wiez, zdawaly sie jednak potezne temu, kto je mijal powozem czy pieszo. Potem byla druga brama, jeszcze wiecej domow, trzecia brama i znalezi sie na otwartej przestrzeni wokol wiez.

Od kiedy wjechali przez pierwsza brame, mineli mnostwo ludzi. Wielu z nich bylo zolnierzami pelniacymi warte, jednak niektorzy nosili inne barwy i znaki.

Tamisan domyslila sie, ze nalezeli oni do swity panow przebywajacych na krolewskim dworze. Tu i owdzie kroczył dumnie jakis lord na czele uzbrojonego orszaku maszerujacego trojkami.

Te demonstracje rozbawily Tamisan. Tak jakby ilosc ludzi depczacych komus po pietach okreslala pozycje w swiecie - pomyslala. Jej wysiadaniu z powozu towarzyszylo wiecej ceremonii niz wsiadaniu. Oficer podal jej ramie, a jego ludzie rzucili sie gwaltownie do przodu, by usunac z jej drogi ekwipaz. W ten sposob i ja owiala mgielka zaszczytu.

Wieze Wysokiego Zamku byly tak przerazajace w swoim ogromie, ze cieszyła sie z eskorty wprowadzajacej ja do ich wnetrza. Im bardziej zaglebiali sie w gaszcz korytarzy,

tym większy ogarniał ją niepokój. Czuli się tak, jakby wstępowała do labiryntu, z którego może nie znaleźć wyjścia, w którym przypadnie na zawsze. Dwukrotnie wspinali się po schodach tak wysokich, że rozboleły ją nogi z wysiłku, aż znaleźli się na poziomie gór.

Tam jej towarzysz wszedł do długiej sali oświetlonej światłem. Przez okna umieszczone tak wysoko nad głową, że nic nie można było przez nie zobaczyć, syciły się tylko nagle promyki.

Tamisa, ta część jej osoby, która należała do tego świata, domyślała się, że znalazła się na Drodze Szlachetnych, a ci, którzy się tutaj zbierają najbliżej, to Trzeci, później Bada, Drudzy, a tam - na samym końcu traktu wyłożonego błękitnym dywanem, po którym szła w ślad za swoim przewodnikiem - zobaczy Pierwszych. Pierwsi siedzieli na krzesłach ustawionych w dwóch polkolistych rzędach, okrytych baldachimami, ponad którymi na trzystopniowym podwyższeniu wznosił się tron. Baldachim nad tronem zwieszał się z podwójnej korony lśniacej od klejnotów. Na stopniach zobaczyła uzbrojonych strażników, w jasnych tunikach, a ich rozpuszczone włosy opadały na ramiona. To właśnie ku tronowi prowadził ją oficer.

Przechodząc wzdłuż rzędów Trzecich, słyszała cichy szmer głosów. Tamisa nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo; pragnęła zobaczyć Królową, bo było już oczywiste, że dostąpi zaszczytu pełnej audiencji. Gdzieś głęboko, wewnątrz niej, tkwiła jakaś isierka niepokoju.

Nie znalazła przyczyny swego leku, poza tym, że czuli, iż czeka ją coś niezwykle ważnego. Była już przy pierwszym rzędzie krzesel i zauważyła, że znakomita większość siedzących na nich stanowią kobiety. Głównie dojrzałe i stare.

Tamisa weszła na stopnie podwyższenia i nie uklekła na jedno kolano jak oficer, lecz podniosła ręce i koniuszkami palców dotknęła brzoju korony na swojej głowie; jednym z tych nagłych błysków rozpoznania uświadomiła sobie bowiem, że ten, którego reprezentuje w tym miejscu, nie kłania się, jak inni, lecz tylko daje znać, iż wie, że Królowej Królów należy się większy szacunek niż pozostałym ludzkim istotom. On jednak służy innym siłom.

Tamisa podniosła wzrok, a Królowa spojrzała na nią badawczo. Fantazjotwórczyni zobaczyła przed sobą kobietę w nieokreślonym wieku, mogła być zarówno młoda, jak i stara. Lata zdawały się nie znaczyć jej twarzy. Jej dorodna postać spowita była w pastelowa, różowa suknie bez ozdób; miała na sobie tylko pas spleciony ze srebrnych lancuchów i przy samej szyi srebrny naszyjnik, z którego zwisały mlecznobiałe klejnoty w kształcie kropel. W jej płomiennie rudych włosach tkwił, ledwie widoczny, diadem z tych samych kamieni. Czy była piękna?

Tamisa nie była pewna, wyczuła jednak jej niezwykłą stanowczość. Choć siedziała spokojnie, otoczona była aurą niespożytej energii, zdradzająca, że to tylko przerwa w jej ważnym, nieustającym działaniu. Była to najbardziej apodyktyczna osoba, jaką Tamisa kiedykolwiek spotkała i natychmiast odezwał się w niej instynkt twórczyni snów.

Sluzenie takiej pani - pomyslala - zniszczy kazda osobowosc i wkrótce ten, kto jej usluguje, staje sie jej blizniaczym odbiciem.

-Witaj, Glosie Olawy, ktora tak dziwne rzeczy wypowiadasz - w tonie Krolowej Krolow kryly sie szyderstwo i wyzwanie.

-Glos, o Wielka, nie mowi nic poza tym, co podano mu do przekazania. - Tamisan gladko znalazla odpowiedz, choc nie ukladala jej swiadomie.

-Tak nas uczono, choc bogowie tez moga czuc sie starzy i zmeczeni. Czy tez spotyka to tylko ludzi? Teraz jednak jest naszym zyczeniem, by nastapila szczesliwa godzina i Olava znowu przemowil. Zatem niech sie stanie!

I tak jakby ostatnie zdanie bylo rozkazem, natychmiast poruszyli sie straznicy na stopniach tronu. Dwoch z nich przynioslo stol, trzeci stolek, czwarty tace z miseczkami wypelnionymi piaskiem. Ustawili to wszystko przed tronem. Tamisan usiadla na stoleczku, podniosla dlone do skroni. Czy to zadziala, czy tez bedzie musiala sama stworzyc z piasku jakis obraz?

Poczula drobne drgnienie nerwow, ale szybko je opanowala.

-Jakie jest twoje zyczenie, o Wielka? - Ucieszyla sie, slyszac swoj spokojny glos bez nuty niepokoju.

-Powiedz, co nas spotka w ciagu nadchodzacych czterech obrotow slonca?

Tamisan czekala. Czy odezwie sie moc, czy zwyciezy ta druga strona jej osobowosci, czymkolwiek byla? Jej reka nawet nie drgnela, roslo w niej natomiast dziwaczne, niepokojujace przeczucie. Czula sie tak, jakby jej czolo opasywala jakas petla, ktora zmuszala jej glowe do obrotu wokol wlasnej osi. Posluszna temu nakazowi, odwrocila glowe i spojrzala tam, gdzie to cos kazalo jej skierowac wzrok. Nie ujrzala nic, poza rzodem zolnierzy stojacych na stopniach podwyzszenia, zaden z nich nie patrzyl na nia, zaden z nich nie wydawal sie jej rozpoznawac. Starrex! Uchwycila sie nadziei, ze on tam jest, ale ani jeden zolnierz nie przypominal jej mezczyzny, ktorego szukala.

-Czy Olava spi? A moze zapomnial juz o swym dalekim Glosie? - Slowa Krolowej Krolow zabrzmialy surowo. Tamisan oderwala sie od swoich mysli i znowu spojrzala na tron i siedzaca na nim kobieta.

-Glos nie odzywa sie, jesli nie zazyczy sobie tego sam Olava - odparla coraz bardziej zdenerwowana.

Zacisnela lewa dlon, bezwiednie, jakby nie panowala nad wlasnym cialem, lecz pozostawala w mocy nieznaney sily. Gdy jednak siegnela po bezowy piach i podrzucila go, by uformowac tlo obrazu, byla juz zupełnie spokojna. Tym razem nabrala z kolei do dloni nie



blekitnych, lecz czerwonych ziaren i rozrzuciła je w kształt statku kosmicznego, nad którym wznosił się jeden czerwony okrag. Zawahała się krótko, nim sięgnęła po zielony piasek, wzięła spora szczyptę i znowu pod statkiem pojawił się znak Starrexa.

-Jedno słońce - odczytała Królowa Królów. - Za jeden dzień przybędzie tu mój wrogi.

Co jednak ma oznaczać ostatnie słowo Olawy, Głosie?

-Jest wśród was ktoś, komu zawdzięczać będziesz zwycięstwo. On powinien stanąć do walki z wrogiem, przez niego odezwie się dobry los.

-A więc? Ktoż jest tym bohaterem?

Tamisan jeszcze raz spojrzała na rząd oficerów. Czy powinna zaufać swojej intuicji? Coś podpowiadało jej, że tak.

-Niech każdy z tych dzielnych obrońców Ty-Kry. - Podniosła dłoń, wskazując na żołnierzy - podejdzie tu i weźmie szczyptę wieszczego piasku. Głos dotknie każdej dłoni i może odnajdzie tę naznaczoną odpowiedź. Może Olawa da nam znać w ten sposób.

Ku zaskoczeniu Tamisan, Królowa rozesmiała się:

-Coż, może to i dobra droga: losowanie zwycięzcy. To zaś, czy uznamy wybór Olawy, jest już zupełnie inną kwestią. - Jej uśmiech przygasł, kiedy popatrzyła na swoich żołnierzy, jakby stłumiła go jakaś niepokojąca władczyni myśl.

Zaczeli podchodzić na jej skinienie, jeden po drugim. Ich twarze, ukryte w cieniu hełmów, były do siebie podobne, zdradzając plemienne pokrewieństwo, i przyglądająca się im Tamisan nie potrafiła stwierdzić, który z nich mógłby być Starrexem. Każdy nabierał trochę zielonego piasku, wyciągał dłoń wierzchem do góry, wrobitka dotykała jej koniuszkami palców, sypiący się piasek nie formował jednak żadnego znaku. Zmieniło się to dopiero z nadejściem ostatniego - piasek nie przesaczył się beładnie, lecz uformował taki sam znak jak ten, który znajdował się już na stole. Tamisan podniosła wzrok. Mężczyzna nie patrzył na nią, wpatrywał się w piasek. Linia jego ust zdradzała napięcie, a twarz przybrała taki wyraz, jak u człowieka przycisnietego do muru przez ostrze miecza skierowane wprost w gardło.

-Oto ten człowiek - rzekła Tamisan.

Starrex? Musi być tego absolutnie pewna, a nie mogła przecież dochodzić prawdy w tym momencie! Tymczasem jej przepowiednia została odrzucona:

-Olawa się myli! - wykrzyknął oficer stojący tuż za nią, ten sam, który ją tu sprowadził.

-Może nie powinniśmy źle myśleć o radzie Olawy - głos Królowej był zduszony i nieszczerzy.

- Moze to tylko jego Glos nie dosc dobrze mu sluzyl, moze zdarza sie jej czasami mowic nie w jego imieniu. Wiec to ty, Hawarelu, mialbys byc naszym bohaterem? Zolnierz upadl na jedno kolano, puste rece zlozyl przed soba, jakby chcial, aby wszyscy widzieli, ze nie siega po bron.

-Wola Wielkiej jest i moja wola - mimo zdenerwowania, jakie zdradzalo jego napiecie cialo, odezwal sie spokojnym, czystym glosem.

-O Wielka, ten zdrajca... - Dwoch oficerow podeszlo, jakby zamierzali go odciagnac.

-Nie. Czyz Olava nie zdecydowal? - W slowach Krolowej brzmialo nie tajone szyderstwo. - Jednak, by zyskac pewnosc, ze wola Olawy zostanie spelniona, zaopiekujcie sie dobrze naszym przyszlym zwyciezca. Skoro Hawarel ma stanac do walki z tymi przeklętymi kosmitami, trzeba mu to umozliwic. A - patrzyła teraz na Tamisan, zupełnie zaskoczona szybkim obrotem spraw i okazywana wrogoscia wobec wyboru Olawy - niech Glos Olawy towarzyszy Hawarelowi. Moze umilic mu czas oczekiwania, napelniajac go energia i sila, ktorzych bedzie wymagala ta walka od naszego zwyciezcy - ilekroć Krolowa wypowiedala slowo "zwyciezca", zawsze brzmialy w nim kpina i subtelna niechec.

-Audiencja zakonczona. - Wladczyni powstala i zeszla z tronu, Tamisan czula, ze wszyscy wokol niej uklekneli, wreszcie odeszla. U boku Tamisan stal teraz ten sam oficer, który ja eskortowal. Inni dwaj straznicy staneli po obu stronach Hawarela, który zdazyl juz powstac. Jeden z nich wyciagnal mu miecz z pochwy, zanim ruszyli. Tamisan poprowadzono za nim przez sale. Byla nawet zadowolona z takiego obrotu rzeczy, miala nadzieje, ze teraz przekona sie, czyjej domysly byly prawdziwe i czy Hawarel okaze sie Starrexem, co oznaczaloby, ze odnalazla juz pierwszego z dwoch mezczyzn dzielacych z nia sen.

Mijali kolejne komnaty, az staneli przed drzwiami, ktore otworzyl jeden ze straznikow Hawarela. Wiezien wszedl do srodka, a oficer prowadzacy Tamisan gestem wskazal jej te sama droge. Drzwi zamknely sie z trzaskiem, Hawarel odwrocil sie na ten odglos.

W cieniu obszernego helmu jego oczy lsnily zimnym blaskiem, wygladal jak czlowiek, który za chwile rzuci sie do gardla swego smiertelnego wroga. Jego glos przypominal chrapliwy szept:

-Kto... kto przyslal cie na moja zgube, czarownico?

IV

Jego dlonie wyciagnely sie ku jej szyi. Tamisan podniosla ramie w obronnym gescie i cofnela sie.-Lordzie Starrex! - Jesli sie pomylila, jesli to... Palce mezczyzny musnely tylko jej ramiona. Teraz on postapil krok czy dwa do tyłu, jego usta rozchylily sie ze zdziwienia.

-Czarownica! Czarownica! - Wyrzucal te slowa z siebie z taka sila, jakby byly strzalami wypuszczanymi z kuszy.

-Lordzie Starrex - powtorzyła Tamisan. Teraz, gdy zobaczyła jego zaskoczenie, poczuła się bardziej pewnie niż przed chwilą, gdy obawiała się z jego strony ataku. Jego reakcja na wypowiedziane imię wystarczyła - wiedziała już, że miała rację, aczkolwiek on sam nie wydawał się przygotowany na tę wiadomość.

-Jestem Hawarel z Vanory - powiedział chrapliwym głosem.

Tamisan rozejrzała się wokół. Byli w pokoju o nagich ścianach, nikt nie mógłby ich tu podsłuchać. W swoim własnym świecie, we własnym czasie, obawiała się ukrytych kamer czy wizjerów, ale sądziła, że to Ty-Kry nie zna takich urządzeń. Musi przecież przekonać Hawarela-Starrexa!

-Jestes panie Lordem Starrexem - odparła z niezachwianym przekonaniem, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wypadło. - Tak jak ja jestem Tamisan, fantazjotwórczyni. A to, w co jesteśmy wplątani, to sen stworzony przeze mnie na twój rozkaz.

Podniósł rękę do czoła, jego palce natknęły się na helm. Zrzucił go niedbale, tak że zadzwieczał i potoczył się po gładkiej posadzce. Czarne, mocne włosy splecione w coś w rodzaju ochronnej poduszki dookoła głowy, nadawały mu dziwny wygląd. Skóra miała brązową, tak jak Tamisan w nowym wcieleniu. Bez ocieniającego twarz helmu rysy stały się lepiej widoczne, choć nadal nie znajdowała w nim żadnego podobieństwa do wyniosłego pana podniebnej wieży. To oblicze należało do kogoś młodszego i nie tak pewnego siebie.

-Jestem Hawarel - powtórzył z uporem. - Próbujesz schwytac mnie w pułapkę, choć może ta pułapka dawno już zatrzasnęła się nade mną, a ty chcesz mnie teraz sklonić, żebym przyznał się sam. Więc powiem ci: nie jestem zdrajca. Nazywam się Hawarel i uczciwie dotrzymuje mojej krwawej przysięgi na wierność Królowej Królów.

Tamisan poczuła lekkie zniecierpliwienie. Nie uważała Lorda Starrexa za głupca.

Wyglądało na to, że jego nowemu wcieleniu brakowało nie tylko zewnętrznego podobieństwa do pierwowzoru...

-Jestes Starrexem i snisz! Gdyby tak nie było, nie zawracałabym sobie tym teraz głowy.

Pamiętasz wieżę? Kupiłeś mnie od Jabisa, żebym służyła dla ciebie. Potem wezwałeś mnie i Lorda Kasa, i rozkazałeś, abym pokazała, co potrafię. Sciągnął brwi w jedną, ciemną linię i przyglądał się jej.

-Czym cię przekupiono, co obiecano za to, co mi uczyniłeś? - spytał. - Przecież nie jestem twoim wrogiem ani wrogiem twoich, przynajmniej nic o tym nie wiem.

Tamisan westchnęła. - A więc twierdzisz, że nie znasz człowieka o imieniu Starrex? - zapytała.

Na dluzsza chwile zapadla cisza. Pozniej Hawarel odwrocil sie, zrobil jeden czy dwa kroki, kopnal helm, ktory potoczyl sie dalej. Znow sie odwrocil i spojrzal na nia:

-Ty jestes Glosem Olawy... Potrzasnela glowa i przerwala mu:

-Nie mamy wiele czasu na taka szermierke, Lordzie Starrex. Znasz to imie, a podejrzewam, ze pamietasz tez cala reszte, przynajmniej czesciowo. Jestem Tamisan, tworczyni snow.

Tym razem to on westchnal:

-To ty tak twierdzisz.

-Mam mowic dalej, czy moze chcesz, zeby wysluchal tego ktos zupełnie inny?

-Tak myslalem! - wykrzyknal. - Chcesz, abym sam sie zdradzil.

-Jesli, jak utrzymujesz, jestes Hawarelem, to jak niby mialbys sie zdradzic?

-No dobrze. Ja... ja jestem podwojny! Jestem Hawarelem, ale takze kims innym, kto ma dziwne wspomnienia i kto rownie dobrze moze byc nocnym demonem walczacym o prawo do mojego ciala. Wiec juz wiesz. Teraz idz i powiedz temu, kto cie tu przyslal, niech wywlecze mnie przed rzad lucznikow, abym predzej skonczyl. Pewnie byloby to lepsze niz zycie w roli pola bitwy dwoch roznych, ja".

Moze nie jest to tylko upor - pomyslala Tamisan. Mozliwe, ze sen ma nad nim wieksza moc niz nad nia sama. Byla przeciez doswiadczona fantazjotworczynia, przyzwyczajona do wedrowek po swiecie iluzji.

-Jesli troche pamietasz, to posluchaj mnie teraz. - Przysunela sie do niego i zaczela mowic cichym glosem, bo choc nie wierzyła, ze moga byc podsłuchiwni, wolala jednak zachowac ostroznosc. Szybko zrelacjonowala mu cale zamieszanie i wlasna w nim role.

Kiedy skonczyla, zaskoczyl ja widok rysow jego twarzy, ktore nagle stwardnialy, nadajac mu bardziej stanowczy wyglad. Nie przypominal juz czlowieka uwiklanego w pulapke bez wyjścia.

-To prawda?

-Na jakiego boga, na jaka moc mialabym przysiac? - Poczula sie zirytowana jego ciaglymi watpliwosciami.

-Nie musisz przysiegac, to, co powiedzialas, wyjasnia wszystko, czego dotad nie potrafilem sobie wytлумaczyc, co zmienilo moje zycie w piekielne godziny pelne watpliwosci, a co rzucilo na mnie wiecej podejrzen. Bylem dwoma osobami. Ale jesli to sen,

to dlaczego tak się stało?

-Nie wiem. - Szczerosc wydała się Tamisan najstosowniejsza odpowiedzia. - Ten sen w niczym nie przypomina tych, które stworzyłam wcześniej.

-W jakim sensie? - spytał szorstko.

-Jednym z obowiązków twórczyni snów jest zbadanie osobowości swego właściciela po to, by spełnić jego życzenia, nawet te ukryte, niewypowiedziane. Z tego, czego dowiedziałam się o tobie, o Lordzie, wynikało, że doświadczyłeś, widziałeś i poznałeś aż nazbyt wiele, więc muszę wymyślić coś zupełnie nowego, jeśli mój sen ma ci się spodobać. Dlatego uświadomiłam sobie, że nie mogę wysnić dla ciebie ani przeszłości, ani przyszłości, bo to są obszary znane wszystkim fantazjotwórczyniom. Musiałam więc udoskonalić swoją sztukę.

Były w przeszłości takie wydarzenia, kiedy bieg historii zależał od jednej decyzji. Wybrałam więc trzy spośród takich momentów i postanowiłam stworzyć świat taki, jakim byłby, gdyby te pojedyncze decyzje wyglądały zupełnie inaczej, na odwrót, chciałam pokazać ich skutki w dzisiejszym świecie.

-A więc tego właśnie próbowałaś? Jakie wybrałaś wydarzenia, aby napisać historię na nowo? - Słuchał jej z uwagą.

-Wybrałam trzy. Po pierwsze, powitanie Ahty, Królowej Królów; po drugie, utratę kursu przez "Wedrowca", statek kolonizatorów, i, po trzecie, powstanie Sylta.

Powitanie miało stać się odrzuceniem, statek kolonizatorów miał tu nigdy nie dotrzeć, a Syla miał przegrać walkę - świat, który nastąpiłby po takich wydarzeniach, byłby ciekawym obszarem dla sennej wedrowki. Przystudiowałam więc wszystko, co mówią taśmy z przeszłości. Kiedy przyszło wezwanie od ciebie, mój pomysł był gotowy. Ale nie zadziałał tak jak powinien, bo zamiast w skomponowanym śnie, z uporządkowanymi zdarzeniami, znalazłam się uwięziona w świecie, którego nie znam i nie stworzyłam.

Mówiąc to, obserwowała przemianę, jaka w nim zachodziła. Przepadła zarliwa wrogość, z jaką zaatakował ją na początku. Jego osobowość coraz bardziej przypominała tę, która kojarzyła się z Lordem Starrexem, choć opakowana była w obce ciało.

-Zatem coś nie zadziałało prawidłowo?

-Właśnie. Jak już powiedziałam, znalazłam się we śnie, nad którym nie panuje, a jego składniki są mi całkowicie obce. Nic z tego nie rozumiem.

-Nie? Chyba można to wyjaśnić. - Znowu zmarszczył czoło, ale tym razem nie było to wymierzone w nią groźne spojrzenie. Raczej próbował sobie coś przypomnieć, coś bardzo istotnego, co zdawało się mu wymykać. - Jest taka teoria, bardzo stara. Tak, to teoria

swiatow rownoległych.

Nie natknęła się na nic takiego podczas przeglądania taśm.

-Co to takiego?

-Nie jesteś, oczywiście, pierwszą osobą, która wpadła na pomysł, że czasem przeszłość i przyszłość powiązane są bardzo cienką nicią, która mogłaby zmienić kierunek i to bardzo łatwo. Swego czasu stworzono teorie, że kiedy coś takiego następuje, powstaje drugi świat, właśnie ten, który poszedł w prawo, podczas gdy nasz ruszył w lewo.

-Ale gdzie, jak istnieją te równoległe światy?

-Możliwe, że tak - wyjaśnił, układając dłonie poziomo, jedna nad drugą- warstwami.

Istniały nawet takie baśnie, opowieści tworzone dla zabawy, o ludziach, którzy podróżowali w czasie, ale nie w przód czy w tył, lecz w poprzek, poprzez te światy.

-Ale my tutaj istniejemy. Ja jestem Glosem Olawy i wyglądam zupełnie inaczej, a i ty nie przypominasz Lorda Starrexa.

-Może jesteśmy tymi, którymi bylibysmy, gdyby te twoje trzy wydarzenia potoczyły się inaczej? To znakomity pomysł na skomponowanie snu, Tamisan.

Teraz wyznała mu całą prawdę:

-Tylko wydaje mi się, że to nie ja stworzyłam ten świat. A na pewno nie mam nad nim żadnej kontroli.

-Próbowałaś przerwać ten sen?

-Oczywiście. Jestem jednak jakby do niego przykuta. 8ye może przez ciebie i Lorda Kasa. Prawdopodobnie dopóki nie spotkamy się wszyscy, żadne z nas nie będzie mogło powrócić.

-Musisz zatem użyć teraz swojej piaskowej sztuczki, aby go odnaleźć?

Przytaknęła.

-Sądzę, że Kas jest jednym z załogi pojazdu, który ma tu wylądować. Wydaje mi się, że go widziałam, choć nie zobaczyłam jego twarzy - uśmiechnęła się niepewnie. - Wygląda na to, że choć pozostałam tu Tamisan, która byłam, zyskałam teraz talenty Glosu; podobnie jak ty jesteś równocześnie Hawarelem i Starrexem.

-Im dłużej cie słucham, tym bardziej staję się Starrexem. Musimy więc odnaleźć Kasa na statku, zanim uda nam się wydostać z tej pułapki? To może być niemal problem.

Jestem na tyle Hawarelem, by wiedzieć, że ten pojazd zostanie przyjęty tak jak wszystko, co przybywa tu z kosmosu: podstępem z zamiarem zniszczenia. Trzy wybrane przez ciebie punkty wyglądały tak, jak je sobie wyobraziłaś. Nie było powitania, raczej masakra; nie przybył tu żaden statek kolonizatorów; Sylt został zaś rozniesiony na mieczach przez zadufanych panów, gdy po raz pierwszy podniósł głos, w celu zgromadzenia wokół siebie tłumu. Dla Hawarela tak wygląda prawda, choć jako Starrex wiem, że istnieje inna prawda, która zupełnie zmieniła życie tej planety. Powiedz teraz, czy mnie szukałaś i czy zmyśliłaś sobie te bajeczki o zwycięzcy po to tylko, by mnie odnaleźć?

-Nie, a przynajmniej nieswiadomie. Mówiłam ci już, że zostałam wyposażona w moce Głosu, one wzięły górę.

Wydał z siebie dźwięk, który przypominał trochę krotkie szczeknięcie, a trochę wybuch śmiechu.

-Na pieśń Jimsama Taragona, więc komplikuje to jeszcze magia! Przypuszczam, że nie potrafisz powiedzieć mi, na ile Głos może pomóc nam w przewidzeniu tego, co się stanie, w uzbrojeniu nas, czy też uwolnieniu?

Tamisan potrzaskała głową.

-Tasmy z przeszłości wspominały o Głosach - to były ważne osoby. Jednak po powstaniu Sylta zostały zabite albo zniknęły bez wieści. Były prześladowane przez obie strony i niemal wszystko, co o nich wiemy, pochodzi z legend. Nie umiem powiedzieć ci, co potrafie. Zdarza się tak, że pamięć i wiedza tego ciała zwyciężają i robię wtedy dziwne rzeczy. Dzieją się one bez mojej woli, nawet ich nie rozumiem.

Przemierzył pokój i przyciągnął z rogu dwa stolki.

-Możemy równie dobrze usiąść i sprawdzić, co przechowuje nasza pamięć tego świata.

Wspólnie zdołamy chyba dowiedzieć się więcej niż w pojedynkę. Cały problem w tym... - Wyciągnął rękę, a ona automatycznie oparła palce na jego dłoni zgodnie z dziwnym ceremoniałem, który nie był częścią jej wiedzy. Poprowadził ją jak jednego z stolików.

Cieszyła się, że może usiąść.

-Cały problem w tym - powtórzył, gdy opadł na stół, wyciągając długie nogi i stukając w pas rycerski, złowroźnie pozbawiony miecza - że byłem więcej niż odrobinę dezorientowany, kiedy - jeśli można tak to nazwać - obudziłem się w tym ciele.

Moje pierwsze reakcje musiały wyglądać na objawy nierównowagi psychicznej. Na szczęście część Hawarela we mnie była dość czujna, by mnie ocalić. Jednak i ta osobowość nie była do końca bezpieczna: jako przybysz z prowincji, w której wybuchło powstanie, już byłem podejrzany. Naprawdę znalazłem się w Ty-Kry raczej jako zakładnik

niz członek gwardii.

Nie mogłem więc zadawać żadnych pytań, wszystkiego dowiadywałem się ze strzepów rozmów, jakie prowadzono. Prawdziwy Hawarel to prostolinijny, uczciwy żołnierz, którego bolały te podejrzenia i który całym sercem służy miastu. Ciekawy jestem, jak Kas zniósł przebudzenie. Jeśli zachował resztki prawdziwej swej osobowości, powinien być teraz niezłe przygotowany.

Zaskoczona Tamisan zapytała z nadzieją, że otrzyma prawdziwą i szczerą odpowiedź:

-Nie lubisz... Czy masz jakieś powody, aby obawiać się Lorda Kasa?

-Lubic? Bacz się? - Dostrzegła, że cien Starrexa nakładający się na Hawarela stał się bardziej wyrazisty. - To emocje. Od pewnego czasu nie odczuwam żadnych emocji.

-A jednak chciales, by dzielił z nami ten sen - nalegała Tamisan.

-To prawda. Wprawdzie nie żywię żadnych uczuć do mego szacownego kuzyna, jestem jednak ostrożnym człowiekiem. Ponieważ to on nalegał, aby sprowadzić cię na dwór, sam nawet to zorganizował, nie byłoby w porządku, gdyby nie dzielił ze mną tak starannie zaplanowanej rozrywki. Wiem, że Kas jest niezwykle przywiązany do swego kalekiego kuzyna. Nie szczędzi swego czasu i trudu, zawsze gotów mu pomóc.

-Podejrzewasz go o coś? - wyczuła, że coś kryje się za jego słowami.

-Podejrzewam? O co? Zawsze, wszyscy mogą cię o tym zapewnić, był mi oddanym przyjacielem na tyle, na ile mu pozwalałem - jego pełen rezerwy wygląd odwiódł ją od drażenia tego tematu.

-Kaleki kuzyn - powtórzył Hawarel tak, jakby mówił do siebie, nie do niej. - Wyświadczyłaś mi przynajmniej jedną przysługę - popatrzył na Tamisan, tupiąc prawą nogą z takim zadowolonym wyrazem twarzy, że aż nie pasował on do wizerunku Starrexa, który znała. - Dalaś mi sprawne ciało, z którego mogę robić wspaniałe użyteki, przynajmniej do czasu, gdy zło zwycięży dobro w tym świecie.

-Hawarelu, Lordzie Starrex... - zaczęła, ale jej przerwał.

-Zawsze nazywaj mnie Hawarelem, pamiętaj. Nie ma potrzeby wzmagać podejrzeń, które i tak zbyt mi ciąży.

-A zatem, Hawarelu, to nie ja wybrałam cię na zwycięzce, uczyniła to moimi rękami siła, której sama nie pojmuję. Jeżeli oni się na to zgodzą, będziesz miał szansę, aby odnaleźć Kasa. Możesz nawet zająć, żeby to on właśnie stanął do walki z tobą.

-Jak go znaleźć?



-Byc moze pozwola mi wybrac ci przeciwnika sposrod obcej sily - powiedziala.

Plany uciezki zawisly na bardzo cienkiej nitce, nie widziala jednak innej szansy.

-Myslisz, ze te piaskowe malowidla wskaza ci go, tak jak mnie?

-Ciebie wskazaly, prawda?

-Nie moge zaprzeczyc.

-Kiedy przepowiadalam przyszosc dla jednej z Pierwszych, zrobilo to na niej takie wrazenie, ze sprawila, iz wezwano mnie tutaj, aby wieszczyc dla Krolowej Krolow!

-Magia! - Jego parskniecie tylko przypominalo smiech.

-Dla tego swiata wiele czynow gosci z kosmosu moze wydawac sie magia.

-Dobrze powiedziane. Sam widzialem mnostwo dziwnych rzeczy, tak, mnostwo dziwnych rzeczy, i to wcale nie we snie. Doskonale. Jestem ochotnikiem, ktory bedzie walczył z najznamienitszym wojownikiem z kosmosu, a ty przy pomocy piasku wybierzesz mi wlasciwego przeciwnika. Zalozmy, ze uda ci sie odnalezc Kasa, co wtedy?

-To proste, obudzimy sie.

-Oczywiscie zabierzesz nas ze soba.

-Jezeli jestesmy tak polaczeni, ze nie mozemy stad odejsc bez jednego z nas, to jesli obudzi sie jedno, pociagnie za soba pozostalych.

-Czy jestes pewna, ze potrzebujemy Kasa? Przeciez to dla mnie konstruowalas ten sen.

-Odejdziemy, zostawiajac tu Lorda Kasa?

-Myslisz, ze to tchorzliwy odwrot, moja fantazjotwórczyni? To jednak, zapewniam cie, rozwiaze wiele problemow. A moze udaloby ci sie odeslac mnie i wrocic po Kasa?

Nie moge wyzwolic sie od myśli o tym, co dzieje sie ze mna w naszym swiecie. Czyz przysiega tworca snow nie zobowiazuje cie, aby w pierwszej kolejnosci spelniac zyczenia tego, dla ktorego snisz?

Tkwila w nim jakas ukryta obawa zwiazana z Kasem, ale - na swoj sposob - mial racje.

Wyciagnela do niego reke i - jeszcze zanim pojal, co zamierza zrobic - chwycila jego dlon, wypowiadajac rownoczesnie zaklecie sluzace do przebudzenia. Po raz kolejny otoczyla ja mgla znikad. Jednak bez skutku, jej przeczucia nie klamaly - byli wciaz polaczeni. Powoli otworzyla oczy, by zobaczyc to samo pomieszczenie. Bezwladny Hawarel zaczal spadac,

musiała więc przykleknąć i ramieniem podtrzymać jego ciało, aby nie zeslizgnęło się na posadzkę. Po chwili jego mięśnie stezały, podniósł się gwałtownie, otworzył oczy i spojrzał na nią tym samym, przenikliwym, chłodnym wzrokiem, jakim powitał ją, gdy znaleźli się w tym pokoju.

-Dlaczego?

-Prosiles - odparła.

Jego powieki opadły, nie widziała już zagniewanych, lodowatych oczu.

-Rzeczywiście. Nie spodziewałem się jednak, że zostanie tak szybko obsłużony. No cóż, udowodniłaś mi, że masz rację. Wrocimy albo razem, albo wcale. Zależy to tylko od tego, jak szybko uda nam się odnaleźć ostatniego z naszej trójki.

Ucieszyła się, że nie zadawał już więcej pytań, była wyczerpana po nieudanej próbie przebudzenia, która znowu okazała się tylko wyrwaniami w wirującą nicosc.

Przesunęła lekko stolec, tak że mogła oprzeć się o ścianę. Hawarel wstał i zaczął spacerować tam i z powrotem, jakby chęć działania uniemożliwiała mu spokojne siedzenie.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi, ale nikt ich nie wezwał. Jeden ze strażników wniosł jedzenie i picie, drugi stał przy drzwiach z napiętą kuszą, bacznie ich obserwując.

-Dbają o nas. - Hawarel podnosił pokrywki i badał zawartość naczyń. - Chyba jesteśmy ważni. Hejże, Rugaardzie, kiedy wypuscicie nas z tej komnaty? Jestem już znudzony siedzeniem tutaj.

-Bądź spokojny, będziesz miał dość okazji do działania, gdy Wielka sobie tego zazyczy - odparł oficer z kuszą. - Statek z gwiazd jest już w polu widzenia, światła w gorach dwukrotnie błysnęły. Chyba zamierzają wylądować w dolinie za Ty-Kry. To dziwne, że są tak ograniczeni i zawsze wystawiają się na łatwy łup. Pewnie Dalskol miał rację, kiedy powiedział, że oni nie myślą, tylko wykonują rozkazy kosmicznych sił, które nie pozwalają im na samodzielne sady. Nadchodzi czas waszej służby, a co do ciebie, Glosie Olawy. - Postąpił krok do przodu, aby lepiej widzieć Tamisan - Wielka radzi, abyś jeszcze raz powróżyła sobie z piasku. Ci, co przepowiadają fałszywie, oddawani są tym, których zlekcewazyli, i spotyka ich los odpowiedni do czynu, jakim się splamili.

-Wszyscy o tym wiedzą - odparła. - Nie przepowiadalam fałszywie, przekonacie się o tym o właściwej porze i we właściwym miejscu.

Kiedy odeszli, poczuła głód, Hawarel najwyraźniej także, podzielili więc równo posiłek, a gdy w naczyniach nic już nie zostało, powiedział:

-Skoro jesteś tak zorientowana w historii i znasz dawne obyczaje, to zapewne znasz i ten

- choc moze nie powinienem o nim teraz wspominać - zgodnie z którym pewne plemiona podaja obfity posiłek więzniom skazanym na śmierć.

-Wybrales sobie ciekawy sposob dodawania otuchy.

-Nie ja, ale to ty wybralas; nie zapominaj, ze to twoj swiat, moja fantazjotworczyni.

Tamisan przymknęła oczy, oparła głowę i ramiona o ściane. Wtem rozległ się jakiś szcęk, wstrzymała na chwilę oddech. W komnacie panowała ciemność, ale drzwi były oświetlone, stał w nich oficer z eskortą włoczników.

-Nadszedł czas.

-Nie musiałem długo czekać. - Hawareł podniósł się, rozprostował ramiona jak ktoś, kto był od dawna gotowy. Później zwrócił się ku Tamisan i podał jej dłoń.

Wolałaby obyc się bez jego pomocy, ale była na tyle ścierpnieta i zeszywniała, że przyjęła ją z radością. Szli labiryntem korytarzy i w końcu wyszli prosto w ciemność nocy. Czekal tu na nich kryty powóz, znacznie większy od tego krzesła na kolkach, którym przywieziono ją do zamku.

Powóz zaprzęgnięty był w dwa gryfy. Strażnicy wprowadzili ich do środka i zaciągnęli zasłony tak szczelnie, że nawet gdyby chcieli, nie mogliby wyjrzec na zewnątrz.

Powóz zatrzeszczał, ruszył, a Tamisan usiłowała po jego odgłosach zorientować się, dokąd ich wiozą. Odgłosów jednak było niewiele, jakby jechali przez głęboko uspięte miasto. Nagle w mroku poczuła raczej niż dostrzegła jego ruch. Musnął ją ramieniem i szepnął tak cicho, że ledwo usłyszała:

-Wyjeżdżamy z zamku.

-Dokąd?

-Chyba na przekleśte pole.

Pamięć tego świata podsunęła Tamisan wyjaśnienie. To tam, gdzie wylądowały wcześniej dwa inne statki kosmiczne, aby już nigdy nie unieść się w górę. Ten, który przybył tu pięćdziesiąt lat temu, był jeszcze cały. Pordzewiała masa metalu stanowiła jakby podwójne ostrzeżenie: skierowane ku gwiazdom, by nikt nie próbował inwazji na Ty-Kry, i ku miastu, by było czujne. Tamisan wydawało się, że ta podróż nigdy się nie skończy.

Zatrzymali się tak nagle, że z hukiem uderzyła o ściane pojazdu, a gdy odsłonięte zasłony, oslepili ją światła.

-Wysiadajcie, zwycięzco i prorokini!

Hawarel wysiadł pierwszy i odwrócił się, aby jej pomóc, ale został odepchnięty, a oficer wyciągnął ją raczej niż wyprowadził na zewnątrz. Otoczyli ich włocznicy z pochodniami. Za nimi klebił się kolorowy, ludzki tłum, oddzielony od ciemnego pola podwojną linią żołnierzy.

-Tam, w gorze. - Hawarel znow znalazł się tuż obok niej. Tamisan podniosła wzrok.

Błysk niemal ją oslepił, gdy nagle na ciemnym niebie pojawił się ognisty słup światła. Statek kosmiczny sphywał ku ziemi jasna smuga.

V

Blask oświetlał całą dolinę. Z tyłu tkwił kadłub nieszczęsnego statku, który wylądował tu wcześniej. Tam też, ustawione w rzędach, stały brygady włoczników i kuszników dowodzone przez oficerów z mieczami o gardach przypominających koszyczki. Czekając tak, wyglądali raczej jak gwardia honorowa przybyła dla uczczenia Królowej Królów, gorzącej nad wojskiem w wysokiej lektyce, niż jak armia rozciągnięta w szyku bojowym. Ci ze statku zapewne z wyjątkiem spojrzeli na ich uzbrojenie, traktując je jak zabytkowe, nieużyteczne dziś przedmioty. Jak mieszkańcy Ty-Kry zdołali opanować poprzedni pojazd i pojmać jego załogę? Przez zdradę i podstęp - odpowiedziałyby ich ofiary, podczas gdy Głos Olawy w Tamisan mówił, że stało się to dzięki sprytnemu fortelowi. Ładujący statek wypalił ziemię.

Kiedy jaskrawy blask przygasł, dolinę ogarnął półmrok. Dopiero po chwili oczy przywykły do nikłego światła pochodni. Czekający tłum nie zdradzał żadnych objawów niepokoju. Choć jego paradne stroje i broń sprawiały wrażenie oddalonych o całe wieki od technicznych wynalazków przybyszów, ale przecież zebrani wiedzieli z historii, że nie staneli w obliczu tajemniczego boga czy nieznannej mocy, lecz zwykłych śmiertelników, których mogli pokonać. Skąd wzięła się ich wrogość wobec wędrowców z gwiazd, skąd ta niechęć do kontaktu z obcymi cywilizacjami? - zastanawiała się Tamisan. - Oni wyraźnie pragną pozostać na tym poziomie rozwoju, jakieś pięćset lat za moim światem. Czy nie rodzą się wśród nich ludzie o chłonnych umysłach, czy nikt nie pragnie zmian?

Pojazd stał, nie dając żadnego znaku życia, choć Tamisan wiedziała, że jego skanery gorliwie gromadzą informacje na videoekranach. Jeśli uchwyciły obraz opuszczonego statku, powinien on ostrzec przybyłych. Przeniosła spojrzenie z cichego korpusu statku na Królową akurat w chwili, gdy ta podnosiła dłoń. Z szeregow szlachty i oficerów wystąpiło czterech mężczyzn. W odróżnieniu od żołnierzy nie mieli na sobie zbroi ani hełmów, byli odziani w krótkie, czarne tuniki. Każdy z nich trzymał w ręce luk - nie kusze, jak pozostali, ale starsza jeszcze broń wyborowych łuczników. Tamisan z tego świata wstrzymała oddech, spostrzegła bowiem, że te luki różnią się od wszystkich innych, a i ci, którzy je trzymają, nie przypominają zwykłych łuczników. Nic też dziwnego, że kobiety i mężczyźni rozstąpili się przed nimi - wydawali się potworami. Na głowie każdego z nich tkwiła idealnie dopasowana maska. Tyle tylko, że maski te nie oddawały ludzkich rysów twarzy, a stanowiły wierne kopie ogromnych głów, które - każda patrzeć w inną stronę świata -

wienczyły obronny mur Ty-Kry. Ani ludzkie, ani zwierzece - miały w sobie coś zwierzecego i człowieczego zarazem i coś, co nie było ani ludzkie, ani zwierzece.

Wzniesione przez nich luki wykonane zostały z ludzkich kości, a cieciwy spleciono z ludzkich włosów. Były to kości i włosy dawnych wrogów i legendarnych bohaterów, ich moc, złana w jedno, miała teraz służyć żyjącym. Każdy z łuczników wyjął jedną strzałę z zamkniętego kolczanu, ich łśniące w świetle pochodni ostrza zdawały się sycić i kumulować promienie, aż wkrótce zmieniły się w smugi blasku. Przywiązane do sznurów wywoływały efekt hipnotyczny, całkowicie koncentrując na sobie uwagę zebranych.

Tamisan nagle uswiadomiła to sobie i próbowała się wyzwolic, ale w tej samej chwili łuczniczki wypuściły strzały. Jak wszyscy wokół niej, powiodła wzrokiem za torem lotu czegoś, co zdawało się ognistą linią na tle nocnego nieba, wznosząca się wyżej i wyżej, a następnie opadająca lukiem nad ciemnym pojazdem, by w końcu zniknąć z pola widzenia.

Mknące strzały pozostawiły za sobą niezwykle długie smugi, które nie zniknęły od razu, lecz rzuciły słaby blask na powierzchnię pojazdu. Tamisan wiedziała, co to znaczy. Statek musiała odwieczna siła, by odebrać moc tym, którzy znaleźli się w jego wnętrzu. Jednak druga część jej osobowości wątpiła w skuteczność tej ceremonii. Ślizgowi strzał towarzyszył przenikliwy, cienki świst, raniący uszy tak, że wszyscy w tłumie unieśli ręce do głowy, by nie słyszeć tego pisku. Nagle zerwał się wiatr, a wraz z nim rozległo się dziwne łopotanie.

Tamisan zobaczyła, że nad głową Królowej poruszają się błękitno-złote skrzydła ogromnego ptaka.

Dopiero po chwili stwierdziła, że nie jest to gigantyczny ptak, lecz sztandar o takim kształcie, z którego powiew wiatru czynił imitację żywego stworzenia.

Spowici w czerni łuczniczki stali w rzędzie, nieco przed linią wojska. Choć Królowa nie wykonała żadnego widocznego gestu, żołnierze otaczający Hawarela i Tamisan popchnęli ich do przodu, aż stanęli przed łuczniczkami i wysokim tronem Królowej Królów.

-Coż, bohaterze, czy zamierzasz wypełnić misję, do której wybrał cię Głos? - W pytaniu Królowej zabrzmiała drwina. Wyglądało na to, że nie wierzy w przepowiednię Tamisan, a mimo to postanowiła znaleźć naiwną ofiarę, gotową skazać się na samozniszczenie.

Hawarel przykleknął na jedno kolano, równocześnie tak przekrecając pochwę miecza, by widac było, że jest pusta.

-Jestem gotów, Wielka, spełnić każde twoje życzenie. Czy twoja wola jest także, bym stanął do walki bez ostrza dzielącego mnie i nieprzyjaciela?

Tamisan dostrzegła uśmiech na twarzy Królowej. Przez chwilę wydawało się, że tego właśnie pragnęła. Nawet jeśli bawiła się przez moment tą myślą, odrzuciła ją jednak i

skinela dlonia.

-Dajcie mu miecz i niech go użyje. Głos rzekł, że to on obroni nas tym razem.

Nieprawdaz, Glosie? - W spojrzeniu rzuconym ku Tamisan pojawiły się przeblyski gniewu.

-Został wybrany przez przepowiednie. Dwukrotnie. - Słowa Tamisan zabrzmiały poważnie, jak słowa wyroku.

Królowa rozesmiała się.

-Bądź szczerą, Glosie, i przyznaj, że za tą przepowiednią kryje się i twoja wola. Dlatego teraz pojedziesz razem z nim, by Olava nie odmówił mu swej pomocy!

Hawarel wziął miecz od oficera, który stał po jego lewej stronie. Wstał, wygiał ostrze i zasalutował uroczysto, pokazując, że jeśli nawet zdaje sobie sprawę, iż udaje się na własną egzekucję, pojedzie tak, jakby szedł wśród bebnów i fanfar.

-Niech prawo prowadzi twoją dłoń i chroni twoje ciało - wyrzekła Królowa Królów.

Jej głos zdradzał, że wypowiada te słowa jedynie jako rytualną formułę, nie po to, by dodać bohaterowi odwagi.

Hawarel odwrócił się ku milczącemu pojazdowi. Nad spaloną, zniszczoną ziemią, na której stały stateczniki maszyny, unosiły się smugi dymu i pary. Nikłe linie pozostawione w powietrzu przez cztery strzały zdążyły już zniknąć. Hawarel ruszył, o krok czy dwa za nim szła Tamisan. Nie miała pojęcia, jak uda im się zrealizować plan, jeśli pojazd pozostanie zamknięty, jeśli nie otworzy się żaden właz, nie wysunie żaden mostek. Czy Królowa zechce wtedy, by czekali przez długie godziny, aż dowódcy statkiem zdecydują, czy nawiązać z nimi kontakt? Na szczęście załoga pojazdu okazała więcej inicjatywy. Może to widok opuszczonego kadłuba na skraju doliny wzbudził w nich potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej. Właz, który się otworzył, nie był głównym wejściem, lecz bocznym, usytuowanym ponad jednym ze stateczników. Wystrzelono stamtąd ładunek oszalamiający. Dobry los sprawił, że sygnał on celu, zanim dotarli do granicy tlącej się darni. Dzięki temu ich nagle obezwładnione ciała nie upadły w płomienie. Nie stracili przytomności, a tylko kontrole nad wiotkimi mięśniami.

Tamisan upadła na twarz, na szczęście dotykając policzkiem ziemi, wskutek czego mogła oddychać. Jej pole widzenia było ograniczone linią płonącej trawy, która nieuchronnie zbliżała się ku niej. Widząc to, zapomniała o wszystkim. Były to najgorsze chwile, jakie dotąd przeżyła. Wyobrazała sobie w snach ucieczki w ostatniej chwili, ale zawsze wiedziała wtedy, że zdąży uciec na czas. Teraz nie miała pewności - czuła tylko bezwład ciała i widziała pelznącą ku niej granicę ognia. Nagle stwierdziła, że z obu stron ujęło ją coś, co przypominało wielkie, twarde szczypcy. Zacisnęły się mocno i uniosły ją w górę, wciąż twarzą w dół. Zaczęła się dusić spalinami i falą ciepła bijącą od płonących roślin. Zniosła

sie spazmatycznym kaszlem, zwymiotowała, uwieziona w brutalnym uscisku, który niosł ją do pojazdu.

Znalazła się w strumieniu oslepiającego światła. Uchwyciły ją czyjeś dłonie, ściagnęły i przywróciły do pozycji pionowej. Działanie oszalamiacza słabło, musieli nastawić go na najniższą moc. Powoli wracało jej czucie w nogach i ocieziały ramionach. Udało jej się na tyle podnieść głowę, by dojrzec przed sobą mężczyzn w mundurach. Mieli na sobie helmy, jakby zamierzali wyjść na nieprzyjazną im planetę, niektórzy opuścili nawet przyłbice.

Dwoch z nich uniosło ją bez trudu i przetransponowało korytarzem do niewielkiej kabiny, która niepokojąco przypominała celę. Leżąc na podłodze, Tamisan powoli odzyskiwała władzę nad swoim ciałem i zaczęła zastanawiać się, co dalej. Czy ściagnęli tu także Hawarela? Z pewnością tak, choć nie znaleźli się w jednej celi. Zdolała usiąść, opierając się o ścianę i usmiechnęła się słabo na myśl, że ich dumnie rozpoczęta walka zakończyła się niebawem szybko. Cieszyło ją nie to, że wszystko potoczyło się inaczej niż chciała tego Królowa, lecz fakt, że powiodł się ich plan: znalazła się wraz ze Starrexem na statku, na pokładzie którego powinien być i Kas. Jeśli uda im się wszystkim połączyć, będą mogli przerwać sen. Czy wraz z ich zniknięciem zniknie także ten świat? Na ile jest prawdziwy?

Niczego nie była pewna, ale nie musiała się przecież nad tym zastanawiać. Teraz powinna skoncentrować się na jednym: Gdzie jest Kas? Co należy zrobić? Walic w drzwi celi, zająć rozmowy z komandorem? Czy ma poprosić o spotkanie z całą załogą, aby mogła odszukać Kasa w jego przebraniu z tego świata? Podejrzewała, że nikt poza Hawarelem Starrexem nie uwierzyłby w jej opowieść. Najważniejsze to zacząć działać, zacząć szukać...

Drzwi otworzyły się. Tamisan zdziwiła się, że jej życzenia spełniają się tak szybko.

Stojący przed nią mężczyzna nie miał na głowie helmu, ubrany był w tunikę z insygniami wyższego oficera, niewiele różniącymi się od tych, które знаła ze swego Ty-Kry.

Celowal w nią oszalamiaczem, a na szyi miał umocowane pudełko, z mechanicznym tłumaczem.

-Przychodzę w pokojowych zamiarach.

-Z bronią w reku? - zapytała.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, spodziewał się odpowiedzi w obcym języku, a ona odezwała się w Basicu, drugim języku planet Konfederacji.

-Mamy powody, by przypuszczać, że bronie jest niezbędna w kontaktach z waszym ludem. Jestem Glandon Tork z Survey.

-Nazywam się Tamisan i jestem Glosem Olawy. - Jej dłoń uniosła się ku skroniom i

odkryła, że dziwnym trafem, podczas powietrznej podróży i wejścia na statek, korona nie spadła z jej głowy. Potem spytała o najważniejsze: - Gdzie bohater?

-Wasz bohater? - opuścił już bron, a jego głos zlagodniał. - W bezpiecznym miejscu.

Dlaczego nazywasz go bohaterem?

-Gdyż nim jest. Przybył, by zmierzyć się w prawej walce z waszym wybranym bohaterem.

-Rozumiem. My mamy wybrać swego bohatera, tak? A co to jest prawa walka?

Odpowiedziała najpierw na drugie pytanie:

-Jeśli chcecie zdobyć te ziemie, musicie najpierw stanąć do prawej walki z wojownikiem pani tej krainy.

-Ale my nie jesteśmy najeźdźcami - zaprotestował.

-Jednak wasz ognisty statek wylądował na polach Ty-Kry.

-A zatem wasi ludzie uznali nasze przybycie za rodzaj inwazji? I o wszystkim ma decydować pojedynek dwóch wojowników? My wybierzemy...

Tamisan przerwała mu:

-Niezupełnie tak. Wybiera Głos Olavy, a właściwie wybiera piasek, wroźba wybiera.

Dlatego do was przyszedłem, ale nie zostałem należycie przyjęty.

-W jaki sposób go wybierzesz?

-Powiedziałam już: poprzez przepowiednie.

-Nie bardzo rozumiem, choć pewnie pojme to we właściwym czasie. Gdzie ma zostać stoczona ta walka?

Wskazała w kierunku ścian pojazdu.

-Na ziemi, której zadacie.

-Logiczne - przyznał. Potem odezwał się, jakby zwracał się do powietrza wokół: - Wszystko nagrane? - Ponieważ powietrze nic nie odpowiedziało, był najwyraźniej zadowolony z ciszy.

-To wasz obyczaj, dostojny Głosie Olavy. Nie nasz. Musimy się więc naradzić.



Zrobimy to, nim nas opuszczysz.

-Jak sobie zyczysz. - Na jej korzysc dzialalo to, ze byl z Survey, musial byc zatem przygotowywany do akceptowania zwyczajow obcych ludow. Prosta zasada tego przygotowania bylo, by tam, gdzie to tylko mozliwe, podporzadkowywac sie obyczajom tubylcow. Jesli zalodze spodoba sie mysl o rywalizacji, moga przyjac wszystkie jej warunki.

Bedzie mogla zazadac, aby postawiono przed nia kazdego czlonka zalogi i w ten sposob odnajdzie Kasa. Gdy to nastapi, przerwie sen.

Jednak, mowila sobie: nie licz na zbyt szybkie uwolnienie z tej przygody. Gdzies na dnie jej umyslu krylo sie dokuczliwe zwatpiecie zwiazane z tymi smiertelnyimi strzalami, z opuszczonym kadlubem statku. Lud Ty-Kry, na pozor tak slabo uzbrojony, zdolal przez wieki uchronic swoj swiat przed obcymi. Kiedy drazyla swa pamiec z tego swiata, by odkryc, jak to bylo mozliwe, znajdowala jedna tylko odpowiedz - tajemne moce magii. Wiedziala, ze wypuszczenie strzal bylo pierwszym krokiem ku przywolaniu tych sil. To, co krylo sie za tym wszystkim, przypominalo jej wlasna moc, moc Glosu, ktorej nie pojmowala nawet wtedy, gdy z niej korzystala.

Tamisan uswiadomila sobie nagle, ze mysl o tym wszystkim tak, jakby ten swiat istnial naprawde, a nie byl tylko snem, ktory wymknal sie spod jej kontroli. Czyzby Starrex mial racje i jakim sposobem przywedrowali do rownoleglego swiata? Zaczela tracic cierpliwosc, chciala dzialac. Najtrudniejsze bylo czekanie. Byla pewna, ze skanery roznych typow rejestruja kazdy jej ruch, musiala wiec zachowywac sie spokojnie i pewnie, jak na Glos przystalo, nie okazujac zniecierpliwienia. Starala sie jak umiala. Czas chyba jej sie dluzyl, wreszcie jednak wrocil Tork, aby zabrac ja z celi i poprowadzic po schodkach na nastepny poziom. Wspinanie sie w dlugich szatach nie bylo latwe. Weszli do przestronnej, znakomicie umeblowanej kabiny, w ktorej siedzialo pieciu mezczyzn. Tamisan przygladala sie im badawczo. Nic nie potrafila powiedziec, nie czula tego niepokoju, ktory ogarnal ja w sali tronowej, w obecnosci Hawarela. To, oczywiscie, moglo znaczc, ze nie ma wsrod nich Kasa, choc ekspedycje z Survey nigdy nie byly wielkie i skladaly sie glownie ze specjalistow kilku roznych dziedzin. Poza tymi szescioma przebywalo wiec na pokladzie jeszcze moze dziesieciu, moze dwudziestu. Tork poprowadzil ja do wygodnego fotela, ktory przystosowal sie do ksztaltu jej ciala, gdy tylko sie w nim usadowila.

-To kapitan Lowald, medyk Thrum, psychotechnik Sims i ciszolog El Hamdi. - Tork wymienial imiona mezczyzn, ktorzy przedstawiali sie skinieniem glowy. - Naszkicowalem im twoja propozycje i rozwazyli ja. W jaki sposob zamierzasz wybrac bohatera sposrod nas?

Dopiero teraz Tamisan uzmyslowila sobie, ze nie ma piasku. Bedzie musiala ograniczyc sie do dotyku, ale i tak byla pewna, ze odkryje Kasa ta metoda.

-Niech wasi ludzie podejda do mnie i dotkna mojej dloni. - Podniosla rece i polozyla je na stole. - Bede wiedziala, kiedy dotknie mnie ten, ktorego wybral Olava.

-To wydaje sie dosc proste - odezwal sie kapitan. - Postapmy wiec zgodnie z zyczeniem tej damy - pochylił sie i položyl reke na dloni Tamisan. Trwalo to prawie minute.

Nie bylo odpowiedzi, tak jak przy pozostalych. Kapitan wezwal innych czlonkow zalogi przez intercom. Podchodzili, kladac dlonie na jej dloni. Tamisan niepokoila sie coraz bardziej, zaczela wierzyc, ze sie pomylila, moze nie wykryje Kasa bez pomocy piasku.

Badala twarz kazdego z tych, ktorzy siadali naprzeciwko niej i kladli swoje rece na jej dloni, ale nie odnalazla nikogo, kto przypominalby kuzyna Starrexa, na nikogo tez nie wskazala jej intuicja.

-To juz wszyscy - powiedzial kapitan, gdy podniosl sie ostatni. - Ktory z nich zostanie naszym bohaterem?

-Nie ma go wsrod nich - wyrzucila z siebie prawde, rozczarowanie wzelo gore nad ostroznoscia.

-Dotknelas reki kazdego czlowieka na pokladzie tego statku - odparl kapitan. - Czy to ma byc jakas sztuczka?

Przerwal mu ostry, przerazajacy dzwiek. Cyfry, ktore rozlegly sie w glosniku intercomu obok jego lokcia, nic nie znaczyly dla Tamisan, ale cala reszta poderwaly do dzialania.

Oszalamiacz w reku Torka wystrzelil, nim zdazyla wstac. Znowu byla przytomna, lecz calkowicie bezwolna. Kiedy inni oficerowie wybiegali z kabiny, Tork wyciagnal jedna reke, chroniac jej bezwladne cialo przed upadkiem z fotela, a druga przyciskal sygnal alarmowy wmontowany gdzies w stol. Na jego wezwanie natychmiast odpowiedzieli dwaj ludzie, ktorzy wyniesli ja i znow zawlekli do kabiny. To chyba weszlo im w zwyczaj - pomyslala ponuro Tamisan, gdy zostala niedbale rzucona na koje i niemal nie zwrcono uwagi na to, czy udalo jej sie bezpiecznie spasc na poslanie. Cokolwiek ten alarm mial oznaczac, przywrocil jej status wieznia. Jej straznicy, pewni dzialania oszalamiacza, nie zamkneli za soba drzwi, slyszala wiec tupot biegnacych i dzwiek czegos, co moglo byc drugim urzadzeniem alarmowym.

Jaki atak przypuscily wojska Krolowej Krolow na tak dobrze uzbrojony i uprzedzony juz pojazd kosmiczny? Jego zaloga wiedziala przeciez, ze znalazla sie w niebezpieczenstwie i byla przygotowana do obrony. Starrex i Kas. Gdzie jest Kas? Kapitan oznajmil, ze widziala wszystkich znajdujacych sie na pokladzie.

Czy mialo to oznaczac, ze jej wczesniejsza wizja byla nieprawdziwa, ze ten pozbawiony twarzy astronauta byl tworem jej nazbyt bujnej wyobrazni? Nie wolno mi tracic wiary w siebie - pomyslala. - Kas tu jest, musi tu byc! Lezac, probowala odgadnac z odglosow, co sie dzieje. Halasy i bieganina niebawem jednak ucichly i zapanowal spokoj.

Hawarel, gdzie on jest? Dzialanie oszalamiacza ustepowalo. Wlasnie podnosila sie

niepewnie, kiedy drzwi kabiny uderzyły z trzaskiem w sciane i staneli w nich Tork z kapitanem.

-Glosie Olavy, czy kimkolwiek naprawdę jesteś - odezwał się kapitan, chłod w jego głosie przypominał Tamisan niegdysiejszą wściekłość Hawarela - może nie opowiadałaś nam tych bzdur o bohaterstwie i prawej bitwie tylko po to, by zyskać na czasie, a może właśnie po to. Może i ty zostałeś oszukana. Ale w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia.

Zrobili wszystko, aby nas uwięzić i nie odpowiadają na nasze sygnały do podjęcia pertraktacji, musimy więc posłużyć się tobą jako naszym wysłannikiem. Powiedz swojej władczyni, że mamy jej wojownika i użyjemy go jako klucza, by otworzyć drzwi, które zatrzasnęła nam przed nosem. Mamy bronię straszniejszą niż miecze i włocznie, straszniejszą niż ta, która nie zdołała ocalić tamtego statku. Może uwięzić nas tu na jakiś czas, ale my przetniemy jej wieży. Nie przybyliśmy tu jako najeźdźcy, bez względu na to, co myślicie, ale nie jesteśmy sami. Jeśli bliźniaczy pojazd na orbicie nie odbierze naszego sygnału, nastąpi coś, czego wasze plemię jeszcze nie widziało, czego nawet nie potraficie sobie wyobrazić.

Uwolnimy cię teraz, a ty pojdiesz powiedzieć to swojej Królowej. Jeśli do switu nie przysła do nas kogoś, kto podjąłby rokowania, zapomni o nas. Rozumiesz?

-A co z Hawarelem? - spytała Tamisan.

-Z Hawarelem?

-Z bohaterem. Zatrzymacie go tutaj?

-Tak jak mówiłem, użyjemy go jako klucza do naszej fortecy. Powiedz jej to, Glosie. Z tego, co wyczytaliśmy w umyśle tego wojownika, masz tu pewien autorytet, który powinien przekonać twoją Królową.

Czytali w umyśle Starrexa? Co to oznacza? Tamisan przelekła się nagle. Rodzaj sondy?

Jeśli to uczynili, to znają też całą resztę. Była kompletnie wyprowadzona z równowagi i z trudem skoncentrowała się na swojej roli - miała przekazać tę wyzywającą mowę Królowej Królów. Zrobi to, skoro nie ma innego wyjścia. Jak przyjmie ją w Ty-Kry? Tamisan zadrzała.

Tork tymczasem schylił się i wyprowadził, niemal wlokąc za sobą.

VI

Już po raz trzeci Tamisan znalazła się w więzieniu, tym razem patrzyła nie na gładkie ściany kabiny statku kosmicznego, ale na wiekowe szyby, które otaczały jawną Wysoką Zamkę. Kapitan Lowald pomylił się, sądząc, że zdoła wpłynąć na Królową, gdyż jej propozycja podjęcia rozmów z załogą pojazdu została odrzucona bez namysłu. Groźba użycia dziwnej broni, a także tajemnicza pogroźka, iż Hawarela zostanie użyty jako "klucz",

wywolaly wybuch smiechu. Dawne zwyciestwo Ty-Kry nad podobnym zagrozeniem z gwiazd umacnialo mieszkancow miasta w przekonaniu, ze i tym razem poradza sobie sprawdzonymi sposobami. Tamisan nie miala pojecia, jakie to sposoby, wiedziala jednak, ze zanim odprawiono jaz pokladu, cos stalo sie ze statkiem. Hawarel byl uwiezony, Kas zniknal, a wiec i ona byla w potrzasku. Kas... jej mysli uparcie krazyly wokol faktu, ze nie znalazla mlodego Lorda wsrod tych, ktorzy przed nia staneli. Lowald zapewnial ja, ze pokazal jej cala zaloge. Zaraz! Przypominala sobie dokladnie jego slowa, co on powiedzial? "Dotknelas reki kazdego czlowieka na pokladzie tego statku". Nic nie mowil o calej zalodze. Moze ktorys z jej czlonkow znajdowal sie poza pojazdem? O lotach kosmicznych wiedziala tyle, ile dowiedziala sie z tasm, ale zawieraly one szczegolowa wiedze, sluzily przeciez tworczyiom snow, dostarczajac im faktow, na podstawie ktorzych mogly budowac sennie swiaty.

Ten statek zostal wyslany z Survey i nie dzialal w pojedynke. Moze na orbicie krazy inny statek, a w nim przebywa Kas? Jesli nawet tak bylo, to i tak pozostawal on nieosiagalny.

Ach - westchnela - gdyby to byl zwyczajny sen... Oparla glowe o wilgotna, kamienna sciane i odskoczyla niemal, gdy jej ramiona przeszedl dreszcz chlodu. Sny...

Wyprostowala sie, naraz czujna i podekscytowana. Czy udaloby mi sie stworzyc sen we wnetrzu snu i w ten sposob odnalezc Kasa? Czy to mozliwe? Trudno odpowiedziec, dopoki sie tego nie sprawdzi.

Nie miala ani stabilizatora, ani wzmacniacza, ale byly one niezbedne tylko wtedy, gdy trzeba bylo wprowadzic kogos w sen. W pojedynke da sobie rade. Czy, sniac we snie, zdolam wysnuc potrzebną wizje? Po co zadawac sobie pytania, na ktore nie mozna odpowiedziec, zanim nie sprobie!

Wyciagnela sie na kamiennej posadzce celi, stanowczo odcinajac sie od tej czastki samej siebie, ktorej dokuczaly niewygoda i chlod. Skoncentrowala sie na rownym, glebokim oddechu i myslala intensywnie nad wzorem autohipnozy, ktory stanowil przejście do jej snu.

Jedynym punktem zaczepienia byl Kas i to w jego wlasnej postaci. Jakze nikly slad...

Pograzyla sie we snie. Dookola niej wyrosly sciany z polprzezroczystego materialu przepuszczajacego pastelowe, przyjemne kolory. To nie mogl byc statek kosmiczny.

Po chwili obraz zamigotal, a Tamisan odepchnela od siebie wszelkie watpliwosci, ktore mogly zniszczyc delikatna materie snu. Obraz wyostrzyl sie, sciany odzyskaly cechy materialne, stala w korytarzu, przed jakimis drzwiami. Zapragnela zobaczyc, co sie za nimi kryje i, w sposob wlasniwy snom, natychmiast znalazla sie w komnacie. Jej sciany okrywala ta sama Isniaca siatka, ktora wyscielala jej pokoj w podniebnej wiezy. Szukajac Kasa, powrocila do swego swiata. Snula dalej swoj sen, zaintrygowana tym, dlaczego przyprowadzil ja wlasnie tutaj. Czyzby sie mylila i Kas wcale nie udal sie z nia do sennego

swiata? Skoro tak, to dlaczego Starrex i ona sama nie moga znalezc drogi wyjścia ze snu? W pokoju nie bylo nikogo, ale cos ciagnelo ja dalej. Szukala Kasa, wiec musial gdzies tu byc.

Zdziwila sie, wchodzac do nastepnej komnaty. Takie pomieszczenia znala doskonale - byl to pokoj snu.

Jedna z sof byla zajeta, przy drugiej, pustej, stal Kas.

Tworczyni snow miala na glowie korone pozwalajaca na wspolny sen, lecz na drugiej lezance nie bylo czlowieka, a tylko stala czworokatna, metalowa skrzynka, do ktorej podlaczone przewody biegnace od korony - tworczynia nie byla jednak Tamisan.

Spodziewala sie, ze na sofie zobaczy siebie, tymczasem miala przed soba jeden z tych zamknietych w wyobrazni umyslow - zdradzala to pustka malujaca sie na twarzy sniacej.

Wtraciwszy sie do snu, najwyrazniej przesyiala jego moc do metalowego pudelka.

Tyle wystarczylo, by Tamisan domyslila sie calej reszty. To nie byl ten sam pokoj, w ktorym zapadla w sen. Byl mniejszy od tamtego. Kas nie spal, zajety nastawianiem jakiegos kodu na pokrywie skrzynki. Pudelko i tworczyni sniaca jej sen wystarczaly, by zatrzymac ich w tamtym swiecie. Tylko co miala oznaczac ta niewyrazna wizja Kasa w kosmicznym stroju?

Miala wprowadzic mnie w blad? A moze to jest bledny sen, zrodzony z podejrzen wobec kuzyna, jakie odkrylam w Starrexie? Widziala oto logiczna przyczynę tej nieufnosc: zostala wyslana wraz ze Starrexem do swiata snow i tam uwieziona przez maszyny i sen tej dziewczyny. Rzeczywistosc czy sen... ktore z nich? Czy Kas moze mnie teraz zobaczyc?

Jesli to sen, powinna byc widzialna, ale jezeli powrocila do rzeczywistego swiata... Od samego wymieniania tego, co moglo byc prawdziwe, nieprawdziwe i na poly prawdziwe, krecilo jej sie w glowie. Mogla sprawdzic przynajmniej niewielka czastke.

Podeszla do Kasa i dotknela jego dloni, gdy pochylal sie, aby poprawic cos przy skrzynce. Krzyknal zaskoczony, gwaltownie cofnal reke i rozejrzal sie wokol siebie. Spojrzal wprost na nia i wiedziala juz, ze nic nie zobaczyl. Byla bezcielesna, jak duchy w basniach sprzed wiekow.

Wprawdzie nie zobaczyl, ale przeciez poczul dotyk...

Kas znow pochylil sie nad skrzynka, przygladajac sie jej uwaznie, jakby sadzil, ze to za jej sprawa poczul jakis wstrzas. Spiaca nie poruszyla sie. Gdyby nie powolne opadanie i wznoszenie klatki piersiowej, Tamisan pomyslalaby, ze tamta jest martwa. Miala bardzo wychudzona, blada twarz. Ten widok zaniepokoil ja. To narzedzie Kasa zbyt dlugo juz snilo.

Bedzie trzeba ja zbudzic, jesli sama nie wykona zadnej proby przerwania snu.

Jednym z niebezpieczenstw zwiazanych z wchodzeniem w cudze sny byla mozliwosc utracenia zdolnosc przerwania iluzji. Jesli zdarzy sie cos takiego, sen przerywa nadzorca. Wiekszosc koron snu ma wmontowany stymulator, ktory to reguluje. Jednak to, co miala na glowie ta dziewczyna, bylo znacznie zmodyfikowane. Tamisan nigdy przedtem nie widziala takiej korony, moze to ona uniemozliwiala przerwanie snu? Co sie stanie, gdy Tamisan ja obudzi?

Czy uwolni to takze ja i Starrexa, gdziekolwiek byl, i oboje powroca do swego swiata?

Technike przerywania snu miala opanowana znakomicie. Uzyla jej, stojac za ofiara, ktora przekroczyła dozwolony czas snu. Wyciagnela reke, wyczula puls na szyi dziewczyny i zastosowala lekki masaz. Jednak, choc jej rece wydawaly sie dosc cielesne i mocne, nie dalo to zadnego rezultatu. Dla pewnosc Tamisan wyprostowala palec i przycisnela go z calej sily do poduszki, na ktorej spoczywala glowa sniacej. Palec nie zaklocil miekkiej wypuklosci, zanurzyl sie w niej tak, jakby pozbawiony byl i kosci, i ciala.

Istnial jeszcze jeden sposob, byl brutalny i uzywano go tylko w ostatecznosc.

Tamisan nie miala wyboru. Swymi bezcielesnymi palcami dotknela skroni tworczyni snu tuż pod krawedzia korony i skoncentrowala mysli na jednym poleceniu. Spiacza poruszyla sie, skrzywila i wymamrotala cos cichym glosem. Kas krzyknal i zastygl nad pudelkiem, jego palce poruszaly sie jednak po przyciskach z delikatnoscia sugerujaca, ze ma do wykonania bardzo trudne zadanie.

-Obudz sie - powtorzyla Tamisan, wkkladajac w ten rozkaz wszystkie sily.

Rece sniacej drgnely, oderwaly sie od bokow i niepewnie uniosly ku koronie snu, lecz powieki nie poruszyla sie. Wyraz jej twarzy swiadczył o cierpieniu. Kas, zajety manipulowaniem przy skrzynce, oddychal ciezko i szybko. Toczyli cicha walke o wladze nad tworczynia snu. Powoli Tamisan musiala przyznac, ze sila zawarta w metalowym pudelku zdolna jest pokonac wszystkie znane jej sposoby. Wiedziala jednak, ze im dluzej Kas bedzie utrzymywal we snie swoja ofiare, tym bardziej bedzie ona slabla. Rozwiazaniem moze okazac sie smierc, choc Kasa chyba niewiele to obchodzilo. Jesli zatem nie potrafi obudzic spiacej i przerwac wiezow, ktore - teraz byla tego pewna - zatrzymywaly ja i Starrexa w tamtym swiecie, musi jakos wplynac na samego Kasa. Przeciez poczul jej dotyk.

Tamisan wyslizgnela sie zza sofy i stanela za Kasem. Ten wyprostowal sie, na jego twarzy malowalo sie odczucie ulgi, skrzynka najwyrazniej zarejestrowala, ze zaklocenia sie skonczyly. Tamisan uniosla rece, rozpostarla palce i ulozyla dlonie po obu stronach jego glowy, formujac jakby korone snu, po czym szybko i mocno przylozyla rece do czaszki Kasa, uciskajac mu skronie, mimo swej bezcielesnosc. Wydal z siebie zduszony krzyk i zaczal trzasc glowa w obie strony, jakby chcial strzasnac z siebie niewidzialna chmure.

Ona jednak, pełna determinacji, trzymała głowę ze wszystkich sił. Widziała to kiedyś w Roju, choć wtedy próbowano tego na kims, kto posłusznie poddawał się eksperymentowi, a poza tym oboje - kontrolujący i sniacy - znajdowali się na tym samym poziomie egzystencji.

Podtrzymywała ją nadzieja, że zdoła przerwać ciąg myśli Kasa na tak długo, aż on sam uwolni twórczynię snów. Użyła całej swojej woli. Teraz już nie tylko potrzasał głową, utrudniając jej trzymanie dłoni we właściwym położeniu, ale kołysał się w przód i w tył i usiłował zderzyć palcami z głową jej uścisk. Okazało się jednak, że tak jak ona nie mogła go mocno uchwycić, tak i on nie jest w stanie jej dotknąć. Cały ładunek energii wykorzystywany zwykle do kreowania innych światów i wprowadzania w nie towarzyszy snów, wkładała teraz w próbe wpłynięcia na Kasa. Ku jej zdziwieniu, zaprzestął tych gwałtownych wstrząsów głową, a jego próby ściągnięcia jej rąk, których nie mógł uchwycić, słabły, wreszcie zamknął oczy, a jego twarz wykrzywiła się w dziecięcym grymasie przerażenia i rozczarowania. Nie pochylił się ku skrzynce, lecz niespodziewanie runął jak długi, zwalając się na pustą sofę.

Podczas upadku wyciągniętym ramieniem stracił na podłogę metalowe pudełko, które roztrzaskało się i pociągnęło za sobą koronę snu, uwalniając dziewczynę. Ta odetchnęła głęboko, na jej wymizerowanej twarzy pojawił się ślad ożywienia. Tamisan, wciąż zaskoczona wynikiem swojej próby, zastanawiała się, czy nie pogorszyła swojej sytuacji. Nie miała pojęcia, jaki był związek skrzynki z ich przejściem do innego świata i czy, skoro pudło zostało zniszczone, będą mogli w ogóle powrócić.

Teraz chciała zachować wszelkie środki ostrożności. Pomyślała, że jeśli powróci do celi w Wysokim Zamku, aby ratować Starrexa, to pozostawi tutaj Kasa, który może znowu uruchomić maszyny. O nie! Ale co robić...? Spojrzała na poruszającą się dziewczynę. Obudziła się już z najgłębszego snu, ale jeszcze nie wiedziała, co się dzieje wokół niej. W tym stanie mogła być użyteczna. Tamisan postanowiła spróbować. Zostawiła Kasa i podeszła do twórczyni snów.

Znowu dotknęła jej czoła i spróbowała na nią oddziaływać.

Dziewczyna usiadła, jednak jej ruchy były tak powolne, jakby każdy mięsień jej ciała był obciążony ciężarem nie do uniesienia. Bolesnym, niechętym gestem uniosła rękę do głowy, próbując uchwycić koronę, której tam już nie było. Siedziała, oczy miała wciąż zamknięte, a Tamisan zbierała w sobie resztki siły, i by wydać ostatnie polecenie. Nie otwierając oczu, po omacku, dziewczyna wymacała krawędź sofy, na której przedtem leżała, przesuwając dłoń, dopóki nie natknęła się na przewody, które łączyły koronę ze skrzynką. Jej słabe palce zacisnęły się niezdarnie, drgnęły słabo raz i drugi, zanim wyciągnęła obydwa przewody.

Trzymając je w ręce, zsunęła się z sofy do przodu tak, że upadła na kolana, opierając się tułowiem o drugą leżankę i dotykając jednym policzkiem twarzy Kasa.

Wymagało to wielkiego wysiłku od Tamisan. Traciła moc. Słabe ramiona dziewczyny

opadły kilka razy bezwładnie, gdy panowanie Tamisan nad nią słabło. Ostatkiem sił udawało się przywrócić ją do działania, aż w końcu na głowie Kasa pojawiła się korona snu, której przewody, wcześniej podłączone do skrzynki, trzymała teraz w dłoni sniaca dziewczyna.

Mam tak ogromną szansę i taki marny sprzęt - pomyślała Tamisan. Nie mogła być pewna wyniku, pozostawiała jej tylko nadzieję. Zwolniła swą władzę nad dziewczyną, która leżała po drugiej stronie sofy, na którą upadł Kas. Przyzwalała na pomoc wszystkie swoje siły, także te, które różniły ją od innych i dotąd trzymane były w sekrecie. Znowu dotknęła czoła dziewczyny i przerwała sen we śnie.

Czuła się tak, jakby wspiwała się na wysoki szczyt z nieznosnie ciężkim pakunkiem na obolałych plecach, jakby wlokła ciężar martwego ciała przez moczary, które wciągały ją głębiej z każdym krokiem. Nie, ten wysiłek zbyt wielki, jak...

Nagle ciężar opadł, a Tamisan odczuła ogromną ulgę; rozkoszowała się faktem, że nie musi już nic ciągnąć. Otworzyła wreszcie oczy i nawet ten nieznaczny ruch okazał się wyczerpującym wysiłkiem. Nie znajdowała się już w podniebnej wieży. Mroczne światło, sączące się przez wysoko umieszczoną szczelinę, oświetlało kamienne ściany. Była w Wysokim Zamku, z którego powróciła do swego Ty-Kry, sniąc we śnie. Czy dokonała tam czegośkolwiek? Na razie była zbyt zmęczona, by zebrać myśli. W głowie wirowały jej urywki i strzępy tego, co widziała i robiła w Ty-Kry, ale nie składały się jeszcze w żadną całość. Z tego bezładu wyłonił się wreszcie obraz Hawarela, taki jakim go zapamiętała, gdy szli w kierunku kosmicznego pojazdu. Przypomniła sobie Hawarela i groźbę kapitana, zlekceważoną przez Królową. Jeżeli rzeczywiście udało się jej zniszczyć wieży, którymi Kas przytróczył ich do tego świata, zdolają uciec. Nie miała jednak siły. Próbowала przypomnieć sobie formułę przerywającą sen i ogarnął ją wilgotny dreszcz leku, gdyż pamięć ją zawiodła.

Nie zdoła dokonać tego teraz, musi mieć czas, aby odpoczęły zarówno jej ciało, jak i umysł.

Była bardzo głodna i spragniona. Czy oni zamierzają trzymać mnie tu bez jedzenia? Leżała cicho, nasłuchując. Potem, lekko i powoli, odwróciła głowę, by przyjrzec się mrocznemu otoczeniu na poziomie posadzki. Nie była tu sarna.

Kas!

Czyżby udało się jejściągnąć tu Kasa? Jeśli tak, znaczyłoby to, że nie ma on swojej kopii w tym świecie i zachował własną postać! Tak czy owak, nie miała czasu, by to zbadać, rozległ się bowiem szczeł krat i linia światła oznaczyła otwierające się drzwi.

W świetle pochodni ujrzała tego samego oficera, który niegdyś stanowił jej eskortę.

Tamisan uniosła się z trudem, przy pomocy rak. W tej samej chwili rozległ się krzyk z głębi celi.



Ktos tam poruszył się, podniósł głowę. Zobaczyła tę samą twarz, która widziała w podniebnej wieży.

To był Kas w swojej zwykłej postaci. Podnosił się z trudem, a stojący w drzwiach oficer i towarzyszący mu strażnik wpatrywali się w niego, nie wierząc własnym oczom. Kas potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się z jakiegoś mgły. Jego usta rozchyliły się w straszliwym grymasie, który nie przypominał uśmiechu. Trzymał w dłoni niewielki laser.

Znieruchomiała: chce ją spalić. Była tego tak pewna, że nawet nie czuła strachu, po prostu czekała na błysk.

Wycelował jednak ponad nią i strzelił w stronę korytarza. Oficer i strażnik osunęli się na ziemię. Opierając się jedną ręką o mur, Kas zbliżył się do Tamisan. Odsunął się od ściany, przelożył laser do drugiej dłoni i pochylił się, aby pociągnąć ją za materiał okrywający jej ramiona.

-Ty... wstan - wykrztusił z trudem. Był zapewne wyczerpany, tak jak ona. - Nie wiem jak, nie wiem dlaczego ani kto...

Pochodnia, która wypadła z płonącej dłoni martwego strażnika, oświetliła ich nieco. Kas odwrócił ją i przysunął twarz do jej twarzy. Przyglądał się jej uważnie, jakby siłą spojrzenia chciał zderzyć z niej maskę ciała i wydobyć ze środka dawną Tamisan.

-Ty jesteś Tamisan - nie może być inaczej! Nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, diablico - potrząsnął nią tak gwałtownie, że uderzyła boleśnie o ścianę. - Gdzie on jest?

Z jej wysuszonego gardła wydobyło się tylko kilka chrapliwych dźwięków, pozbawionych znaczenia.

-Nieważne - Kas stał coraz mocniej na nogach, jego głos odzyskał siłę - i tak go znajdzie. Nic ci nie zrobię, diablico, bo tylko dzięki tobie mogę wrócić. A co do Lorda Starrexa, to nie pomogą mu żadni strażnicy. Nie ma dla niego bezpiecznego schronienia.

Może tak nawet będzie lepiej. Mów, co to za miejsce?!

Uderzył ją w twarz, jej głowa znów poleciała na ścianę, a krawędź korony Głosu Olawy wbijała się w czaszkę. Krzyknęła z bólu.

-Mów. Gdzie jesteśmy?

-W Wysokim Zamku Ty-Kry - zachrypiała.

-Co ty robisz w tej norze?

-Jestem uwięziona przez Królową Królów.

-Uwieziona? Co to ma znaczc? Jesteś fantazjotwórczynią, a to jest twój sen.

Jak możesz być uwięziona?

Tamisan była tak wstrząsnęta, że nie potrafiła znaleźć równie jasnych słów, jak wtedy, gdy wyjaśniała to Starrexowi. Pomyslała sobie, nieco zbity z tropu, że Kas i tak może nie uwierzyć jej słowom.

-To... niezupełnie.... sen... - wyjąkała. Nie wyglądał na zaskoczonego.

-A zatem kontrola ma tę właściwość, że nadaje pozor realności - spojrzał jej prosto w oczy. - Nie panujesz nad tym snem, prawda? Chyba znowu miałem szczęście. Gdzie jest teraz Starrex?

Cieszyła się, że może powiedzieć mu prawdę, bo wydawało jej się, że kiedy kłamie, nie ma najmniejszej nadziei, aby jej uwierzono. Czula się tak, jakby jego badawcze oczy zaglądały do wnętrza jej myśli.

-Nie wiem.

-Ale gdzieś w tym śnie?

-Tak.

-A zatem odnajdziesz go dla mnie, Tamisan, i to szybko. Czy musimy przeszukać ten Wysoki Zamek?

-Kiedy widziałam go ostatnio, był poza murami.

Starła się nie patrzeć w stronę drzwi, nie widzieć tego, co tam leżało. On jednak powłokł ją w tamtą stronę, przestraszyła się, że zwymiotuje. Nie miała pojęcia, w którym punkcie miasta, jakim był Zamek, się znaleźli. Ci, którzy ją tu przyprowadzili, nie umieszcili jej w środkowej wieży, lecz skreśli przy pierwszej bramie i powiedli w dół długimi schodami. Nie wierzyła, by udało im się tak szybko odnaleźć wyjście, jak sądził Kas.

-Chodź. - Pociągnął ją za sobą, odsuwając kopniakami na bok to, co leżało mu na drodze. Zaciśnęła powieki. Odor palącego się ciała był jednak tak silny, że aż potknęła się.

Kas ją podtrzymał i powłokł dalej.

Jeszcze dwukrotnie widziała, jak zabija tych, którzy stawali im na drodze.

Kasowi dopisywało szczęście, sprzyjał też fakt, że ich pojawienie się zaskakiwało przeciwników.

Dotarli do schodów i ruszyli w górę. Nadzieja była jedyną siłą Tamisan. Kiedy jednak

zaczela poruszac sie na wlasnych nogach, powoli odzyskiwala dawna moc i przestala sie juz bac, ze upadnie, jesli Kas zwolni swoj uscisk. Kiedy zas w koncu wyszli w mrok nocy, a wilgotny zaduch podziemi zastapil swiezy powiew wiatru, poczula sie rzeska na tyle, by zaczac myslec logicznie.

Kas pomagal jej az dotad ze wzgledu na jej oslabienie; musi zatem udawac, ze nic sie nie zmienilo, dopoki nie bedzie mogla przystapic do dzialania. Moze jego bron, nieznana w tym swiecie i dlatego tak skuteczna, zdola utorowac im droge do Starrexa. Nie znaczy to, ze gdy juz go odnajda, ona nadal bedzie posluszna Kasowi. Czula, ze stajac przed swoim panem, Kas straci pewnosc siebie.

Tym razem na drodze staneli im nie straznicy, lecz potezna brama. Kas zbadal zasuwe, rozesmial sie, podniosl laser i wystrzelil promieniem cienkim jak igla. Nagle za ich plecami rozlegl sie jakis halas i Kas, niemal ospale, skierowal promien ku waskim schodom, wiodacym z murow obronnych i rozesmial sie znowu, kiedy doszedl go zduszony krzyk i stukot padajacego ciala.

- Teraz. - Wyciagnal reke i otworzyl masywna brame z zaskakujaca latwoscia- powiedz, gdzie jest Starrex? A jesli mnie oklamalas... - usmiechnal sie zlowrozbnie.

- Tam. - Tamisan wiedziala, co ma wskazac: w oddali, w swietle pochodni ciemniat kadlub przykutego do ziemi pojazdu.

## VII

Kas zatrzymal sie. - Statek kosmiczny!

- Zaatakowany przez tych ludzi - potwierdzila Tamisan. - Starrex, jezeli jeszcze zyje, jest zakladnikiem na pokladzie. Grozili, ze uzyja go w charakterze klucza, a Krolowa, o ile wiem, nie przeejala sie tym.

Kas odwrocil sie do niej, zniknelo jego rozbawienie, smiech zastapilo parskniecie, potrzasnal nia w przod i w tyl.

- To twoj sen, pilnuj go!

Przez chwile Tamisan zawahala sie. Czy nie powinna powiedziec mu, jak - jej zdaniem - wyglada prawda? Kas i jego laser to jedyna nadzieja dla Starrexa. Czy zdecyduje sie na ryzykowny atak, jezeli bedzie wiedzial, ze to jedyny sposob osiagniecia celu?

Z drugiej strony, jesli Tamisan przyzna, ze nie jest w stanie przerwac snu, Kas moze spalic ja od razu i probowac szczescia sam. Pomyslala, ze znalazla rozwiazanie.

- Wtraciles sie w sen, Lordzie Kas, i jego wzor ulegl zniszczeniu. Nie panuje nad niektórymi jego fragmentami, nie moze tez go przerwac, dopoki nie ma przy mnie Lorda Starrexa,

ponieważ byliśmy połączeni w tamtym wzorze.

Jej spokojna odpowiedź przekonała go. Wprawdzie potrząsnął nią jeszcze raz i wymruczał jakieś przekleństwo, ale popatrzył na pochodnie i ciemny zarys statku z pewnym namysłem.

Nadłżyli sporo drogi, aby ominąć pochodnie i wyjść na otwartą przestrzeń od południowej strony statku. Niebo nabierało już szarawego odcienia, który zdradzał zbliżający się brzask. Teraz, kiedy pojazd był lepiej widoczny, spostrzegli, że został szczelnie zamknięty. Wszystkie włazy były zatrzasnięte, nie wysunięto żadnego pomostu.

Laser trzymany przez Kasa nie mógł utorować im drogi, tak jak w Wysokim Zamku. Kas także zrozumiał to, zatrzymał bowiem jagwałtownię, zanim jeszcze opuścili bezpieczny cień, z dala od pochodni tworzących kwadrat wokół statku. Ukryli się w niewielkim zagłębieniu i zaczęli obserwować teren. Pochodnie, trzymane przedtem przez ludzi, zostały wetknięte w ziemię w regularnych odstępach, wyglądały jak olbrzymie świece. Kolorowy dworski tłum wraz z Królową Królów, zniknął, pozostała tylko linia straży, szeroko okrażająca zamknięty statek.

Tamisan zastanawiała się, dlaczego przybysze nie wystartowali, aby wylądować w jakimś innym miejscu. Być może zamieszanie, które widziała na pokładzie, oznaczało, że nie mogą tego zrobić. Mówili przecież o bliźniaczym pojeździe na orbicie. Wyglądało na to, że nie wykonali żadnego ruchu, by się z nim skontaktować, chociaż ona sama nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od chwili, gdy była tu ostatnio. Kas znowu zwrócił się do niej:

-Czy możesz przekazać Starrexowi wiadomość?

-Może spróbować. Jaka?

-Niech poprosi, żeby sprowadzono nas do niego - odpowiedział.

Czy jest na tyle głupi, by wierzył, że nie ostrzeże Starrexa, bez względu na to, jaka będzie przekazywać informacje? A może potrafi temu zapobiec? Tylko jak skontaktować się ze Starrexem? Stworzyła podwójny sen, aby dotrzeć do Kasa. Teraz nie było na to czasu.

Pozostało jej zastosować technikę wywoływania snu przy pomocy umysłu i sprawdzić, czy to zadziała. Powiedziała o tym Kasowi, nie obiecując powodzenia.

-Skoncentruj się na tym, co masz zrobić! - rozkazał ostro. Tamisan zamknęła oczy i wyobraziła sobie Hawarela tak samo, jak widziała go po raz ostatni, stojącego przy niej na tym samym polu. Usłyszała, jak Kas głośno wciąga powietrze i otworzyła oczy.

Zobaczyła Hawarela, dokładnie takiego jak wtedy, a właściwie jego bladą kopię, migotliwą i niewyraźną, już znikającą, wybelkotała więc pośpiesznie:

-Powiedz, że przybywamy z wieścią od Królowej i musimy zobaczyć się z kapitanem.

Drzaca postać Hawarela przepadła w mroku. Kas mruknął gniewnie:

-Co też może zrobić taki upiór?

-Tego nie wiem. Jeśli powróci do tego, do kogo należy, może przekazać wiadomość. Co do reszty... - Tamisan wzruszyła ramionami - mówiłam ci już, że nie panuje nad tym snem. Czy sądzisz, że siedzielibyśmy tu tak, gdyby to ode mnie zależało?

Jego usta skrzywiły się w ponurym grymasie.

-No, ty z pewnością byłabyś gdzie indziej, fantazjotwórczyni! Uwaga! Przyglądał się linii pochodni utkwionych w ziemi i stojącym pomiędzy nimi strażnikom.

-Podejźmy do statku. Chyba nam otworzą, prawda?

-Przedtem użyli oszałamiacza - ostrzegła Tamisan - mogą zrobić to znowu.

-Oszałamiacza. - Machnął laserem. Tamisan miała nadzieję, że ta odpowiedź nie oznacza, że zamierza zaatakować statek przy pomocy tej broni. Użył jej jednak tylko jako narzędzia, którym pchnął ją w kierunku szeregu pochodni.

-Jeśli otworzą - zauważył - będę w pogotowiu.

Tamisan zgarnęła dół swej długiej szaty, postrzępiony przez ostre lodygi tak, iż pasma tkaniny mogły przeszkadzać jej w marszu, gdyby przydepnęła jej stopa. Kolczaste krzewy sięgały jej do kolan i czepiały się sukni. Szła jednak do przodu, popychana przez Kasa, wbijającego palce w jej wciąż obolale ramiona. Dotarli do rzędu pochodni.

Strażnicy wpatrywali się w statek. W smugach światła Tamisan widziała, że byli dobrze uzbrojeni w kusze jednak nie z kosi, jak tamci spowici w czerni lucznicy. Strzały wymierzone w potężny statek kosmiczny wydawały się śmieszne jak prymitywny żart. Jednak pojazd wciąż stał, a Tamisan pamiętała przerażenie członków załogi. Na powierzchni pojazdu pojawił się ciemny punkt i otworzył się jeden z włazów. Był to otwór obronny, widziała takie na tasmach.

-Kas, oni chcą strzelać. - Skierowany stamtąd promień lasera zmieniłby w popiół całą dolinę, aż do murów Wysokiego Zamku! Próbowала uwolnić się z jego uścisku i uciec, choć wiedziała, że przegrałaby jeszcze przed startem. Przytrzymał ją mocniej.

-Nie ma lufy - powiedział.

Tamisan wysiłiła wzrok, aby dostrzec cokolwiek w migotliwym świetle. Może to jasnijące niebo sprawiło, że spostrzegła, iż rzeczywiście nie było tam lufy przygotowanej do wystrzelenia ognistego strumienia śmierci. Zauważyła jedynie karabin. Wejście zamknęło się równie szybko, jak się otworzyło. Statek znowu był szczelnie zamknięty.

-Co?

Kas odpowiedział na jej nie dokończony pytanie:

-Albo nie mogą go użyć, albo też, z jakichś powodów, postanowili nie używać. W obu przypadkach mamy szansę. Zostaniesz tu teraz! Jeśli nie, poszukam cię metodą, która na pewno nie przypadnie ci do gustu, i nie bój się, znajdzie! - Tamisan wcale nie miała ochoty się sprzeciwiać.

Została, bo - niezależnie od groźb Kasa - dokąd miałyby pójść? Gdyby zauważył ją któryś ze strażników, trafiłaby znowu do więzienia lub rozliczono by się z nią na miejscu.

Musiała dotrzeć do Starrexa, jeśli chciała uciec. Obserwowała Kasa, który - wykorzystując fakt zainteresowania strażników statkiem - przeczołgał się ze sprawnością, jakiej nie spodziewałaby się u mężczyzny wiodącego tak luksusowe życie w podniebnej wieży, ku najbliższemu strażnikowi. Nie widziała, jakiej użył broni, ale nie był to laser.

Stał na równe nogi za plecami nic nie podejrzewającego strażnika, wyciągnął rękę i wykonał taki ruch, jakby tylko dotykał szyi obcego. Mężczyzna natychmiast osunął się bezszelestnie, a Kas złapał go, nim zdążył upaść na ziemię, i powłokł do tyłu, aż do płytkiego zagłębienia, w którym czekała Tamisan.

-Przedko - rozkazał Kas - podaj mi jego płaszcz i hełm. Ściągnął z siebie tunikę z nadmiernie wypchanymi ramionami, a Tamisan uklekła i mocowała się z broszą spinającą płaszcz. Kas wyrwał jej rękę, zwłokł szatę z bezwładnego ciała, owinał się nią, podniósł hełm i nasadził go sobie na głowę. Potem sięgnął po kuszę.

-Idź przede mną - powiedział do Tamisan. - Jeśli są wyposażeni w skaner, zobaczą jencę prowadzonego przez strażnika. Może to skłoni ich do podjęcia rozmów. To marna szansa, ale innej nie mamy.

Nie domyślał się nawet, że szansa była większa niż przypuszczał. Nie wiedział przecież, że Tamisan była już raz na pokładzie i że załoga może spodziewać się jej powrotu z wiadomościami od Królowej. Szczęście mogło ich natomiast zawieść przy przekraczaniu linii wart, inni strażnicy mogą ich zobaczyć, zanim pokonają jedną czwartą drogi do celu. Nie miała jednak innego wyjścia. Takich przygod nie przeżywała w swoich snach. Była przekonana, że jeśli teraz umrze, umrze naprawdę i nigdy już nie obudzi się cała i zdrowa we własnym świecie.

Jej ciało kurczyło się ze strachu, usta miała suche, a ręce drżały i wilgotniały, ukryte w fałdach sukni. W każdej chwili mogła poczuć uderzenie strzały - myślała - usłyszeć zdradzający nas krzyk, stać się...

Jednak wciąż szła naprzód, potykając się i nasłuchując cichego skrzypienia butów Kasa za swoimi plecami. To, jak lekcewaczył niebezpieczeństwo, które dla niej było aż nadto rzeczywiste, skłoniło ją do przypuszczenia, że może on wciąż wierzy, iż Tamisan panuje nad

swoim snem. Wystarczy wiec pilnowac jej. Nie znajdowala jednak slow zdolnych do wyprowadzenia go z bledu. Byla tak skupiona na oczekiwaniu ataku, ze niemal zapomniala o statku, do ktorego podchodzili, dopoki, niespodziewanie, nie zobaczyla przed soba otworu lufy. Przygotowala sie natychmiast na to, ze za chwile poczuje dzialanie oszalamiacza. Ten atak, ktorego sie lekala, rowniez nie nastapil. Niebo stawalo sie coraz jasniesze, choc jeszcze nie bylo widac wschodu slonca. Zaczely spadac pierwsze krople, zwiastujace nadchodzaca burze. Kiedy z niskich chmur lunela woda, plomienie pochodni zasyczaly, zmigotaly i wreszcie zgasly. Zapadla ciemnosc, a wlasciwie polmrok przedswitu.

Podeszli juz dosc blisko statku i staneli, czekajac, by ich wpuszczono. Tamisan czula, jak narasta w niej wybuch histerycznego smiechu. Coz to bedzie za zawod, jesli nie zostaniemy wpuszczeni na poklad! Nie mozemy stac tu bez konca i nie mozemy dostac sie na statek sila.

Kas chyba zbyt zaufal jej porozumieniu z duchem Hawarela. Byla pewna, ze tym razem przegrali na dobre, kiedy z gory doszedl cichy szum. Na powierzchni statku otworzyl sie nieduzy wlaz, spuszczano z niego pomost, a wlasciwie stroma, trzeszczaca drabinke, ktora upadla na ziemie niedaleko nich.

-Ruszaj! - Popchnal ja Kas.

Tamisan drgnela i podeszla do schodkow. Wspinaczka okazala sie trudna, bo ciezkie strzepy spodnicy sciagaly ja w dol. Musiala mocno trzymac sie jedynej poreczy i podciagac sie rekami w gore. Dlaczego straznicy strzegacy linii pochodni nawet sie nie ruszyli? Czyzby zwiodlo ich przebranie Kasa i mysleli, ze Tamisan zostala przyslana, by wrocic na poklad i podjac rokowania? Byla juz prawie przy wlazie, kiedy zobaczyla dwoch ludzi czekajacych na nich w mroku. Trzymali przygotowane do wystrzalu wiazacze, przy ich pomocy mieli skrepowac przybylych niczym siecia i zmienic w latwych do pojmania jencow. Zanim jednak wytrysnely te lepkie wiezy, przybierajace taki ksztalt, jakby polowano na grubego zwierzca, obaj mezczyzni zachwiali sie, przytykajac martwe juz dlonie do piersi, na ktorych plonely tuniki i wydobywal sie z nich nikly, spiralny dym smierci. Spodziewali sie straznika z kusza, a natkneli sie na laser Kasa, ktory zniszczyl ich tak samo jak wartownikow w zamku. Kas popchnal ja tak mocno, ze sie przewrocila, upadajac czesciowo na ciala tych, ktorzy tu ich oczekiwali. Uslyszala odglos uderzenia, poczula kopniecie i przeturlala sie, zmagajac z dlugimi faldami sukni. Po chwili, odpychajac sie od sciany korytarza, zdolala sie odwrocic, by zobaczyc sam koniec walki. Dwaj wartownicy lezeli martwi, a Kas celowal laserem w strone trzeciego. Nie rozgladajac sie wokol, Lord wydal rozkaz, ktory automatycznie wykonala:

-Wiazacz, tutaj!

Wciaz na czworakach, Tamisan wrocila do kabiny wlazu, aby uchwycic jeden z wiazaczy.

Spojrzala tez na drugi, powodowana potrzeba zapewnienia sobie jakiejś ochrony, ale Kas

zawolał:

-Daj mi go!

Wciaz trzymajac laser wymierzony w piers trzeciego wartownika, wyciagnal reke do tyłu.

Nie mam wyboru, nie mam, musze to zrobic! Jesli Kas sadzi, ze mnie calkowicie zastraszył... Obrocila wiazacz i, nie tracac czasu na celowanie, nacisnela przycisk spustu.

Bicz lekziej przedzy przeszył powietrze, odbil sie od sciany, uderzyl w ramie nieruchomego jenca, ciagle zastraszzonego laserem, przywarł do jego tulowia, az siegnal reki Kasa, w ktorej jeszcze tkwil, owinal jego tulow, drugie ramie i natychmiast przylgнал, zaciskajac sie, jak zwykle, i przykuwajac jenca do zdobywcy. Kas wil sie w zaciskajacych sie wiezach, probujac wymierzyc laser w Tamisan. Nie wiedziala, czy uzylby go, slepy z wscieklosci.

Wiedziala jednak, ze wiazacz daje jej pewnosc, ze nie znajduje sie w zasiegu ognia.

Zwiazawszy ich na tyle, by stali sie na jakis czas bezbronni, Tamisan odetchnela. Musiala jednak zyskac pewnosc co do Kasa. Zwolnila przycisk wiazacza, gdy tylko unieruchomila jego ramiona.

Teraz znow uniosla bron i, juz bardziej planowo, mocno skrepowala mu nogi. Mogl stac, ale byl rownie bezradny, jakby strzelono do niego z oszalamiacza. Ostroznie podeszla blizej.

Domyslajac sie jej zamiarow, zaczal sie nieslychanie wiercic, starajac sie dotknac jej ciala lekкими linami.

Tamisan jednak przystanela i oderwala wystrzepiony kraj swojej szaty, szeroki jak jej pas, a nastepnie owinela nim dlon i nadgarstek, aby uniknac przykrej niespodzianki.

Mimo oporu zdolala odebrac Kasowi laser i po raz drugi w krotkim czasie odczula niezwykle przyplyw ulgi. Kas nie odezwal sie, jednak oczy mial dzikie, a usta zacisnal tak mocno, ze z ich kacika saczyla sie na jego policzek struzka sliny. Patrzac na niego teraz bez obawy, Tamisan pomyslala, ze jego wscieklosc niemal rownala sie szalenstwu.

Ten drugi poruszyl sie. Przesuwal sie oparty o sciane. Oparcie i nie skrepowane nogi dawaly mu pewna swobode ruchow, mimo lin, ktore przywiazywaly go do Kasa.

Tamisan wymierzyla w niego laser i zaczela rozgladac sie, aby sprawdzic, czego tamten tak rozpaczliwie poszukiwal. Znalazla skrzynke wewnetrznego telefonu.

-Nie ruszaj sie - rozkazala.

Zastygl na widok lasera. Wciaz trzymajac go na muszce, pospiesznie spojrzala przez



ramie w kierunku wjazdu. Z wiazaczem wsunietym luzno za pas, zdolala przeslizgnac sie wzdluz sciany, zatrzasnac drzwi wjazdu i zamknac je, przekrecajac kolo blokujace. Potem kazala obcemu podejsc do intercomu, wskazujac go laserem. Nieruchomy Kas okazal sie jednak zbyt duzym obciazeniem. Czy powinna oswobodzic tamtego? Nie bylo innego wyjścia.

Skinela dlonia.

-Odsun sie.

Tamten nie odzywal sie, ale skwapliwosc, z jaka spelniat jej polecenia, swiadczyla, ze laser w jej dloni podobal mu sie jeszcze mniej niz wtedy, gdy trzymal go Kas.

Odsunal sie na tyle, na ile pozwalaly mu wiezy, a ona przepalila je, rozdzielajac obu mezczyzn.

Kas wyrzucil z siebie stek przeklenstw, ale dla Tamisan byly one nic nie znaczacymi dzwiekami. Dopoki nie zostanie uwolniony, bedzie tylko dobrze zwiazanym, ogromnym tobolem. Dla niej liczył sie ten z zalogi. Siegnela po telefon i przywolala go gestem. Jak dotad, byla to najlepsza z jej rol w tej beznadziejnej grze.

-Gdzie jest Hawarel, ten tubylec, ktory zostal sprowadzony na poklad?

Jasne, ze mogle ja oklamac, a ona nie wiedzialaby o tym. Wygladalo jednak na to, ze odpowiada z ochota, byc moze uznal, iz prawda bedzie dla niej gorsza niz jakiegokolwiek klamstwo.

-Maja go w laboratorium. Jest przystosowywany. - Grymas na jego twarzy byl rownie nieprzyjazny, jak ten, ktory widywala u Kasa.

Przypomniala sobie grozbe kapitana - mieli posluzyc sie Hawarelem jako bronia przeciwko Krolowej Krolow i jej wojsku.

Czyzby przybyla za pozno? Miala przed soba tylko jedna droge i te wlasnie wybrala, gdy przed kilkoma minutami siegnela po wiazacz. Odezwała sie powoli, jakby mowila do kogos, kto z trudem ja rozumie:

-Zadzwonisz i powiesz, ze Hawarel ma zostac uwolniony i przyprowadzony tutaj.

-Dlaczego? - odparl mezczyzna wyniosle. - Co mi zrobisz? Zabijesz mnie? I tak nie powstrzymasz kapitana, on spelni swoje zamiary, chocbys miala mu spalic pol zalogi.

-Moze to i prawda. - Skinela glowa. Nie znala kapitana, nie mogla stwierdzic, czy blefuje. - Ale czy to poswiecenie ocali statek?

-Co ty mozesz zrobic? - zaczal i przerwal. Jego grymas zniknal, przygladal sie jej z uwaga. W podartej sukni nie wygladala na osobe dosc potezna, by zagrozic pojazdowi kosmicznemu, ale nie mogli byc tego pewny. Wychowana w innym czasie i miejscu, Tamisan wiedziala, ze gwiazdny podroznikom wczesnie wpaja sie jedna zasade: na nowej planecie niczego nie wolno lekcewazyc. Przeciez mogla miec wladze nad jakas nieznaną sila.

-Co moze zrobic? Wiele - postanowila szybko wykorzystac jego wahanie. - Udalo wam sie wzniec w gore? - ciagnela z rozpaczliwa nadzieja, ze jej domysly okaza sie prawda. - A moze udalo wam sie skontaktowac z tym drugim statkiem, czy tez statkami na orbicie, co?

Wyraz jego twarzy byl najlepsza odpowiedzia, jej nadzieja zmienila sie w radosc.

Ten pojazd zostal naprawde przykuty do ziemi przy pomocy jakiejs szczegolnej sily.

-Kapitan nie poslucha - rzucil ponuro.

-Mysle, ze poslucha. Powiedz mu, ze albo pojawi sie tu Hawarel, i to sam, albo pokazemy wam, co naprawde przydarzylo sie tamtemu pojazdowi na skraju pola.

Kas nie mowil nic. Obserwowal ja, moze bez tej podejrziwosci, jaka okazywal czlowiek ze statku, ale z jakimis uczuciem, ktorego nie umiala nazwac. Zaskoczenie? Moze.

Choc mogli tez ukrywac jakis podstep.

-Mow! - Tamisan poczula, ze musi sie spieszyc. Tam, na gorze, na pewna zaczeli sie juz prawdopodobnie zastanawiac, gdzie sa jency, ktorych nie przyprawdzono przed ich oblicze.

Takze straznicy Krolowej zdazyli juz doniesc, ze Tamisan wraz z jakimis zolnierzem weszla na poklad. Wrogowie byc moze zblizali sie z obu stron.

-Nie moze wlaczyc nadajnika - oznajmil wiezien.

-To powiedz, jak to zrobic.

-Czerwony przycisk.

Zauwazyla dziwny blysk w jego oczach. Podniosla reke i nadusila zielony guzik.

Nie oskarzajac go nawet o zdrade, ktorej probowal, odezwala sie ostro:

-Mow!

-Tu Sannard. - Przysunal usta do nadajnika. - Maja mnie; Roosoo i Cambre zabici.

Chca tubylca...

-W dobrym stanie - syknęła Tamisan - i to natychmiast!

-Chcę go w dobrym stanie i natychmiast - powtórzył Sannard. - Groza zniszczeniem statku.

Nikt nie odpowiedział. Może była zbyt podejrzliwa i rzeczywiście nacisnęła zły przycisk?

Co teraz będzie? Nie mogła czekać.

-Sannard. - Głos dochodzący z intercomu był metaliczny, jakby nieludzki.

-Sir?

Tamisan odepchnęła Sannarda tak mocno, że osunął się wzdłuż ściany i upadł na Kasa, wieży natychmiast połączyły ich w jeden ruchliwy pakunek. Tamisan zwróciła się do nadajnika:

-Kapitanie, to nie jest zabawa. Prześlij mi wieżnia albo popatrz na ten wrak i powiedz sobie: "Oto przyszłość mego statku". Tak się stanie. Powróciłam na pokład, a jeden z twoich ludzi jest moim zakładnikiem. Prześlij tu Hawarela, samego, i módl się do tych sił nadprzyrodzonych, w które wierzysz, żeby był w stanie tu przyjść! Czas ucieka, jeśli ty nie zaczniesz działać, zobaczysz działanie czegoś, co wcale ci się nie spodoba!

Sannard, który wciąż miał wolne nogi, kopniakiem próbował odepchnąć od siebie Kasa.

Jego wysiłki sprawiły tylko tyle, że razem zwałili się na podłogę w plataninie wieżow. Reka Tamisan opadła, dziewczyna oparła się o ścianę, oddychając ciężko. Bardzo chciała panować nad tym, co się działo, jak panowała nad snami, musiała jednak zdać się na los.

## VIII

Tamisan oparła się bezwładnie o ścianę i czuła się tak napięta, jakby zamknięto ją w ogromnym futerale z grubej stali. Czas mijał wolno, wolniej niż zwykle, a napięcie rosło. Mężczyźni przestali się mocować. Twarzy Sannarda nie widziała, a grymas na ustach Kasa budził przerażenie. Było to tak, jakby przed jej oczyma, choć bez jej udziału, zmieniał się i stawał innym człowiekiem. Od kiedy w swoim drugim śnie wróciła do podniebnej wieży, rozumiała, że tego człowieka należy się bać. I teraz, choć był związany, wolała się trzymać z daleka, jakby siła jego wrogiego spojrzenia mogła stanowić bron przeciwko niej.

Nie odzywał się i leżał niezwykle cicho i spokojnie, jakby wiedział z góry, że przegrała.

Rozumiałam tak niewiele - myślała o sobie Tamisan, która była dotąd tak dumna ze swej wiedzy, przyswojonej po to, by konstruować sny. Załoga statku mogła znaleźć jakiś sposób - na przykład wpuszczać do tego krótkiego korytarza trujący gaz, lub też użyć jakichś promieni sprężonych ze skanerem. Zaczęła bezwiednie badać ściany i gorączkowo przesuwiała

dłonie po gładkiej powierzchni. Chciała odkryć miejsce, którym mogła nadejść - cicha i niewidzialna - śmierć. Po drugiej stronie korytarza znajdowały się jeszcze jedne masywne drzwi, a kilka kroków od wjazdu - drabinka prowadząca w górę, do zamkniętego trapu.

Spoglądała bez przerwy w stronę każdego z tych wyjść, dopóki nie odzyskała pewności siebie. Wystarczy, że poczekają - pomyślała - i odkryją mój bluff... niech tylko poczekają...

Tak! Czekali już dość długo i teraz są... Nagle powietrze wokół niej zaczęło się zmieniać, wokół rozprzestrzenił się jakiś zapach. Nie był nieprzyjemny, ale w tych warunkach nawet perfumy drażniłyby jej nozdrza. Światło, które wydobywało się ze szczeliny pomiędzy dachem a sufitem korytarza, zmieniło barwę. Przedtem przypominało blask słońca w pogodny dzień, teraz było niebieskawe. Jej skóra wyglądała w tym oświetleniu dość niesamowicie. Przegrałam rundę, która sama rozgrywałam - pomyślała. - Może zdolam otworzyć wjazd i wyjść na świeże powietrze...

Tamisań powlokła się w kierunku wjazdu, chwyciła koło blokujące i nacięła wszystkie siły. Kas znowu zaczął się wiercić, chcąc uwolnić się od niechcianego partnera.

Dziwne, ale ciało Sannarda leżało bezwładnie, głowa mu opadła, a oczy miał zamknięte. W tym samym czasie Tamisań, oparta o ścianę, usiłowała otworzyć drzwi. Nagle tknęło ją dziwne przecucie. Może to tylko zbyt rozwinięta wyobraźnia sprawiła, że uwierzyła w groźbę jej niebezpieczeństwo? Odpreżyła się, odetchnęła głębiej... Zaskoczona odkryła, że może głośno krzyczeć, choć przedtem wydała z siebie tylko cichy dźwięk. Nie traciła siły, przeciwnie, czuła, że ją zyskuje. Zaczęła głęboko i powoli oddychać tym aromatycznym powietrzem, wciągając je całymimi haustami do płuc. Jej ciało wzmacniało się, pragnęło tego powietrza, które przywracało jej życie. Czy Kasowi także? Odwróciła się, by to sprawdzić.

Podczas gdy ona oddychała równo, z coraz mniejszym wysiłkiem, on z trudem łapał powietrze, a w zmieniającym się świetle jego twarz wyglądała upiornie. Obserwowała, jak przestaje się ruszać, a głowa mu opada; leżał teraz bezwładnie, jak ten, którego chwilę wcześniej odepchnął. Bez względu na rezultat, jaki wywołała ta zmiana w Kasie i - jeszcze wcześniej - w tym drugim, ona nie odczuwała nic złego. Jej sprawną wyobraźnią dopowiedziała resztę.

Być może nie myliła się aż tak bardzo, grozić tym ze statku. Wprawdzie nie miała pojęcia, jak to działało, ale mogła to być jakaś dziwna broń z arsenału Królowej Królów.

Co z Hawarelem? Chyba nie zamierzali go przysłać. Czy powinnam go poszukać?

Zawahała się, wciąż trzymając ręce na kole i popatrzyła w kierunku drabinki oraz drzwi.

Jeżeli cała załoga zareagowała podobnie na to dziwne powietrze, nikt jej nie zatrzyma. Ale gdy ucieknie ze statku, straci możliwość powrotu do swego świata, a poza tym zły los może poprowadzić ją wprost w ręce Królowej. Uciekła z więzienia, na drodze jej ucieczki zostali zabici. Była Glosem Olawy i aż zadrzała na myśl o tym, jak by ją ukarano za to, że

wykorzystała swą moc dla niecznych celów. Śmiało podeszła do drzwi na koncu korytarza.

Naprawdę nie miała żadnego wyboru. Musi znaleźć Starrexa i sprowadzić go tutaj, aby spotkali się we troje. Musi zyskać trochę czasu, by przygotować się do przzerwania snu, inaczej będzie zgubiona. Rozluźniła nieco pas, aby podciągnąć do góry suknie i zyskać w ten sposób większą swobodę ruchu. Miała przy sobie wiazacz i laser Kasa. Wzbierało w niej poczucie siły, czuła się doskonale, choć jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją, by nie była zbyt pewna. Otworzyła drzwi jednym pchnięciem. Obrazek, jaki zobaczyła, najpierw ją zaskoczył, a potem uspokoił. W korytarzu zebrali się członkowie załogi. Ludzie ci leżeli twarzami do ziemi, jakby przzerwano im drogę do wstępu. Lasery (nieco inne od tego, który przyniósł ze sobą Kas) powypadaly im z dłoni, trzech miało przy sobie wiazacze. Tamisan przekraczała ich ostrożnie, zbierając bron do podwinietej spodnicy. Wyglądała jak dziewczynka zbierająca na łące wiosenne kwiaty. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że ludzie ci żyją.

Ich równe i głębokie oddechy sprawiały wrażenie, że są pogrążeni w spokojnym śnie. Zabrała jeden z wiazaczy, pozbywając się tego, który miała wcześniej przy sobie. Obawiała się bowiem, że mógł być już na wyczerpaniu. Całą resztę zebranego oreza wyrzuciła w oddalonym kącie korytarza i skierowała nań promień lasera. W efekcie wszystko zamieniało się w nieprzydatną grudkę metalu. Nie orientowała się dobrze w konstrukcji pojazdu. Musiała po prostu szukać, szukać do skutku Starrexa. Zacznie od góry i będzie schodzić w dół. Zanim odnalazła drabinę prowadzącą na górę, trzy razy ominęła śpiących członków załogi. Za każdym razem rozbrajała ich, nim poszła dalej. Niebieskawe światło stawało się coraz bardziej intensywne, twarze śpiących nabrały niesamowitego wyglądu. Sprawdziła, czyjej sukni jest mocno podkasana, i zaczęła pisać się w górę. Kiedy znalazła się na trzecim poziomie, usłyszała jakiś hałas. W niezwyklej ciszy, jaka ogarnęła statek, od razu zwróciła na niego uwagę. Zatrzymała się, nasłuchując. Dźwięk wyraźnie dochodził z poziomu, na którym się właśnie znalazła.

Trzymając laser w dłoni, ruszyła w jego kierunku. Wprawdzie ślad mógł być błędny, ale wszystko wskazywało na to, że dźwięk dochodził z jednej z kabin. Tamisan otwierała wszystkie mijane drzwi. Widziała tam uspiętych ludzi; niektórzy leżeli na stojakach, inni na podłodze albo przy stolach, z ułożonymi na blacie głowami. Nie zatrzymywała się jednak, by zbierać ich bron. Pragnęła jak najszybciej wypełnić swoje zadanie. Chęć opuszczenia tego statku dreczyła ją tak bardzo, jak smagnięcia batem po ramieniu niewolnika.

Kiedy podeszła do ostatnich drzwi i pchnęła je, hałas stał się głośniejszy. Zobaczyła kabinę przeznaczoną nie tyle do życia, co do umierania. Dwóch mężczyzn w gładkich tunikach leżało w progu.

Wyglądało to tak, jakby - świadomi nadchodzącego niebezpieczeństwa - próbowali uciekać, lecz upadli, nim dotarli do wyjścia. Za nimi stał stół, na którym również ktoś leżał.

Ten jednak nie spał, ale z uporem próbował uwolnić się z krepujących go pasów.

Choc jego dlugie wlosy zostaly sciete i zgolone, odkrywajac nagosc calej czaszki, Tamison poznala w nim Hawarela. Mezczyzna zmagal sie nie tylko z pasami i klamrami krepujacymi jego cialo, ale takze szarpal glowa, zeby pozbyc sie ulozonych na czole metalowych krazkow, podlaczonych do jakiegos urzadzenia, ktore zajmowalo jedna czwarta powierzchni kabiny.

Tamisan podeszla do obezwladnionego mezczyzny, stanela przy stole i zerwala z jego glowy poluznione juz krazki. Usta lezacego otwieraly sie i zamykaly, jakby wypowiedal slowa, ktorych nie slyszala. Kiedy jednak zniszczyla aparature, krzyknal z radosci:

-Uwolnij mnie!

Schylila sie pod stol i znalazla mechanizm zamykajacy pasy i klamry. W kilka sekund wypelnila jego rozkaz. Mial obnazony tors, a kiedy usiadl, zobaczyla, ze w miejscu, gdzie lezaly jego ramiona i gorna czesc tulowia, znajdowala sie skomplikowana konfiguracja metalowych plytek.

Hawarel, zaraz po uwolnieniu, siegnal po laser, ktory Tamisan polozyla na skraju stolu, kiedy go uwalniala. Gest ten oznaczal nie tylko potrzebe pospiechu, ale takze byl sygnalem, ze - jako uzbrojony - bedzie teraz panem sytuacji.

-Wszyscy spia - powiedziala. - Kas takze spi, jest uwieziony.

-Myslalem, ze nie mozesz go znalezc, nie bylo go wsrod zalogi.

-Nie bylo. Jednak teraz go mam i, z nim, mozemy wracac.

-Jak dlugo to potrwa? - Starrex przyklekнал na jedno kolano i przeszukiwal kieszenie mezczyzn lezacych na podlodze. - Jakie przygotowania musisz podjac?

-Nie wiem - odpowiedziala szczerze. - A jak dlugo oni beda spali? Ich omdlenie jest, jak sadze, sprawka Krolowej Krolow.

-Zaskoczylo ich to zupełnie - przyznal Starrex. - I pewnie masz racje, podejrzewajac, ze tamci przygotowuja sie do zajecia statku. Wiem przynajmniej tyle, ze jego urzadzenia sterownicze, a takze czesc wyposazenia, zostaly uszkodzone i nie nadaja sie do uzytku - twarz Hawarela byla grozna w tej niebieskiej, upiornej poswiacie. - Gdyby tak nie bylo, nie zylbym juz.

-Ruszajmy! - Teraz, kiedy jakimś cudem (przynajmniej tak jej sie wydawalo) osiagnela swoj cel, Tamisan poczula sie bardziej zaniepokojona. Bala sie, ze cos przeszkodzi im w ucieczce.

Caly statek byl jeszcze pograzony we snie, gdy odnalezli droge do korytarza przy wlazie.

Starrex przykleknał obok Kasa i spojrzal na Tamisan ze zdziwieniem.

-Ależ to prawdziwy Kas!

-Owszem, to prawdziwy Kas - zgodziła się - i nie bez powodu. Ale czy musimy mówić o tym teraz? Wierz mi, jeśli ludzie Królowej wtargną na statek, mogą przywitać nas jeszcze gorzej niż zwykle. Tamisan, która jest Glosem Olawy, doskonale o tym wie.

Skinal głowa.

-Czy teraz możesz przerwać sen?

Rozejrzała się wokół nieco spłoszona. Koncentracja... nie, nie może myśleć dość jasno - stwierdziła. Działanie tego aromatycznego gazu, który przywrócił jej siły, było zbyt silne.

Wysaczyło z niej to, czego potrzebowała najbardziej.

-Niestety... niestety, nie mogę.

-No to wszystko jasne. - Zbliżył się, aby zbadać sznury. - Musimy iść gdzieś, gdzie będziesz mogła to zrobić.

Zobaczyła, że ustawił promień lasera na najniższą siłę rażenia i choć przepalił sznury łączące Kasa z Sannardem, nie uwolnił kuzyna z pozostałych wieżow.

A jeżeli wyjdziemy ze statku wprost na czekających tam żołnierzy Królowej? - pomyślała. - Mamy jednak przecież wiaźacz, laser, a może i ten lut szczęścia.

Musimy podjąć ryzyko. Tamisan otworzyła wewnętrzne drzwi kabiny ciśnieniowej. Dwaj zabici mężczyźni leżeli tak jak upadli. Przewycieczając mdłości, odciągnęła jednego z nich, aby zrobić przejście Starrexowi, który szedł wolno, dzwigając na ramieniu Kasa.

Wiezien owinięty był płaszczem, w celu zabezpieczenia Starrexa przed wszelkim kontaktem z lepкими sznurami. Zewnętrzny wjazd był otwarty. Uderzyła w nich fala lodowatego deszczu i silny powiew wiatru. Kiedy Tamisan wchodziła na pokład, switało, ale dzień nie był wcale jasniesz, a pochodnie zgasły. Teraz nie widziała świateł, kiedy - zasłaniając oczy przed wiatrem i deszczem - próbowała odnaleźć linie wart. Może spłoszyła ich ta sroga pogoda?

Była pewna, że u stop pomostu nikt na nich nie czekał, chyba że ukrył się pod statecznikami pojazdu. Powiedziała to Starrexowi, a on skinal głowa.

-Dokąd pojedziemy?

-Gdzieś z dala od miasta. Potrzebuje tylko jakiegos schronienia i trochę czasu...

-Jesli Yermer bedzie mial nas w opiece, dopniemy swego - rzekl. - Masz, trzymaj to!

Poslal jej kopniakiem jakis przedmiot przez metalowe plyty pokladu. Byl to jeden z laserow nalezacych do czlonkow zalogi. Wziela go do jednej dloni, w drugiej trzymala wiazacz. Dzwigajacy Kasa Starrex nie mogl isc pierwszy. Musiala teraz odegrac w prawdziwym zyciu taka sama role, jaka czesto grala w swoich snach. Wcale nie bylo to zabawne. Ludzila sie tylko nadzieja, ze uda jej sie, mimo wiatru i deszczu, dosc szybko dotrzec do jakiegokolwiek bezpiecznego miejsca. Kladka byla bardzo stroma. Bala sie, ze spadnie, musiala wiec przytroczyć wiazacz do pasa. Nastepnie mocno uchwycila reka poręcz i schodzila o wiele za wolno - jak jej sie wydawalo. Obawiala sie takze, ze Starrex moze stracic rownowage i spasc na nia, sprowadzajac kleske na nich oboje.

Kiedy szczeniście znaleźli się już na ziemi, wichura okazała się tak silna, że każdy krok wymagał ogromnego wysiłku. Tamisan nie była pewna, w którą stronę powinni iść, aby ominąć miasto i zamek. Burza zamroczyła jasność jej umysłu, musiała zgadywać.

Musiała także uważać, by nie zgubić Starrexa, bo choć szła wolno, on włókł się daleko za nią. Nagle potknęła się o jakiś wystający kij, wyciągnęła rękę i rozpoznała dotykiem jedną z wygaszonych pochodni. Poczula ulgę - dotarli do linii wart, ale nie było tu strażników.

Burza ocaliła życie ich trojga. Tamisan zwolniła, aby Starrex ją dogonił. Teraz on oparł się na pochodni, jakby pomagała mu utrzymać równowagę. Wystękał straszliwie zdyszany:

-Jako Hawarel mam wprawdzie mocne ciało, jednak nie jestem androidem przeznaczonym do ciężkich robot. Musimy znaleźć dla ciebie schronienie, zanim się załamie pod tym ciężarem.

Spostrzegła cień po lewej stronie, mógł to być zagajnik. Drzewa, jakieś wyższe krzewy.

-Tam. - Wskazała, choć nie wiedziała, czy zobaczy cokolwiek w tym mroku.

-Dobrze. - Wyprostował się lekko pod ciężarem Kasa i powłókł w kierunku cienia.

Musieli przedzierać się przez rośliny. Tamisan miała wolne obie ręce, torowała więc drogę Starrexowi. Mogła posłużyć się przy tym laserem, ale nie potrafiła pozbyć się przekonania, że będzie im jeszcze potrzebny i trzymała go jako ostatnią rezerwę. W końcu, poranieni przez galezie i podrapani przez ciernie, dotarli do mniej zarosniętego miejsca.

Starrex zsunął ciężar na ziemię.

-Czy teraz możesz przerwać sen? - Przykucnął obok Kasa, a ona, dysząc, usiadła obok.

-Tak, mogę...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej. Rozległ się dźwięk, który zagłuszył nawet burzę, a te



czastki ich osobowosci, ktore nalezaly do tego swiata, doskonale wiedzialy, co on oznacza.

Byl to sygnal polowania. Natychmiast oboje zrozumieli, ze to polowano na nich.

-Psy Ittera! - Cala groza sytuacji zawierala sie w tych dwoch slowach.

-Sa na naszym tropie! - To, ze byla Glosem Olavy, nie liczyla sie wcale. Nie bylo ratunku przed psami Ittera. Bestii tych, wypuszczonych na trop ofiary, nic nie moglo zatrzymac. - Zabijemy je.

-Nie badz taka pewna - odparl. - Mamy lasery, orez spoza tego swiata. Bron, ktora uspila zaloge statku, nie pokonala nas, wiec orez spoza tego swiata moze rowniez nie zadzialac prawidlowo.

-Przeciez Kas... - Wydawalo sie, ze znalazla slaby punkt w jego rozumowaniu, bardzo pragnela, by nie mial racji.

-Kas zachowal swoja zwykla postac, ktora jest bardziej podobna do tych ze statku niz do nas. A swoja droga, jak to mozliwe, ze sie nie zmienil?

Starala sie mowic jak najkrocej, ale opowiedziala mu o snie we snie i o tym, jak odnalazla Kasa. Uslyszala jego smiech.

-A zatem nie mylilem sie, sadzac, ze moj ukochany kuzyn moze stanowic centrum tej intrygi. On sam jest w nia teraz uwiklany podobnie jak my. Moze w roli ofiary bedzie bardziej sklonny do wspolpracy.

-Z pewnoscia, moj dostojny panie - pomiedzy ich glosy wtracil sie trzeci, dochodzacy z mroku.

-Ocknales sie, kuzynie. To dobrze, bedziemy jeszcze bardziej przytomni. Mamy tu dwa komplety wrogow, ktorzy koniecznie chca z nas takze uczynic nieprzyjaciol.

Najlepiej bedzie, jesli powedrujemy stad gdzies, gdzie uda nam sie ocalic skore. Co ty na to, Tamisan?

-Potrzebuje czasu.

-Zdobede go dla ciebie tyle, ile zdolam - jego slowa brzmialy jak przysiega. - Jesli lasery zadzialaja poza prawami naszego swiata, moze zdolam powstrzymac psy Ittera. Tylko sie postaraj!

Nie miala urzadzen przewodzaczych, nie miala nic poza wola i palaca potrzeba.

Wyciagnela rece, dotknela nagiego, mokrego ramienia Starrexa i ostroznie, unikajac krepujacych go lin, polozyla dlon na ciele Kasa. Natezyla cala wole i spojrzala w siebie, nie

na zewnątrz. Bez skutku: moc ja opuściła. Przez chwilę tylko poczuła się zawieszona pomiędzy światami.

Potem znalazła się z powrotem wśród ciemnych zarośli, których żywe ściany nie chroniły przed deszczem.

-Nie mogę przerwać snu. Maszyna wspierająca nie działa. - Nie dodała, że być może sama ją zniszczyła.

Kas rozesmiał się.

-Wygląda na to, że moja konstrukcja nadal funkcjonuje, mimo że próbowałaś się wtrącać, Tamisan. Obawiam się, szlachetny Lordzie, że nie będziesz musiał wcale udowodnić skuteczności swojej broni. Chyba że mnie uwolnicie i dacie mi bron, konieczność sprzyja sojuszom!

-Tamisan! - Ostry głos Starrexa wyrwał ją z ponurego przygnębienia po nieudanej próbie. - Pamiętaj o tym, że ten sen może wcale nie być zwykłym snem. Czy nie można otworzyć drzwi do innego świata?

-Do którego świata? - Wspomnienia tego, co widziała na tasmach, co z nich wyczytała, wirowały jej w głowie. Bezgłosne szczekanie psów Ittera, które Tamisan słyszała, powodowało, że jej ciało kurczyło się i drżało, ale przede wszystkim maciło jej myśli.

-Którego świata? Ktoregokolwiek... myśl, dziewczyno, myśl! Jeśli musisz, uchwyc się tylko jednego, ale myśl!

-Nie mogę. Psy, auuu, one tu idą, idą! Jesteśmy mięsem dla tych, którzy błądzą po mrocznych ścieżkach w bezkسیeczowe noce. Jesteśmy zgubieni. - Tamisan, twórczyni snów, ukryła się całkowicie w Głosie Olawy, a Głos zniknął. - Pozostało tylko obdarte, bezradne stworzenie, skulone w cieniu śmierci, przed którą nie mogło się schronić. Była... Jej głowa drgnęła, policzek zapiekł od uderzenia, jakiego wymierzył jej Starrex.

-Jesteś fantazjotwórczynią! - Jego głos brzmiał stanowczo. - Snij, snij jak nigdy przedtem nie sniłaś, możesz to zrobić, jeśli tylko zechcesz, możesz!

Policzek podziałal tak samo jak tamto pachnące powietrze na statku, jej wola wróciła, myśli uspokoiły się. Twórczyni snów odepchnęła od siebie tamta, słaba Tamisan.

Który świat? Jakis punkt, potrzebuje jakiegoś punktu w historii!

-Yaaah! - Ten krzyk Starrexa nie był już skierowany do niej. Może był to okrzyk bojowy Hawarela?

Za osłoną krzaków ukazał się blady pysk, fosforyzujący przeraźliwym, obrzydliwym

swiatlem. Poczula raczej niz zobaczyla, ze Starrex wystrzelil do niego z lasera.

Jakas decyzja, wybija ja ze mnie woda. Wzmaga sie wiatr, jakby chcial wygarnac nas z tej nedznej kryjowki i uczynic latwym lupem dla tych bestii. Toniemy, morze, morze, Morscy Krolowie Natha!

Goraczkowo uchwycila sie tej myśli. Niewiele wiedziala na temat Krolow Morza, ktorzy wladali niegdys archipelagiem na wschod od Ty-Kry. Stanowili zagrozenie dla TyKry tak dawno temu, ze nalezeli juz wlasciwie do legendy, nie do historii. Wszyscy zostali zdradzeni, ich wladce i marszalka ujeta podstepem. Trujacy Puchar Natha. Tamisan zmusila sie, aby przypomniec sobie wszystko i zatrzymac te mysl. Kiedy juz wybrala, powrocila jej jasnoc umyslu. Gwaltownie uniosla rece, znow dotknela Starrexa i Kasa, choc o tym drugim nawet nie myslala, chwycila go bezwiednie, jakby musiala go wlaczyc, aby sie powiodlo.

Trujacy Puchar Natha - tym razem nie zostal wypity!

Tamisan otworzyla oczy. Nie - pomyslala - nie jestem Tamisan, jestem Tam-sin!

Usiadla i rozejrzala sie wokol. Miekkie, bladozielone okrycie zsunelo sie z jej ciala.

Przygladajac sie sobie, zobaczyla, ze jej skora nie byla juz sniada, lecz perlowobiala.

Siedziala na lozku w ksztalcie wielkiej, otwartej muszli, jej druga polowa wznosila sie nad poslaniem, tworzac baldachim. Nie byla tu sama. Odwrocila sie ostroznie, aby przyrzec sie swemu spiacemu towarzyszowi. Jego glowa byla czesciowo odwrocona, zobaczyla wiec tylko kraglosc ramienia, bladego jak jej wlasne, i kedzierzawe wlosy o rdzawej barwie wodorostow, scisle przylegajace do czaszki. Bardzo ostroznie dotknela koniuszkiem palca jego skulonego ramienia i juz wiedziala! Westchnal i przewrocil sie na drugi bok, twarza do niej. Tamisan usmiechnela sie i zlozyla dlonie pod swymi drobnymi, strzelistymi piersiami.

Nazywala sie Tam-sin, a to byl Kilwar, ktory wczesniej byl Starrexem i Hawarelem, a teraz zostal Panem LockNar Blizszego Morza. Byl z nimi ktos jeszcze, ktos trzeci!

Przypomniala sobie i usmiech jej przygasl. Kas! Z lekiem rozejrzala sie po komnacie, po scianach z masy perlowej, bladozielonych draperiach, tak dobrze znanych Tam-sin.

Kasa tu nie bylo, co nie znaczylo jednak, ze nie ukryl sie gdzies w poblizu, by niszczyc, zgodnie ze swoja natura.

Gorace ramie objelo jej talie. Zaskoczona spojrzala wprost w zielone oczy, oczy, ktore znaly i ja, i tamta Tamisan. Pod tymi znajomymi oczami w kolorze morza zobaczyla usmiechniete usta. Jego glos brzmial i znajomo, i obco:

-Wydaje mi sie, ze to bedzie bardzo ciekawy sen, moja mala Tam-sin.

Osunela sie na poslanie u jego boku. Byc moze, nie, na pewno mial racje...

## CZESC DRUGA

### STATEK WE MGLE

I

Tam-sin, urodzona jako fantazjotwórczyni Tamisan, stała w wąskiej szczelinie skalistej wieży. W dole szumiało morze, bryzgając pianą tak blisko, że wystarczyło się pochylić, aby ująć w dłoń słoną koronkę. Nadchodziła niespokojna sztormowa noc. Fale w dole wściekle smagały skałę, a mimo to nie czuła leku, raczej ożywienie, mocne niż ciekawe wino, grzejące jej skapło odziane, jasnoperłowe ciało. Za nią znajdowała się ta sama komnata, w której się obudziła, o ścianach pokrytych masą perłową, z łozem w kształcie muszli i turkusowymi draperiami. Była to część morskiej krainy i, tak jak ludzie z Blizszego Morza, była podobna do strzegącego ich wysp świata, czyli morza. Morze było ich życiem, a ktoż by się oddechu życia? - Pani moja... - Senny, leniwy głos dochodził z posłania w formie muszli - wygląda na to, że szukasz...

Odwrociła się powoli, by spojrzeć na mężczyznę, który leżał tam wygodnie, ledwo okryty jedwabną tkaniną.

-Panie mój - odpowiedziała głosem, by nie zagłuszyła jej piosenki fal - przypominałam sobie Kasę.

Jego zielone oczy zweziły się, zniknął też uśmiech pełen zadowolenia. W jego twarzy, zupełnie nowej twarzy, zobaczyła to, co widziała chyba tylko ona: stoicka obojętność Starrexa, zdziwienie Hawarela - tych, którymi był niegdyś, a którzy wciąż musieli istnieć w jego myślach.

-Tak, Kas. - Jego głos nie był już taki ciepły, raczej zmęczony, jakby został wyrwany z polsnu, aby znowu wziąć na plecy jakieś brzemie.

Polsem? To, co otaczało ich tutaj, było czymś więcej niż jakikolwiek sen. Tamsin dobrze знаła sny, potrafiła je wywoływać i niszczyć zgodnie z własną wolą; wydarzenia i ludzie ze snów byli jak marionetki, którymi bawiła się niegdyś. To skończyło się wraz z wizją, jaką stworzyła dla Lorda Starrexa, wplatając ich oboje w przygodę, nad którą nie panowała. Udalo im się uciec tu, gdzie czekały na nich nowe osobowości, nowe przygody i, bez wątpliwości, nowe niebezpieczeństwa. Tylko co stało się z Kasem, kuzynem jej Pana, a ich wrogiem, który próbował unicestwić ich równocześnie w dwóch czasach, w dwóch światach - i on przecież musiał znaleźć się w tej krainie, choć niekoniecznie w ich towarzystwie.

Mężczyzna usiadł. Miał jasną, bladą skórę, tak jak ona. Miękką, okrywającą go tkaniną nadawała jego ciału zielonkawy połysk. Jego włosy, przypominające rdzawobrazowe wodorosty, były dokładnie tego samego koloru co jej własne, widoczne w wiszącym na

scianie, gładkim zwierciadłem z polerowanego srebra.

-Jestem Kilwar, Pan LockNar - rzekł powoli, jakby upewniając się co do własnej osobowości. - Jakież to sen stworzyłaś dla mnie tym razem, moja Tam-sin?

-Sen o świecie, w którym Trujacy Puchar Natha nie dotknął warg naszych ludzi, o Pani mojej.

-Trujacy Puchar Natha, zdradzenie Królów Morza. - Lekko zmarszczył brwi, wywołując z pamięci myśli należące nie do Kilwara, lecz do Starrexa. - A zatem zdrada nie dosięgła Natha.

-Tego pragnęłam, Pani. Uśmiechnął się.

-Tam-sin, jeśli potrafisz odwracać drogi historii, jesteś rzeczywiście potężną fantazjotwórczynią. Wydaje mi się przy tym, że LockNar bardziej przypadnie mi do gustu niż świat Hawarela. Choc, jak sama powiedziałaś, wciąż istnieje problem Kasa. Musimy sobie jakos z nim poradzić, a nie będzie to łatwe. Czy sciągnęłaś go tutaj?

-Jesteśmy ściśle związani. Nie moglibyśmy przybyć tu bez niego.

-Choc wygląda na to, że nie znajduje się w najbliższej okolicy. - Kilwar wstał.

Jego ciało nie było tak muskularne jak Hawarela, a otwory skrzelowe na szyi otaczała falda skóry.

Jednak z jego nagiego ciała emanowała ta sama władcza siła, jaką posiadał jako Starrex.

-I - dodał - wcale nie podoba mi się to, że Kasa nie ma tu, gdzie mogłbym go przypilnować. Czy to możliwe, że powrócił?

-Nie - tego Tam-sin była pewna. - Jego twórczyni snów obudziła się tam, zanim wciągnęłam go do naszego snu. Nie, jest zbyt mocno powiązany z nami.

-Moja wszechmocna pani! - Stał już przy niej, jej ciało topniało z rozkoszy pod wpływem jego dotknięć. Oboje mieli wrażenia, że budzi się w nich jakaś wrodzona moc. - Jesteś taka cudowna. - Poczula ciepły oddech na swoim policzku. - Jesteś ta Tamsin, która postanowiła złączyć swoje życie z moim.

Poddała się jego pieścizocie, czując, jak ginie w niej Tamisan, fantazjotwórczyni, a ona całkowicie poddaje się prawdziwej Tam-sin, tej, której on pragnie. Ogarnęło ją ciepłe odretwienie. Jego usta delikatnie muskały jej przymknięte powieki, kiedy nagle w ich rozkoszna bliskość wdarł się ponury, huczący dźwięk.

-Sygnał muszli... - Wypuścił ją z objęć.

Siegając po wysadzany muszlami pas i kilt z lusek, w jednej chwili przeistoczył się z kochanka we władce. Podala mu miecz wykonany z ogromnego dzioba krwiozerczej ryby-pily, jego postrzepiona klinga ukryta była w pochwie z twardej skóry tej samej ryby. Kiedy on przypasywał miecz, ona zawiązała krotka, waska szata pozbawiona rekawów, przewlekając sznurki przez perłowe petelki przy staniku i sięgnęła po sztylet z zakrzywionego zęba taskana.

W czasie ich pospiesznych przygotowań jeszcze dwukrotnie rozległ się ponury dźwięk rogu, odbijając się echem po komnatach wykutych w morskiej skale. Ta czastka Tam-sin, która należała do tego świata, wiedziała, że takie wezwanie może oznaczać niebezpieczeństwo.

Znowu przypomniała sobie Kasa i zaczęła zastanawiać się, co mogli knuć tym razem.

W

pierwszym śnie z takim uporem usiłował zabić swego kuzyna, że z trudem mu w tym przeszkodziła. Wraz z odejściem Starrexa całe bogactwo i władza przypadłyby Kasowi.

Jednak w poprzednim, wysnionym Ty-Kry, Kas przegrał. Czy tutaj znajdzie jakąś potężniejszą bronię?

Wyszła z komnaty za Kilwarem. Ściany straciły tu tę gładkość, jaką miały w części mieszkalnej; posiadały strukturę właściwą skalom, szorstką i naturalną, przeciętą wąskimi, kretymi przejściami pomiędzy większymi pomieszczeniami. Schodzili schodami wyszczerbionymi od wieków używania. Skala po lewej drżała, obmywana na zewnątrz morskimi falami. Tam-sin wiedziała, że znaleźli się na poziomie morza, postępowała tuż za Kilwarem, który wyszedł przez wygładzony ludzka dłoń portal na osłoniętą przez skalny dach otwartą przestrzeń, w którą wdzierało się już morze, tworząc długą wstęgę pomiędzy dwoma równymi kawałkami ładu, gorującymi nad najwyższym punktem przypyływu. Na wodzie kołysał się nieduży statek. Choć woda była domem Ludzi Morza, oni także potrzebowali statków dla swego rybackiego rzemiosła - ten był właśnie jednym z nich.

Członkowie załogi schodzili akurat z pokładu, zeskakując wprawnie na stworzone przez naturę nabrzeże. Inni mężczyźni, uzbrojeni, choć ich miecze wciąż ukryte były w pochwach, salutowali Kilwarowi, który mijal ich szeregi, zbliżając się do żeglarzy.

Wszyscy byli tubylcami. Przybywający tu kupcy z Ładu nigdy nie korzystali z wewnętrznych portów. Ich przywódca podniósł rękę w geście pozdrowienia, które Kilwar odwzajemnił.

Było ich zaledwie czterech, za mało jak na całą załogę. Jednak nikt więcej nie wyszedł spod pokładu. Tych czterech zaś było zdenerwowanych tak bardzo, że Tam-sin odebrała ich nastroj równie łatwo, jakby wysyłali sygnały alarmowe. Znała ich kapitana, Pihuysa. Był twardym człowiekiem. Łowca krwiozerczych ryb był mężczyzną, którego nie mogło

przestraszyc byle co. Tym razem, wyczuwała to, jego zdenerwowanie podszyte było lekiem.

-Panie... - Pihuys zawahał się, jakby nie mógł znaleźć właściwych słów dla wyrażenia tego, co miał do powiedzenia.

-Przybyłeś - Kilwar podszedł do niego i położył na jego ramieniu dłoń przywódcy klanu - ze złymi wiadomościami. Mów, kapitanie. Czy ludzie z Ladu pokazują swoje kły? To nie wstrząsnęłoby kims, kto przewodził w Bitwie pod Narrows.

-Ladowe szczury? - Pihuys potrząsnął głową. - Na pewno nie, Panie. Choć może kryje się za tym wszystkim jakaś ich magiczna sztuczka. Chodzi o to... - Wział głęboki oddech i dopiero zaczął mówić dalej, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa: - Sprawdzaliśmy właśnie rafy Lochack, bo doszły nas słuchy, iż ryby wpłynęły na tamtejsze mielizny. Panowała tam mgła, taka jaka zwykle pojawia się, zanim nastanie dzień.

W tej mgłę natrafiliśmy na opustoszały statek. Był to jeden ze statków tych z Ladu, a jego ładownie były pełne i zapieczętowane. Pomyślałem, że przydryfował tu z terenów wschodnich.

Była to cenna zdobycz, bo na pokładzie nie spotkaliśmy ani jednej żywej istoty. Poza tym wszystkie szalupy były na swoim miejscu. A przecież te szczury ladowe nie mogą długo żyć w wodzie, więc zabrałyby je, schodząc z pokładu. Było tam nawet mnóstwo tego pożywienia, od którego ludzie tak szybko rosną. Nie znaleźliśmy natomiast żadnych śladów walki, niczego podejrzanego, żadnych uszkodzeń spowodowanych przez sztorm, nic. Pomyśleliśmy, że Vlasta usmiechnęła się do nas, bo statek był mocny, a do tego pełen ładunku.

Zostawiłem więc na pokładzie czterech ludzi i przycumowaliśmy go do naszego "Talquina".

Mgła gestniała i, choć trzymaliśmy statek na holu, nie widzieliśmy nic poza liną.

Kazałem Rikertowi, który miał dowodzić ludźmi na tamtym statku, aby dał w muszle co klepsydre.

Wysłał sygnał trzykrotnie, a potem, Panie mój, zapadła cisza. Wzywaliśmy ich, ale nie odpowiadali. Wrociliśmy więc i znowu weszliśmy na pokład. Panie, moi ludzie zniknęli bez śladu! Przecież nawet gdyby zmyła ich woda, nie było powodu, dla którego nie mieliby przyplynieć do "Talquina". Znaleźliśmy tylko rogi z muszli, leżały na pokładzie, jakby ktoś go upuścił.

-A statek?

-Panie, po raz drugi popełniłem błąd. Wund, brat Rikerta, i Yitkor, jego towarzysz broni, prosili, abym pozwolił im przejść wartę i zbadać, jaka tajemnicę kryje ten dziwny okręt.

Zgodzilem sie na to. Znowu otoczyła nas mgła i po raz drugi umilkła muszla.

Ludzie znowu zgineli - Pihuys rozłożył ręce w bezradnym geście. - Przysięgam sobie, że sprowadzę ten statek, aby mogli go sprawdzić w LochNar. Kiedy jednak znaleźliśmy się na pokładzie "Talquina", a mgła zaczęła opadać... Panie, trudno w to uwierzyć, ale lina straciła napięcie i kiedy wciągnęliśmy ją na pokład, okazało się, że została przecięta!

II

-Statek ludzi z Ladu - powtórzył zamysłony Kilwar. - Wierzę, że dokładnie go przeszukiwaliscie za każdym razem. Pihuys skinął głową.

-Panie, sprawdzaliśmy każde miejsce, w którym mógł zmieścić się człowiek.

Wejście do ładowni było zabezpieczone nie naruszona pieczęcią.

-A jednak, kapitanie, istnieje jakieś wyjaśnienie tej twojej tajemnicy! - Głos był wysoki i tak nieprzyjemny, że Tam-sin spojrzała przez ramię na mężczyznę, który wyszedł z portowej jaskini. Poruszał się niezgrabnie, utykając na jedną nogę, na jego twarzy widniał złośliwy grymas. Był jednak podobny do Kilwara. Pochodząca z tego świata Tam-sin знаła go. To był Rhuys, brat Kilwara, który po obrażeniach, jakich doznał dwa sezony temu podczas zimowych polowań, stał się złośliwy i zgorzkniały. Poruszyła ją jeszcze jedna myśl: w skalistym zamku Rhuys był jej wrogiem. Nie okazywał tego, ale ona, dzięki wrażliwości (szczególnie rozwiniętej u twórców snow), doskonale wyczuwała jego wrogość.

Teraz nawet nie spojrzał w jej kierunku, usiadł u boku Kilwara, naprzeciw kapitana.

-Lordzie Rhuys. - Głos Pihuysa był teraz znacznie bardziej oficjalny. - Mogę mówić tylko o tym, co sam widziałem. Przeszukaliśmy okret od dziobu po rufę, szalupy wisiały na swoich petlach, na pokładzie nie było żadnej żywej istoty. - Żywej istoty? - powtórzył za nim Kilwar. - Brzmi to tak, Pihuysie, jakbys sadził, że wyjaśnienie tkwi poza światem istot żyjących.

Kapitan zadrzał.

-Panie, od pokolen żyjemy z morza, w morzu i z morzem. Czy nie natrafiamy na tajemnice, których ani my, ani nasze legendy wyjaśnić nie potrafia? Są glebie tak przepastne, że nasz gatunek nie zapuszcza się w nie. Kto wie, co może kryć się w nich?

-Ale - upierał się Rhuys - to nie jest bajka o Wielkich Glebinach, lecz o powierzchni i statku pochodzącym z Ladu. Nie ma tu żadnego związku z owymi tajemnicami - oni po prostu chcą nas przestraszyć.

Tam-sin wydawało się, że słyszy w tych słowach ton pychy. Może Rhuys, który stracił już w życiu tak wiele, przywykł do myśli, że ich ludowi zagrażają inni.



-Mowie tylko to, co sam widzialem i sam slyszalem - powtorzyl z naciskiem Pihuys.

Nie patrzyl nawet na Rhuysa, kierujac wzrok wprost na Kilwara. Rhuys nie byl szczegolnie lubiany wsrod mieszkancow LockNar, zbyt czesto pozwalal sobie na irytacje.

-Podaj mi swoja mape, Pihuysie - powiedzial Kilwar. - Moze ten statek wciaz tam dryfuje? Powiedziales, ze hol zostal odciety. Czy nie mogla byc to robota morskich drapieznikow?

Pihuys odwrocil sie lekko i gestem przywolal jednego ze swoich ludzi. Ten wskoczyl po chwili na poklad zakotwiczonego statku i wrocil ze zwojem ciezkiej liny, przewieszonym przez ramie. Kapitan wzial do reki luzny koniec liny. Nawet Tam-sin, ktora nie znala sie na wyposazeniu statku, widziala, ze cuma zostala przecieta gladko, co wymagalo ostrego noza albo topora. Kilwar przesunal palcami po odcietym koncu.

-To wymagalo sily - zauwazyl - oraz dobrego ostrza. Czy lina zostala przecieta na pokladzie, czy tez pomiedzy wami a tamtym okretem?

-Z dlugosci wynika, ze na statku, Panie - natychmiast odparl Pihuys. - Nie bylo tez zadnych wstrzasow, jak przy pilowaniu. Dokonano tego jednym ciosem.

Rhuys rozesmial sie nieprzyjemnie.

-Mogl uciac ja czlowiek,, ktory uznal, ze ladunek wart jest utraty przyjaciol.

Jesli ten statek z Ladu byl tak nienaruszony, jak powiadasz, z latwoscia mogli pozeglowac do Insigal, zamieszkanego, jak wszyscy wiedza, przez tych, co nie grzesza uczciwoscia.

Po raz pierwszy Pihuys spojrzal prosto w twarz Rhuysowi.

-Panie, jesli na pokladzie ukrylby sie jakis czlowiek, znalezlilibysmy go z pewnoscia.

Znamy sie na statkach, a ten przejrzelismy dokladnie. A jesli sugerujesz, ze to moi ludzie probowali takich sztuczek... - Spojrzzenie, ktore skierowal teraz na brata Kilwara, bylo niemal mordercze.

-To nie tak, Pihuysie - przerwal mu Kilwar. - Nikt nie twierdzi, ze ty albo twoi ludzie mozece byc odpowiedzialni za statek wyprowadzony do Insigal. - Zmarszczyl gniewnie brwi, ale nawet nie spojrzal na brata.

Tam-sin westchnela w mysli. Czasem Kilwar powinien widziec w Rhuysie tego, kim byl on naprawde: zlosliwego czlowieka, ktory nieustannie wywoluje jakies konflikty, rozpala wiele ognisk i wymaga od Kilwara, by ten nie dostrzegal jego winy wtedy, gdy ogniska przemienialy sie w grozne pozary. Wiedziala, ze nie zdola przekonac o tym swego Pana.

Rhuys potrafil wplynac na niego, jesli chcial, a ja darzyl prawdziwa nienawiscia. Nie mogla

wiec pozwolic na to, by cos ja poroznilo a Kilwarem.

-Przynies mi swoja mape - mowil dalej Kilwar. - Musze zapytac Panow Lochriss i Lochak, moze zauwazyli cos, albo tez o czyms slyszeli. Natrafiles na ten wrak w okolicy Raf, a ich statki patroluja ten teren.

Na stole w sali narad rozpostarto mape Raf. Kilwar zauwazył, ze zebrani tu Starsi znaja wiecej dziwnych opowiesci z morza niz zawieraja ich archiwa. Rozkazal Pihuysowi, by przedstawil swoja relacje na temat statku w mgle, a potem popatrzył na starszyzne.

-Czy wiecie cos na temat podobnych zdarzen? - spytal Pan LockNar, kiedy po relacji Pihuysa zapadla cisza.

Przez chwile nikt nie odpowiadail. Pozniej Follan, ktory - jak wszyscy wiedzieli - wielokrotnie wedrowal po wschodnich morzach, wstal i podszedl do mapy. Dotknal wskazujacym palcem linii nakreslonej przez Pihuysa.

-Tak, Panie, zdarzylo sie cos takiego, ale nie na tych wodach.

-Kiedy i gdzie? - krotko spytal Kilwar.

-Na wschod od Quinquare jest takie miejsce, gdzie widywano okrety, takze zaladowane, pozbawione zalogi. Zadnemu kapitanowi nie udalo sie zholowac takiego statku. W owym czasie stalo sie to tak wielkim zagrozeniem, ze ludzie przestali przyplywac do Quinquare i handel tam zamarl, a jego mieszkancy uciekli w glab ladu albo za morze, miasto zas zostalo zrujnowane.

Mijaly lata i nikt wiecej nie widzial tych upiornych statkow. Totez Quinquare odzylo, choc nigdy juz nie powrocilo do dawnej swietnosci.

-Quinquare - zadumal sie Kilwar. - Dzieli nas od niego pelne morze. Na tym wybrzezu nie widywano takich statkow?

-Rzeczywiscie - odparl Follan. - Panie, nie podoba mi sie to. Upiorne statki z Quinquare dzialaly dokladnie w ten sam sposob. Jesli jakas sila przygnala je na nasza strone, oznacza to prawdziwe klopoty.

-Panie, sokoly... - Opiekun tych smiglych, szybkich poslancow podszedl do stolu, trzymajac dwa ptaki na obu dloniach. Rozgladaly sie wokol bystrymi, Isniacymi oczami, niecierpliwie przebierajac nogami na rekawicach sokolnika. Byly prawdziwymi morskimi orlami, przemierzajacymi bez zmeczenia przestworza ponad falami, przygotowywanymi do roli poslancow, zapewniajacych lacznosc pomiedzy wieza na skalistej wyspie a siedzibami innych Krolow Morza. Kilwar wyciagnal niewielki kawalek wysuszonej skory morskiego weza i napisal na niej szyfrem kilka slow. Potem wzial po kolei oba ptaki i umiescil swoje listy w rulonikach przywiazanych do ich nog.

-Wypusc je teraz - rozkazal - i badz gotow na szybka odpowiedz.

-W tej chwili, Panie.

-Tymczasem - rzekl Kilwar - przygotujmy nasz okret bojowy. Sami wyruszmy na poszukiwanie tego statku, o ile ciagle plywa niczym zasadzka na ludzi. Pihuysie, jaki rodzaj pieczeci widziales na luku ladowni? Znasz ten znak?

-Tak wygladal, Panie. - Kapitan wzial nastepny kawalek wezowej skory i upuszczony przez Kilwara patyk do pisania. Naszkicowal kilka linii. - Nigdy przedtem go nie widzialem - dodal, odkladajac pisak i podsuwajac szkic Panu.

Nie zwazajac na baczne spojrzenie Rhuysa, Tam-sin przysunela sie o krok, aby zerknac ponad ramieniem Kilwara. Glosno wciagnela powietrze, kiedy znaczenie tych linii stalo sie jasne. Tam-sin z LockNar nie rozpoznawala ich, ale Tamisan z Ty-Kry znala je az nazbyt dobrze... Ujrzala tez, a moze raczej poczula, nagle napiecie miesni Kilwara, który takze rozpoznal ten znak.

-Wydaje sie, bracie - odezwal sie Rhuys - ze choc nawet nasz dzielny kapitan nie zna tego godla, zna je ta, która dzieli z toba loze.

Szescioramienna gwiazda z utkwiona w niej, postrzepiona blyskawica, symbol Starrexa z Ty-Kry, prawdziwego Ty-Kry, z ktorego przybyli, to moglo byc tylko to, tylko to!

III

Tam-sin nie odpowiedziala Rhuysowi, ktorego slowa zabrzmialy niczym oskarzenie. Byla pewna, ze i Kilwar od razu rozpoznal herb swego rodu z czasow, nim - za sprawa Kasa - zostali uwiklani w pulapke snow. Zdala sie wiec na jego decyzje. Odezwal sie jednak Follan, ze zwykla sobie powaga:

-Pani Tam-sin, czy naprawde znasz ten symbol? Przygladala mu sie z uwaga, jednak nie wyczuwala w nim tej nienawisci, jaka jej wzraliwosc odkrywala w Rhuysie. Jako Tam-sin wiedziala, ze Follan byl jej przyjacielem od chwili, w ktorej zjawila sie tutaj.

Nie urodzila sie bowiem w LockNar, przybyla z niewielkiej, skalistej wiezy nie majacej wiekszego znaczenia w tej okolicy.

-Znamy go oboje - odparl Kilwar, zanim zdolala znalezc wlasciwa odpowiedz. - To herb pewnego rodu z Ladu, w swoim czasie dosc poteznego. Teraz moze byc znakiem wroga.

Wiedziala, ze myslal o Kasie. Czy to mozliwe, aby w tym snie Kas byl glowa rodu Starrex, aby w ogole istnial tu ten rod?

-To niedobrze, ze jest on zamieszany w sprawe okretu-widma - dodal Kilwar.

Odpowiedz Kilwara sprawila, ze Tam-sin przestala byc w centrum uwagi. Dostrzegla tylko pelne zlosci spojrzenie Rhuysa; odpowiedziala na nie stanowczym uniesieniem glowy.

Rhuys nie byl w stanie zaklocic jej zwiazku z Kilwarem, bez wzgledu na to, jak dotad postepowal z ta Tam-sin, w ktorej postac sie wcielila.

Pomiedzy nia a Panem Morza istniala wiez, ktorej nikt nie zdolalby pojac, a tym bardziej zniszczyc.

-Ludzie z Ladu - wybuchnal kapitan - zawsze sa dla nas zagrozeniem, ale dlaczego?

Nie pragniemy ich ladowych terytoriow, nie bronimy im dostepu do morza, kiedy zdolaja zebrac dosc odwagi, aby wyruszyc na wode! Wiec dlaczego zawsze sa naszymi wrogami?

-Chciwosc to ich cecha wrodzona - odrzekl Follan. - Oni nigdy nie maja dosyc, ciagle chca miec wiecej i wiecej. Wielkiej Krolowej nie podoba sie to, ze nasi Panowie nie zginaja kolan na jej dworze, nie sla jej darow. Powiadaja takze, ze dlatego, iz my mozemy zyc tu, gdzie oni nie moga, bo naraziliby swoje zycie... - Jego dlonie uniosly sie, dotykajac zamknietych teraz skrzeli. - Jestesmy innym gatunkiem. Oni nienawidza i boja sie tego, czego nie potrafia zrozumiec. My zreszta tez nie reagujemy inaczej w takich sytuacjach. Ten statek nalezal do ludzi z Ladu, skoro nosil pietno jednego z ich rodow.

-To pulapka. - Rhuys pokustykal kilka krokow do przodu, stajac po lewej stronie Kilwara, podczas gdy po prawej stala Tam-sin. - Ten okret to przyneta, bracie.

Czy nie stracilismy juz osmiu ludzi, ktorzy zesli na poklad i nie wrocili? Oni moga chciec, bysmys dalej probowali i tracili coraz wiecej ludzi. Najlepiej uzyc morskiego ognia i zmiesc ten okret z powierzchni wody...

-Zyskamy w ten sposob pewnosc - kwasno zauwazyl Pihuys - ze niszczymy jedyny sposob ustalenia tego, gdzie sa nasi ludzie i czy kiedykolwiek zdolamy ich odnalezc.

-Czy wydaje ci sie, ze oni jeszcze zyja? - rzucil Rhuys. - Nie badzze takim glupcem, kapitanie!

Dlon Pihuysa zacisnela sie na rekojesci przypasanego noza, a Rhuys usmiechnal sie. Tamsin nie watpila w to, ze celowo sprowokowal kapitana, choc nie wiedziala dlaczego.

-Cicho badz, Rhuysie. - Glos Kilwara byl opanowany, ale jego ton wywolal rumieniec na zgorzknialej twarzy brata. - Poczekamy - rozstrzygnal spor - na wiesci z Lochak i Lochriss; jesli tam wiedza cos wiecej o statku, przydadza sie nam ich informacje. Potem, o brzasku, wyplyniemy na okrecie bojowym i zobaczymy, czy uda nam sie cokolwiek odkryc.

Wy, Starsi, i ty, kapitanie, zastanowcie sie, czy nie macie jeszcze jakichs pomyslow, przemyslcie je. Wysluchamy ich, gdy ponownie zbierzemy sie na naradzie.

Rozeszli się w ciszy, zatopieni we własnych myślach. Kilwar odprowadził ich wzrokiem, jego dłoń wciąż spoczywała na mapie. Został tylko Rhuys.

-Nadal twierdzą, że to pułapka.

-Może masz rację, bracie. Jednak zanim spróbujemy ją zniszczyć, musimy przekonać się, co to za pułapka. A kto przed laty zastawił pułapkę pod Quinquare? Nic nas nie łączy z terenami na północnym wschodzie od czasu, gdy zostały one opanowane przez Kamocków, których morze nie obchodzi, i nasi kupcy nie zapuszczają się w tamte okolice.

Mogło zdarzyć się tak, że ten, kto postanowił zniszczyć Quinquare, zrezygnował z tego właśnie ze względu na Kamocków i postanowił zacząć działać tutaj. Choć nie widzę powodu, dla którego miałby to uczynić. Ten ktoś nie plądruje statków. Chyba że okret został opróżniony i zapieczętowany na nowo, w co nie wierzę. Pihuys jest zbyt doświadczonym żeglarzem, by nie odróżnił statku pływającego z balastem od takiego, który jest pełen towarów. Jednak ta pułapka wymagała zbyt wiele wysiłku, jak na to, by złapać tylko kilku śmialków, którzy zeszli na pokład czegoś, co uważali za wrak.

-Szesciu z dziesięciu członków załogi, bracie, to niemały łup - odparł Rhuys.

-Nie dla naszych rachunków. Lecz jeśli ta gra przeciągnie się... - Kilwar zmarszczył brwi. - Poczekajmy tylko na wieści z Lochak i Lochriss, może dowiemy się czegoś więcej.

Jeśli nadejda, będę w naszej komnacie - wyciągnął rękę. Tam-sin lekko położyła palce na jego nadgarstku i odeszli oboje od stołu, zostawiając Rhuysa samego.

Nie zamienili ze sobą ani słowa, dopóki nie znaleźli się na powrót w tej samej komnacie, w której się razem obudzili. Kilwar podszedł do wąskiego otworu okiennego i wyjrzał.

-Nadchodzi burza - zauważył - może zdarzyć się tak, że żaden statek nie wypłynie, nawet w najpilniejszej potrzebie.

-Kilwarze.

Na dźwięk swego imienia odwrócił się. Tam-sin pośpiesznie spojrzała w lewo i w prawo.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że są obserwowani, że ktoś ich szpieguje. Mimo że ta jej część, która dobrze знаła wieże, wiedziała, że to niemożliwe.

-Pieczęć... - podjęła.

-Właśnie, pieczęć. - Podszedł bliżej, jakby i on wyczuwał, że są obserwowani. - Powiedziałaś mi kiedyś, że w tych snach stajemy się tymi ludźmi, którymi bylibyśmy, gdyby historia potoczyła się inaczej.

-Tak sadzilam.

-Mowisz "sadzilam", czyzby juz w to nie wierzyla?

-Sama nie wiem. Wsrod moich przodkow nie bylo ludzi morza. A wsrod twoich, Panie?

-Nic o tym nie wiem. Poza tym wyglada na to, ze moj rod nadal tu istnieje, choc ja do niego nie naleze.

-Kas nalezy.

-Tak, Kas. Czy to mozliwe, ze jakimis zrzadzeniem losu on stal sie glowa rodu?

Czy wiesz, jak moglo do tego dojsc, Tam-sin?

Potrzasnela glowa.

-Panie, jak juz ci mowilam podczas naszej pierwszej przygody, to nie sa zwyczajne sny, ktore moglam ksztaltowac wedle wlasnej woli. Ja takze jestem w nie uwiklana, co sie zwykle nie zdarza. Moge przerwac ten sen, przynajmniej taka mam nadzieje, ale, jak wiesz, aby to zrobic, musimy zebrac sie we troje. A Kasa tu nie mamy.

-O ile nie jest on zamieszany w tajemnice okretu-widma i nie natkniemy sie na niego, probujac rozwiaczac te zagadke - zauwazyl Kilwar. - Wprawdzie nie jestem czlowiekiem o nadmiernie rozbudzonej wyobrazni, jednak wyczuwam tu klopoty, rowne tym, z jakimi musielismy sie borykac na dworze Wielkiej Krolowej.

-Uwazaj na Rhuysa - wypowiedziala slowa ostrzezenia, ktore wydawaly jej sie najwazniejsze. - To czlowiek zgorzknialy i, jak Kasa, razi go, ze posiadasz to, czego jemu brakuje. Kas pragnie twojej pozycji, twego bogactwa. Rhuys chce tego samego, ale poza tym niszczy go zawisc, ze ty jestes sprawnym mezczyzna, a on kaleka, odcietym od pelni zycia.

-Ta czesc mnie, ktora pochodzi stad - powiedzial powoli Kilwar,- nie przyjmuje twoich slow do wiadomosci. Ale masz racje. Jak dotad, powstrzymuja go wiezy krwi, jestesmy przeciez bracmi. Nienawisc miedzy bracmi moze byc jednak silniejsza niz kazda inna. A ciebie on nienawidzi jeszcze bardziej niz mnie. Nasz zwiazek jest wedlug niego haniebny, gdyz ty jestes Spiewaczka Przyplywow i pochodzisz z mniej znaczonego rodu.

Gdyby mogl, pozbawilby mnie dziedzictwa. - Spiewaczka Przyplywow... - wolno powtorzyla Tam-sin i siegnela do pokladow pamieci swej osobowosci. Tak, rzeczywiscie, byla Spiewaczka Przyplywow, swiadomosc tego powrocila wraz ze wspomnieniami Tam-sin. Byla to dziwna, obca jej swiadomosc.

Bedzie musiala dokladniej sprawdzic swoje wspomnienia, aby dowiedziec sie czegos

wiecej na temat tej zdolnosci, nalezacej do innego czasu i obcej rasy. Przez szczeline okienna wdarl sie do srodka gwaltowny podmuch wiatru i Kilwar szybko zaciagnal okiennice.

-Prawdziwy sztorm - stwierdzil.

Tam-sin pomyslala wtedy, ze inna, niewiele slabsza burza zbiera sie nieuchronnie we wnetrzu strzelistej budowli.

#### IV

Przez cala noc burza klebila sie i walila w skalista wieze. Tam-sin spala czujnie, budzona nieustannie przez dudniace wsciekle fale. Kiedy tak lezala, napieta i drzaca, dwa razy poczula na sobie dlonie Kilwara, ktore cieplem i dotykiem koily jej niepokoj. Starala sie przywolac wspomnienia Tam-sin i odkryc, jakimi silami dysponuje w swym nowym wcieleniu. Byla juz fantazjotworczynia, a potem Glosem Olawy w obcym swiecie, gdzie musiala stanac oko w oko z gniewem Wielkiej Krolowej, teraz zostala Spiewaczka Przyplywow - kims, kto spiewem wabil ryby w sieci, kto "widzial" z daleka kazdy statek Krolow Morza. W kazdym wcieleniu dysponowala jakimis niezwyklej darem. Spiewaczka Przyplywow mogla podazac mysla za statkiem, jesli byla zwiazana z kims na pokladzie. Nie mogla jednak sledzic okretu, jesli takie wiezy nie istnialy. Ona sama zas potrzebuje czasu, by przyswoic sobie umiejetnosci tamtej Tam-sin, tak, by mogla je wykorzystywac.

-Panie - wyszeptala - jak sadzisz, co sie za tym kryje?

-Moge tylko zgadywac, jak wszyscy - odpowiedzial tak samo cicho. - Choc niepokoji mnie to, ze pieczec na ladowni jest mi tak dobrze znana.

Umilkli, ona takze lezala cicho, z glowa na jego ramieniu. Wiedziala, ze - tak samo jak ona - czuje, ze cos im zagraza. Nie rozmawiali juz wiecej, a kiedy pierwsze, szare smugi swiatla zaczely przesaczac sie przez szczeliny okiennicy, ktora zaciagnal na okno, wysunal sie z loza, budzac ja natychmiast.

-Panie, pozwol mi udac sie wraz z toba na poszukiwanie tego wraku.

-Wiesz, ze nie moze. Zgodnie z prawem tego ludu, nie wolno mi zabierac kobiety tam, gdzie moze rozegrac sie bitwa.

Tam-sin rowniez znala to prawo. Jednak nie mogla zniesc mysli, ze on moglby zginac.

Zostalaby sama... Kiedy podniosla sie i spojrzala mu w oczy, wyczytala w jego twarzy, ze nie chce sprzeciwic sie zwyczajom ludzi morza.

-Wiesz o tym - powiedziala zdretwialymi wargami - ze jesli cos ci sie stanie, a mnie nie bedzie w poblizu, ten sen nigdy sie nie skonczy.





Kilwar skinal glowa.

-Wiem. Ale nie mam innego wyjscia. Bedac tym, kim jestem, musze tak postapic.

Jestes Spiewaczka, mozesz polaczyc sie ze mna.

-Co z tego, skoro nie bede miala dosc sily, aby ci pomoc, choc moje mysli beda przy tobie i dowiem sie, ze spotkalo cie cos zlego.

Odwrocila sie, nie chcac, by wyczytal z jej twarzy to, co moglo sie na niej malowac. Nie bylo odwolania od jego decyzji, od zwyczajow ludzi morza. Kiedy skonczy sie burza, Kilwar wyplynie w morze. A ona zostanie sama... tutaj.

Pozniej, na pozor opanowana i spokojna, stala patrzac na poklad okretu wojennego, na którym wasale Kilwara w pancerzach z lusek, uzbrojeni w to, co dalo im morze, pozdrawiali go, gdy wchodzil na mostek. Widziala, jak zwalniaja cumy, jak sternik kieruje statek wprost w przesmyk prowadzacy na pelne morze. Sztorm rzeczywiscie sie skonczyl. Godzine po wschodzie slonca powrocily takze ptaki, kazdy z nich przyniosl odpowiedz. Okretwidmo byl widziany przez ludzi z Lochriss i pochlonal tam czterech marynarzy. W Lochack nic o nim nie slyszano. Obaj Lordowie mieli dolaczyc do Kilwara przy Rafach.

Tam-sin patrzyla, jak statek, który unosil na pokladzie jej Pana, wyplynal przez przesmyk z jaskini. Slabe swiatlo sloneczne dodalo blasku zbrojom z rybich lusek, a wiatr igral z materia sztandaru LochNar, który mial szkarlatna barwe swiezej krwi. Patrzyla, dopoki okret nie zniknal. Dopiero wtedy spostrzegla

Rhuysa, który zwezonymi oczami patrzył nie na odpływający okręt, lecz na nią. Zuchwale przygwałdził ją wzrokiem, jakby była zapisana szyfrem księgi, której chce wydrzec sekrety. Tam-sin odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem. Wargi Rhuysa rozchyliły się i przez chwilę czekała na jakieś słowa.

Nic jednak nie powiedział, przygarbił się tylko, jakby chciał uniknąć ostrego, morskiego wiatru i odwrócił się do niej tyłem, a następnie odszedł, kustykając ku kotłowni z wewnętrznych korytarzy, pozostawiając ją bez najmniejszego gestu pożegnania. Uniosła głowę, aby zadną z kobiet, które przyszły tu pożegnać mężczyzn wyruszających w tak ryzykowną podróż, nie pomyślała, że dotknęło ją tak ostentacyjne zlekceważenie jej pozycji w Loch Nar.

W chwili później, wśród wąskich, skalnych korytarzy odnalazła ten, który pisał się w górę wąskimi, stromymi schodami wyciosanymi w kamieniu. Idąc nim, pozostawiała za sobą kolejne poziome wieże, aż dotarła na sam szczyt. Tam, kryjąc się przed smagnieniami wiatru, osłoniła dłońmi oczy i szukała niktącego w oddali statku Kilwara. Musiał jednak odpłynąć już na tyle daleko, że zasłoniły go skały Lochack, które wznosiły się pomiędzy ich wieżą a Rafa na północy. Wokół niej krzyczały i skrzeczały morskie ptaki, spadające z góry na wodorosty wyrzucone przez sztormowe fale i szukające wśród nich ryby lub innego jadalnego kasku. Kiedy spojrzała w dół, ujrzała gromadę kobiet i dzieci z Loch Nar, krzatających się również wśród tych wodorostów. Zajęta innymi myślami, Tam-sin nie miała ochoty iść w ich ślady. Usiadła, opierając się o skalne wzniesienie, objęła kolana ramionami i skulona, nadal wpatrywała się w morze. Znowu badała uważnie pamięć Tam-sin, porządkując wszystko, czego

mogła się z niej nauczyć. Wiele przy tym ją zaskakiwało. Tak jak objawił się jej dar jasnowidzenia, który posiadała jako Głos Olawy w poprzednim śnie, tak teraz saczyła się w nią, wlewała moc Tam-sin. Niektóre ze swych umiejętności odsuwała na bok, poszukując tych, które mogły być teraz użyteczne. Na razie nie próbowała połączyć się myślą z Kilwarem; wolała dowiedzieć się wszystkiego o swych nowych umiejętnościach, by skorzystać z nich, kiedy wywola te wiez.

-Pani moja.

Głos, który wyrwał ją zamyślenia, był tak niespodziewany, że głośno wciągnęła powietrze, nim odwróciła głowę. Tym, który przyszedł tu za nią, był Starzec Follan.

Przyglądał się jej badawczo, jak wcześniej Rhuys, ale w jego wzroku nie było wrogości, która pojawiała się w oczach brata Kilwara, ilekroć o niej pomyślał albo na nią spojrzał.

-Follan - zapytała go - co jeszcze wiesz o tych statkach z Quinquare.

-O wszystkim, co wiem, powiedziałem naszemu Panu. Nie słyszałem, aby znaleziono rozwiązanie tej lamigłowki.

-Ale jak to możliwe, aby ludzie gineli z pokładu holowanego statku i nikt nie wiedział, w jaki sposób?

-Nie wiem. Ludzie z ladu... tak, nagle panika, niespodziewany szkwał grozący wywroceniem statku... albo szalenstwo, które ogarnia wszystkich naraz, po zjedzeniu zepsutego ziarna. Można znaleźć różne wyjaśnienia. Tyle, że żadne z nich nie tłumaczy

tego, co przytrafiło się ludziom Pihuysa. Sam kapitan to ostrożny i doświadczony mistrz sztuki żeglarskiej. Może na pokładzie była jakaś skrytka, której nie znaleźli...

-A w niej co? - Tam-sin ponagliła wahającego się Follana.

-Pani, na świecie, a także w morzu, jest wiele rzeczy, o których nigdy nie słyszeliśmy.

Ale... - urwał i dodał z ponurą powagą- pani, jesteś wybranka naszego Pana, wierna mu we wszystkim. Dlatego muszę ci ostrzec: stąpaj ostrożnie.

-No cóż, starcze, domyślałam się tego. Nie jestem kochana w LochNar.

Na jego twarzy pojawił się cień ulgi, jakby cieszył się, że odpowiednio przyjęła jego ostrzeżenie.

-Nie da się uniknąć plotek - rzekł. - Ci, co słuchają ich bezmyślnie, wierzą, że tkwi w nich ziarno prawdy. Ty pochodzisz spoza naszej skały, są więc tacy, którzy sądzą, że nasz Pan mógł dokonać lepszego wyboru i głośno o tym mówią. Do tego jesteś Śpiewaczka Przyływów, a one zawsze wydają się inne niż wszyscy.

-Dziękuję ci Follanie, za twoją szczerą. Wiedziałam o tym, że są tacy, którzy chcieliby się mnie pozbyć. Choć nie sądziłam, że występują tak otwarcie.

Jej dłoń zacisnęła się mocno. Zatem Rhuys miał swoich popieczników, ale czy kiedykolwiek w to wątpiła? Jaka też bajka

wymysli, by ja zgubic? Co sie stanie, jesli Kilwarnie wroci?

-Zostalas wybrana przez naszego Pana - odrzekl Follan. -

Wystarczy, pani, jedno twoje slowo, a wiekszosc z nas podazy za twymi rozkazami.

Uśmiechnela sie slabo.

-Starcze, twoje slowa sa dla mnie jak tarcza i jak ostrze. Choc mam nadzieje, ze nie bede musiala siegac po taka bron.

Zmartwiony wyraz jego twarzy nie zmienil sie.

-Pani, stapaj ostroznie. Zgodnie z naszym zwyczajem, kiedy nasz Pan wyjechal, wladze przejal Lord Rhuys. On jest kaleka, wiec nigdy nie zostanie wybrany Krolem Morza, ale to wlasnie sprawia, ze tym gorecej pragnie rozkazywac wtedy, gdy moze to czynic.

V

Tam-sin lezala na lozu w ksztalcie muszli. Oczy miala szeroko otwarte, ale nie widziala misternej mozaiki z muszli na suficie nad glowa. Wpatrywala sie w inny obraz - widziala przed soba Kilwara, stojacego w szerokim rozkroku na pokladzie rozkolysanego statku.

Otaczaly go smugi mgly, szarej jak kosci czlowieka, ktory zmarl przed wiekami.

Jego postac byla tak wyrazna, iz wydawalo sie jej, ze wystarczy, by wyciagnela reke i dotknela muskularnego ramienia Krola Morza, zeby odwrocil sie i spojrzal jej w oczy.

Dzieliło ich jednak wiele mil - jeśli nawet byli połączeni myślą, to ciała ich były daleko od siebie.

-Kilwar - powiedziała bezgłośnie. Była pewna, że odebrał jej bezdzwiczne wezwanie, gdyż odwrócił lekko głowę, jakby chciał spojrzeć przez ramię. W tej samej chwili drgnął, jego mięśnie napięły się. Tam-sin zrozumiała, że usłyszał coś, czego ona słyszeć nie mogła.

Istota połączenia poprzez myśl było bowiem przekazywanie obrazu, nie dźwięku.

Obrazu oraz specjalnego, pozawerbalnego sygnału, ale Tam-sin wahała się przed użyciem go, aby nie odwracać uwagi Kilwara od tego, co było teraz dla niego najważniejsze. Ze sklebionej mgły wynurzył się inny mężczyzna. Tam-sin rozpoznała Pihuysa, choć jego postać była niewyraźna i zamazana, prawdopodobnie dlatego, że nie istniało pomiędzy nimi duchowe połączenie. Kapitan wyciągnął rękę w lewo, jakby chciał skierować całą uwagę swego Pana w tę właśnie stronę. A kiedy Kilwar wychylił się przez burzę, by zobaczyć coś w gęstej mgle, ona zobaczyła to także... wąski dziób statku, przeszywający zasłone mgły niczym igła wkluwająca się w materię. Dziwny okręt nie trzymał kursu, dryfował unoszony falami.

Najwyraźniej nie miał sternika. Zobaczyła, że Kilwar znowu odwrócił głowę, dostrzegła też ruch jego warg. Na pokładzie za jego plecami pojawili się ludzie, odwiązano szalupę i spuszczone ją za burzę. A zatem jej Pan rzeczywiście udawał się na pokład upiornego okrętu!

W tej samej chwili ogarnęło ją takie przerażenie, że straciła

panowanie nad sobą. Zniknął Kilwar, zniknął statek z mgły, a Tam-sin leżała bez tchu. Dłonie miała wilgotne, a usta zeschnięte. Ten lek... starała się rozpoznać go jak najlepiej. Nie był to zwyczajny strach osoby, która staje w obliczu nie znanego jej zagrożenia. Nie, taka panika ogarnęła ją po raz pierwszy w życiu. W serce siedzącej jej nadwrażliwych zmysłów uderzyła aura kostnicy, emanująca ze statku-widma. Nie, przecież musi, zobaczyć Kilwara, choć jej ciało kurczy się ze strachu i drży, jakby wystawiono ją naga na smagnięcia lodowatego, zimowego wiatru.

Kilwar! Jeszcze raz wyteżyła siły, by się uspokoić, wyzwolic z leku i znowu nawiązać z nim kontakt. Czy to była... śmierć? Nie, to coś innego, choć tak samo zabójczego, kryło się w tym ledwie widzialnym statku. Tam-sin była tego pewna, zupełnie jakby zobaczyła potwora wychylającego się przez burte i wyciągającego szpony po swoją ofiarę. Kilwar! Tam-sin nateżyła swoje, niemal wyczerpane siły i wyobraziła sobie jego postać. Świat zawirował i znowu stanęła obok Króla Morza, choć już w innym miejscu. To, w którym się teraz znalazła, nie mogło być niczym innym jak tylko pokładem okretu-widma.

Był to, o ile mogła ocenić we mgle, statek większy od statku Pihuysa, a mniejszy od tego, którym dowodził jej Pan. Nie miał tych wyrazistych linii, jakie nadają swym okretom ludzie morza, był bardziej opływowy i przystosowany do przewożenia większych ładunków.

Kilwar stał tuż przed luką, zamkniętą przy pomocy mocno zaciągniętych lin i zalakowanych pieczęcia wielkości jej dłoni. Kiedy mężczyzna przykleknął na jedno kolano, aby przyjrzeć się pieczęci, wcale nie była zdziwiona tym, że zobaczyła ten sam

znak, który naszkicował Pihuys. Kilwar machnął ręką i zaczął wydawać rozkazy, których ona nie słyszała.

Ludzie z łodzi wspieali się na pokład, wyciągnęli broń i parami rozchodzili się na poszukiwania. Sam Kilwar udał się do kabiny oficerskiej, ściągając tam jej wzrok. Wewnątrz zobaczyła stół przykuty na wypadek sztormu do podłogi, fotel z oparciem, ławkę, a pod ścianą koję pokrytą szkarłatną narzutą, sztywną od słonej wody. Po podłodze toczył się buklak, którego zawartość dawno już wyciekła, tworząc lepka ścieżkę na deskach pokładu. Był tu również wieszak na miecze - żadnego z nich nie brakowało - a niżej stojak z toporami o dwóch ostrzach.

Jednak poza Kilwarem i przybyłymi z nim, nie widac było śladu życia. Kiedy Król Morza usiadł w fotelu i wysłuchiwał meldunków wchodzących parami ludzi, po wyrazie jego twarzy domysliła się, że nie dowiedział się niczego więcej niż to, o czym mówił Pihuys: statek był pusty.

Tam-sin nie pozbyła się jednak panicznego strachu i tylko niezwykła siła woli utrzymywała kontakt z Kilwarem, a mogło to oznaczać tylko jedno: gdzieś ukryte, czyhało na statku zło.

Było niemal nie do uwierzenia, że nie dostrzegła tam nic poza jakimś niematerialnym cieniem. Natezała wszystkie siły, ale jej wzrok nie zatrzymał się na niczym konkretnym, a wiedziała przecież, że to COS tam jest.

Ostatnia dwójka złożyła meldunek. Zamysłony Kilwar siedział przy stole, z łokciami na blacie, podpierając pięściami mocną szczękę. Kiedy wreszcie się odezwał, Pihuys wykonał gest sprzeciwu. Najwyraźniej wybuchł jakiś spor. Kilwar przerwał mu



jednym slowem i, patrzac przed siebie, wskazal dwoch ze stojacych zolnierzy. Morska Tam-sin wiedziala, ze byli to wierni od lat towarzysze broni jej Pana. W odpowiedzi na jego wybor obaj uniesli ostrza mieczy w gescie pozdrowienia. Pihuys po raz drugi sprzeciwil sie, ale na wyrazny rozkaz Kilwara wymaszerowal z kabiny. Razem z nim wyszli wszyscy, poza wybranymi przez Krola Morza. Tam-sin domyslila sie tresci jego rozkazow: postanowil zostac na pokladzie upiornego statku, aby wyjasnic jego tajemnice. Znow ogarnal ja taki lek, ze utracila kontakt i znalazla sie na powrot w wiezy, aby stoczyc nastepna bitwe ze swoim strachem.

Tym razem trwala ona dluzej. Moze jej wola oslabla po pierwszym starciu? Zmagala sie ze soba goraczkowo, zebrala cala sile, jaka w niej jeszcze tkwila. Kiedy nareszcie znalazla sie znow przy Kilwarze, zobaczyla kabine pograzona w polmroku. Na stole staly dwie lampy o tak bardzo przykreconym knocie, ze oswietlaly tylko miejsce, na ktorym je ustawiono.

Kilwar wciaz, a moze znowu, siedzial w fotelu. Na stole przed nim lezal obnazony miecz, a obok dwa topory o podwojnych ostrzach; wszystko w zasiegu reki. Wieszak na miecze i stojak z toporami byly puste. Tam-sin domyslila sie, ze zabral bron, aby nikt ani nic nie moglo siegnac po ten arsenal. Nasluchiwal, choc byla pewna, ze jeszcze nie stwierdzil niczego podejrzanego. Od czasu do czasu otwieral usta, z pewnoscia wolal do swoich ludzi, sprawdzajac, czy czuwaja. Czas wlokl sie nieslychanie. Swiatlo latarni migotalo.

Kilwar podnosil sie i przechadzal ciezko po kabinie, z mieczem w dloni. Nie chcial, by zaskoczyl go nieznany wrog.

Nagle krzyknął, odwrócił się do stołu i lewą ręką chwycił jeden z leżących tam toporów.

Potem odskoczył w cień, poza zasięg światła latarni. Pokład, czyżby tam właśnie się wybierał? Na pewno, bowiem Tam-sin zobaczyła jakby zasłone z mgły i srebrnego światła.

Wiedziała, że nie była to zwykła mgła, tkwiły w niej okruchy blasku niczym fruujące świetliki. Z trudem przedzierała się przez nią jakąś cieniasta postać. Mroczny kształt upadł, kiedy w kregu mgły pojawił się Kilwar. Skoczył w stronę powalonego człowieka z mieczem wzniesionym do ciosu i pochyłona lekko głową, jakby nie dość dokładnie widział.

Właśnie w tym momencie znowu opanował ją strach, z którym już dwukrotnie miała do czynienia.

Tam-sin została wyrzucona w mrok prawdziwego leku, uciekając na oslep przed tym, czego nie śmiała ujrzeć nawet w wyobraźni. W końcu nie widziała już nic.

Znalazła się w pustce.

VI

-Pani! Wołanie dochodziło jakby z oddali, nie słuchała. Tu było bezpiecznie... tam...

-Pani!

Tam-sin odzyskiwała świadomość, choć wciąż nie otwierała oczu. Powoli wracała jej pamięć, a wraz z nią ostatni wizerunek jej Pana, ogarniętego mgłą Isniaca niesamowitym blaskiem. Na

ramieniu poczuła ciężar czyjejs dłoni i po raz trzeci dotarł do niej ten sam, natretny głos:

-Pani!

Niechętne uniosła powieki. Pochylała się nad nią Althama, jej pokojowka. Miała smutną twarz. Za jej ramieniem Tam-sin ujrzała Follana. Pojawienie się Starca w prywatnej komnacie Pani oznaczało jakieś niepomysłne zdarzenie. Tam-sin usiadła.

-Nasz Pan - powiedziała ochryplym, jakby od długiego milczenia, głosem - jest w niebezpieczeństwie.

-Pani - z powagą powtórzył Follan - sokoły przyniosły wieść, że kiedy władcy Lochriss i Lochack przybyli w umowione miejsce stwierdzili, że nasz Pan wraz z dwoma swymi ludźmi zniknął, a wrak odplynął bez śladu życia na pokładzie.

-On nie umarł!

-Pani, okret-widmo został przeszukany. Nie znaleźli na nim żadnej żywej istoty, żadnego śladu życia.

-On nie umarł - powtórzyła ostro. - Wiedziałabym o tym. Kiedy dwie istoty połączone są myślą i po którejś przychodzi śmierć, poczucie utraty jest tak wielkie, że nie sposób się pomylić. A ja byłam myślą z Panem, gdy podjął walkę z tym...

-Z czym? - natarczywie dopytywał się Follan. - Co tam ujrzałaś?

-Tylko mgłę wypełnioną okruchami światła. Jej źródłem była siła, której nie znam. A potem zostałam odcięta...

Follan pokręcił głową.

-Wiści były aż nazbyt jasne, pani. Pan nas opuścił, żywy czy martwy, ale przepadł.

Nadszedł dzień Rhuysa, albowiem gdy dotarły do niego wiści, ogłosił regencję.

Człowiek o niesprawnym ciele nie może władać wieżą, ale władza będzie w jego ręku aż do chwili, gdy śmierć Pana zostanie uznana.

-Ależ ja im powiem, że nasz Pan żyje!

-Który z tych, co płaszcza się teraz przez Rhuysem, zechce wysłuchać tego, co masz do powiedzenia, aby - jak sadza - utrzymać swoją pozycję na dworze? Rhuys wiele mówił przez kilka ostatnich godzin. Według jego opowieści, rzuciłaś na naszego Pana czar podczas waszego pierwszego spotkania i to ten czar spowodował na niego śmierć. To logiczna historyjka i wielu skwapliwie w nią uwierzy.

Tam-sin zwilżyła językiem usta, które nagle stały się suche. Tak, rzeczywiście, opowieść Rhuysa brzmiała logicznie, czy mogła jakos temu zaprzeczyć? Była Śpiewaczka Przyływów, to prawda, prawda też, że ludzie pozbawieni tego talentu z dystansem odnosili się do tych, którzy go posiadli, często po prostu z zazdrości.

-Co on ze mną zrobi? - zapytała wprost Follana.

-Przy twoich drzwiach, Pani, już stoi dwóch wartowników. Nie

potrafie powiedzieć, jakie są jego zamiary względem ciebie, ale jestem pewien, że nic dobrego cię nie czeka.

-A jednak przyszedłeś tu, aby mnie ostrzec.

-Pani, znam cię od tego dnia, gdy Pan pojechał, by starac się o twoją rękę.

Jesteś jego wybranka i, według mnie, nigdy nie miałaś złych zamiarów. A teraz twierdzisz, że Pan mój żyje, ale gdzie on jest?

Pochylił się ku niej, patrząc jej prosto w oczy. Jego wzrok był natarczywy, uparty, jak u morskiego orla.

-Tego nie wiem, wiem tylko, że on nie umarł. Wiem jeszcze, że muszę... muszę wyruszyć, by go szukać. Byliśmy połączeni myślą, na pokładzie tego diabelskiego statku musiały zostać jakieś ślady, po których uda mi się trafić do niego. Ale nie zdołam tego dokonać, pozostając tutaj. A powiedziałeś, że pod moimi drzwiami stoją strażnicy... - Spojrzała szybko ku pokojowce. - Althamo, na ile jesteś mi oddana?

-Pani, należę do ciebie - odparła pokojowka. - Twoje życzenie jest także moim pragnieniem.

-Czy cię stąd wypuszczą?

-Tak sądzę, pani. Sprawdź tylko, czy nie jestem twoim posłancem.

-Co planujesz? - dopytywał się Starzec.

-To moja jedyna nadzieja. Ty, Follanie, zawsze byles wiernym wasalem mego Pana, a jaki jest twój stosunek do mnie?

-Mowisz, że nasz Pan nie umarł, a powiadają, że talent, jaki posiadasz, pozwala odróżnić życie od śmierci. Jestem z toba, pani. Jaki jest twój plan?

-A więc tak - znowu spojrzała na Althame - może użyć swych zdolności i przybrać wygląd Althamy. Ta maskarada nie utrzyma się zbyt długo, ale może dzięki niej uda mi się stąd wymknąć. Żeby Rhuys nie obwiniał jej za moją ucieczkę, zostawie ją związana na łożu.

Co o tym myślisz?

Pokojowka skwapliwie skinęła głową.

-Jeśli możesz tak uczynić, pani, zrób to szybko. Kobiety szepczą sobie na ucho wiele rzeczy, a niektórych z nich aż strach słuchać. Władza jest teraz w rękach pana Rhuysa, a on nienawidzi cie i boi się ciebie. Tylko dokąd się udasz? Nie wyruszy stąd żaden statek bez wiedzy tych, którzy albo mu od razu o tym doniosą, albo nie wypuszcza okretu.

-Nie popłynę statkiem, Althamo. Nie powiem ci również, w jaki sposób stąd odjadę, żeby nie mogli wydobyć z ciebie tej odpowiedzi. Udaj, że mnie nienawidzisz, powiedz, że oszalałam z rozpacz po śmierci mojego Pana i sadzisz, że postanowiłam udać się w Ciemną Drogę samozniszczenia z miłości do Kilwara i strachu przed Rhuyssem. Myśl, że balam się go aż tak bardzo, powinna być dla niego miła.

Wstała z posłania. Follan skrepował ciasno nadgarstkii kostki Althamy, a potem włożył jej do ust knebel ze szmaty, na tyle luźno, by mogła go wyrzucić i przywołać na ratunek strażę.

Tam-sin włożyła stroj pokojowki i trwając tak przez jakiś czas z zamkniętymi oczami, przywołała swe zdolności fantazjotwórczyni, aby stać się kims, kim nie była.

Kiedy znowu podniosła powieki, usłyszała westchnienie Follana.

-Pani, gdybym tego nie widział, rzekłbym, że to niemożliwe.

-Ten obraz nie utrzyma się długo - odparła. - Zaprowadź mnie na plażę, tam, gdzie zbierają rzeczy wyrzucone przez sztorm.

-Tyle na pewno mogę zrobić - zgodził się bez wahania. Tam-sin jako Althama przeszła korytarzami, z szacunkiem pozostając dwa kroki za Starcem, który minal strażników tak, jakby byli powietrzem. Zeszli w dół najpierw wąskimi, później szerszymi schodami.

Usłyszała nawoływania kobiet zajętych zbieraniem darów burzy na plaży. Gdy wyszli na zewnątrz, Tam-sin pośpiesznie wyprzedziła Starca, jakby - zbyt długo trzymana z daleka od polowania na skarby morza - chciała teraz dotrzeć jak najszybciej do miejsc, gdzie mogłaby je znaleźć. Ponieważ jednak wszystko w pobliżu wieży było już wymiecione, musiała pójść dalej, ku cyplowi. Kiedy dotarła tam, pokonała skalne, wymyte wodą wzniesienie, i zeszła do zacisznej zatoczki, gdzie już tylko dwie kobiety szarpały i rozdzierały nasączone wodą pasma wodorostów. Dogonił ją Follan.

-Pani, stad nie wyplynie zaden statek. Skinela glowa.

-Wiem o tym dobrze. Posiadam jednak pewne umiejetnosci i one to zaniosa mnie tam, gdzie zaginal moj Pan.

Szla dalej ku bardziej odleglym skalom, o ktore uderzala woda, rozpylajac wokol wilgotna mgle, sciekajaca nastepnie strumieniami po kamiennych scianach. Tam-sin wspiela sie na najwyzsza z nich i spojrzala w dol, na Follana.

-Starcze, co zrobi Rhuys, gdy odkryje, ze byles mi tak pomocny?

Follan usmiechnal sie cierpko.

-Nic. Dowie sie, ze bylem swiadkiem tego, jak, powodowana szalem, oddalas swe zycie wodzie, Matce Naszej. Mozesz byc pewna, pani moja, ze nielatwo bedzie Rhuysowi rzadzic w Lochnar, nawet jako regentowi. A ode mnie nie otrzyma zadnej pomocy.

-Jestes dobrym przyjacielem. - Tam-sin usmiechnela sie troche niespokojnie.

Follan byl czlowiekiem, ktorego trudno bylo przeniknac, ale to, co zrobil dla niej, bylo wiecej niz tylko zyczliwoscia. - Powiedz, co zechcesz, choc lepiej nie mow prawdy.

Zdjela szaty i stanela zupełnie naga. Miala na sobie tylko pas, do ktorego przymocowany byl noz o dlugim ostrzu, podarunek od Kilwara na dzien wybrania. Potem odwrocila sie ku morzu i, ukladajac dlonie wokol warg, wydalala dzwieczny okrzyk. Powtorzyla swe Wezwanie trzykrotnie, przy trzecim zauwazyla w



oddali ciemny kształt, wyskakujący na moment ponad fale, wiedziała już, że została usłyszana i wysłuchana. Zadowolona Tam-sin zeszła się w sklebiona morska ton, starannie wybierając taki moment, w którym nie mogła zostać roztrzaskana o skałę i zaczęła płynąć.

Nie odpłynęła daleko, gdy ci, których wzywała, otoczyli ją ze wszystkich stron.

Ich opływowe, niebieskawe ciała były ledwo widoczne. Wyciągnęła do każdego rękę, czując, jak sciskają jej dłoń, delikatnie, lecz mocno, w pyskach uzbrojonych w ostre zęby.

Wiedziała, że nigdy jednak nie użyją swej broni przeciw temu, kto zna tajemnice i potrafi ich przywołać.

Teraz zostanie przetransportowana z prędkością, jakiej nie osiąga żaden pływak, nawet urodzony w Morskiej Wieży. Z nimi nie potrzebowała statku, by dotrzeć do Raf.

## VII

Od czasu do czasu Tam-sin płynęła o własnych siłach, loxysy otaczały ją wtedy, gotowe do pomocy, gdyby poczuła się zmęczona. Tymczasem gasło słabe światło słońca, a niebo przybrało barwę głębokiej purpury późnego popołudnia. Podwodny świat, który właśnie przemierzała, był morskiej Tam-sin znany równie dobrze, jak jej własny pokój w Roju twórczyn snow, z którego pochodziła druga część jej osobowości. Choć przemykały wtedy ciemne olbrzymy, żaden nie odwrócił się nawet w jej kierunku, strzegły jej bowiem loxysy. Były to bardzo inteligentne stworzenia, ale wzory ich myśli były tak obce jej

własnym, że porozumiewała się z nimi z ogromnym trudem. Z konieczności więc ich wzajemne kontakty były bardzo ograniczone. Wiedziały, dokąd chce się udać, ale nie chciały wiedzieć po co, bo nie zadawały wyjaśnień.

Na niebie pojawił się księżyc, a ona znowu była holowana przez swych wyposażonych w pletwy przyjaciół. Wkrótce z glebi wód wylonili się jeszcze dwie ryby, aby szybko i ochoczo dołączyć do orszaku, oferując swą pomoc. Była głodna i spragniona, ale na razie musiała zapomnieć o potrzebach ciała. Niech tylko dotrze do Raf, a tam rozluźni swą żelazną wolę, która trzyma loxys niczym na uwięzi. Czas przestał się liczyć. Tam-sin czuła się tak, jakby podróżowała już niezliczona ilość godzin. Wtedy spostrzegła, poprzez lustro wody, czarna bryła statku. Na moment przyszła jej do głowy myśl, że jest to okret-widmo, ale usłyszała dźwięk gongu niesiony przez wodę i wiedziała już, że to jeden ze statków ludzi morza patrolujących te tereny. Nie pragnęła jednak widoku żadnego statku, poza tym jednym, złowieszczym okretem dryfującym w welonie mgły. Gdyby tak się zdarzyło, że wyłowilby ją statek Kilwara, miałaby wszelkie szanse, by znowu znaleźć się pod strażą ludzi Rhuysa. Nie wątpiła przecież w to, że ma on swoich szpiegów na pokładzie. Gdyby zaś pokazała się łódź z Lochack lub Lochriss, rezultat mógłby być ten sam. Dlatego musiała dotrzeć do samych Raf i tam spróbować odnaleźć tę upiorną pulapkę, która pochłonięła Kilwara i dwóch jego ludzi.

Loxys skreciły teraz w lewo, oddalając się od statku. Płynęły pod wodą i w nocy nikt nie mógł ich dostrzec. Wyrosły przed nimi wysokie skały i dziewczyna wiedziała już, że dotarli do podstawy sciany, której postrzępiony szczyt na powierzchni tworzył Rafy.

Rozluzniajac nieco swa wladze nad loxsami, podplynela powoli ku skale, poszukala wsparcia dla dloni i stop, i zaczela wspinac sie po ostrej powierzchni. Po chwili wynurzyła się z fal. Nocne powietrze oziebilo jej nagie cialo tak nagle, ze glosno sie nim zachlysnela.

Przykucnawszy tuz pod tafla wody, gdzie kazde poruszenie jej ciala moglo byc widoczne dla obserwatora o bystrych oczach, oddychala gleboko, zwalnijac skrzela i przywracajac prace pluc. Z tego miejsca widziala swiatla trzech statkow. Musialy byc zakotwiczone z dala od niebezpiecznych Raf. Nie bylo widac mgly i Tam-sin zaczela zastanawiac sie, czy ten upiorny statek rzeczywiscie ma jakikolwiek zwiazek z mgla, czy stanowi ona zaslonie dla zla, ktore bez watpienia go zamieszkuje. Oczy staly sie teraz bezuzyteczne, musiala uzyc swoich talentow, aby przeniknac przez plaszcz nocy i polaczyc sie z umyslem tego, ktorego poszukiwala. Najpierw uchwycila jakies migotanie mysli, ale nie probowala ich przeniknac.

Byly to mysli loxsow, dla niej bezuzyteczne. Musi zarzucic siec dalej, szerzej, miala nadzieje, ze pochwyci w nia chocby najmniejsze drgnienie, ktore mogloby wskazac jej droge do Kilwara. Wydawalo sie jednak, ze nic nie znajdzie...

Osiagnela juz niemal granice swych mozliwosci. I wtedy zacisnela piesci, i zwrocila glowe w lewo, ku polnocy. Jeszcze raz zebrala cala swoja moc i wyslala ja w tym kierunku. To nie bylo prawdziwe polaczenie, nie. Bylo to tak, jakby ktos szukajacy tkaniny natrafil na splatana nic. Jej jednak wystarczylo, by zyskac pewnosc, ze musi skierowac poszukiwania w tamtym kierunku. Tam-sin z otucha w sercu ponownie zsunela sie do wody, a jej morscy straznicy otoczyli ja, nie czekajac na wezwanie. Eskorta

liczyła teraz sześć ryb. Loxsy to ciekawskie istoty, a ludzie interesowali je szczególnie. Wszyscy wiedzieli, że często z dala towarzyszyły ludziom morza, głównie po to, by przyglądać się temu, co robili. Do niej przyplynęły, gdyż uzyla starego wezwania. Teraz pedzily tuż obok, a w jej uszach dzwiczal kazdy ich przenikliwy odglos, ktory jednak - tak jak ich mysli - nie zaprzatal jej uwagi.

Ich Isniace ciala, dwa razy dluzsze od ciala Tam-sin, uformowaly wspanialy obronny krag.

Wiedziala jednak, ze nie beda mogly jej pomoc, kiedy dotrze do celu swej wyprawy.

Plynely teraz pod woda, holujac jaz maksymalna szybkościa, a Tam-sin mogla teraz skoncentrowac cala uwage na odnalezieniu i utrzymaniu wlasciwego kierunku poszukiwan.

Wiedziala juz, ze nie bylo to prawdziwe polaczenie. Wygladalo tak, jakby ujrzala cien w miejscu, gdzie stal zywy czlowiek. Byla jednak pewna, ze sie nie pomylila i nawiazala jakis szczatkowy kontakt z Kilwarem. Spodziewala sie tez, ze bedzie on coraz wyrazniejszy w miare przyblizania sie; tak sie jednak nie stalo. Czula sie rozczarowana. W koncu rozluznila wiezy loxsom i wyplynela na powierzchnie... Nagle jej serce zabilo mocniej z obawy i ze szczescia. Wokol zalegala ciezka i gesta mgla. Pokrywala ona powierzchnie morza tak, ze trudno bylo okreslic, gdzie wschod i zachod, polnoc czy poludnie. Loxsy, dotrzymujace jej towarzystwa, wysunely pyski z fal i popatrzily przed siebie. Znow sprobowała skontaktowac sie z nimi i zyskala potwierdzenie. Mgla nie zaniepokojila morskich istot - byla bowiem dzielem czlowieka.

To mogli być tylko okret-widmo! Cała siła woli Tam-sin wydała polecenie - chce znaleźć się przy tym, co kryje się w mgle. Jednak, ku jej zdziwieniu, zwierzęta po raz pierwszy odmówiły swojej pomocy. Czuli ich sprzeciw, nie słysząc nawet ich ponaddzwiekowych sygnałów i nie kontaktując się myślami. Bály się tego, co kołysało się na falach w oparach mgły. Ona bała się także. Nie mogła jednak zdradzić im swego leku, śmiało więc popłynęła przed siebie, katem oka spoglądając na zdenerwowane loxsy, przywołujące ją z oddali. Próbowaly nakłonić Tam-sin do opuszczenia niebezpiecznego rejonu. Tylko dzięki ogromnemu wysiłkowi jej woli, ruszyły w końcu za nią.

Nie płynęły jednak już po jej bokach, a trzymały się z tyłu, podążając w pewnej odległości, która stawała się coraz większa. Dobrze wiedziała, że w morzu istoty te nie boją się niczego.

Ich niepokój był więc dla niej ostrzeżeniem przed tym, z czym ona koniecznie chciała się spotkać.

Mgła zgestniała tak, że wydawała się murem, który bronił przejścia. Zanurzyła się pod powierzchnię wody, aby jej nie widzieć. Z przodu, przed sobą, dostrzegła zarys jakiegoś fosforyzującego przedmiotu, mógł to być tylko kil statku. Jego blask sam w sobie stanowił przestrożę, emanowały go bowiem skorupy stworzeń osadzających się na drewnie długo obmywanym przez słone fale. To, że było ich tutaj tak wiele, mogło świadczyć tylko o jednym - ten statek już od bardzo dawna pływał po morzu i nikt nie dbał o to, by oczyścić jego kadłub... Tam-sin skierowała się w stronę źródła tego nikłego światła.

Wiedziała, że loxsy pozostały daleko w tyle, w głębinie, ale

myslala tylko o tym, jak dostac sie na poklad.

Jesli nie znajdzie jakiejś pozostawionej liny, moze okazac sie to niemozliwe.

Znowu wynurzyła sie na powierzchnie i, jedna reka rozgarniając wode, oparla sie o zarosnieta wodorostami burte. Nie zauwazyła zadnej liny, ani zadnej porzuconej cumy. Co z lancuchem kotwicy? Podplynela ku sterowi i tam nie tylko zobaczyła, ale nawet uslyszala lancuch, zgrzytajacy po nagim drewnie, z ktorego dawno juz zdarl wodorosty i muszle.

Kotwica zniknela, ale lancuch pozostal, zwieszajac sie pod własnym ciezarem na tyle blisko, ze Tamsin udalo sie zahaczyc dlon o jedno z polotwartych ogni.

Wspinaczka byla trudna, pozbawila ja tchu w piersiach. Mimo to udalo jej sie dotrzec do otworu, z ktorego wysuwal sie lancuch. Byl on jednak zbyt waski nawet dla jej smuklej figury. Poszukala zatem oparcia w gorze i, dyszac z wysilku, w koncu przerzucila ciezar ciala na druga strone zniszczonej burty. Znalazla sie wiec na pokladzie. Mgla ograniczala pole widzenia juz na odleglosc wyciagnietego ramienia. Przykucnela, wytezajac sluch, nie mysl.

## VIII

Istnialo tu zycie, czula to. Jednak tak obce, jak myslenie loxsow, ktore nakladalo sie na slad Kilwara, niemal go zagluszajac. Tamsin byla pewna jednego: niczego nie znajdzie w kabinach i na korytarzach rozkolysanego statku. Ci, ktorzy przeszukiwali go przed nia, nie pomineli zadnego szczegolu. Nic tam nie znajdzie. Jednak cos tu tkwilo... Bose stopy dziewczyny stapaly

bezszelestnie po deskach, skradala sie z nozem w dloni. Wyciagnela bron instynktownie, choc wiedziala, ze kryjacy sie gdziez wrog nie ulegnie zadnemu ostrzu, nawet trzymanemu przez mistrza fechtunku.

Nie na statku, wiec gdzie?

Smugi mgly okrywaly szczelnie caly poklad, rozstepowaly sie tylko tam, gdzie sie poruszala. Nasluchiwala, ale docieraly do niej tylko uderzenia fal o burty i chrobotanie lancucha, ktory kolysal sie niczym wahadlo. Nagle cos zamajaczylo we mgle tuz nad pokladem. Tam-sin przysunela sie bardzo powoli. To mogl byc tylko ten luk, szczelnie zamkniety i opieczetowany. Polozyla lewa dlon na wezlach i przesuwajac reka po linach, zatoczyla kolo o szerokim obwodzie. Oto jedyne miejsce, ktorego nie sprawdzili ci, ktorzy wpadli w pulapke. Liny byly napiete i wygladaly na nie naruszone, a pieczec upewniala, ze nikt tu niczego nie ruszal. A przeciez bylo to jedyne miejsce, gdzie moglo kryc sie to, co zmienilo ten statek w grozna pulapke. Tam-sin siegnela po pieczec. Byla prawie tak szeroka jak jej dlon i choc w slabym swietle wygladala jakby wykonana z mgly, zobaczyla znak rodu, ktoremu Starrex przewodzil w prawdziwym swiecie. Przyklekla. Po pokladzie sciekaly strumyki wody, pochodzacej chyba ze skroplonej mgly. Byly tak chlodne, ze przeszl ja dreszcz. Podniosla pieczec umocowana na ostatnim wezle i mocno pociagnela.

Wydalo sie jej, ze w wezle cos odpowiedzialo na jej szarpniecie. Pociagnela jeszcze raz, mocniej. Pieczec zsunela sie dosc lekko i konce liny opadly. Wcale nie byly zamocowane, ktos po mistrzowsku stworzyl tylko takie wrazenie. Pospiesznie, odrzucila liny z luku ladowni. Ale czy zdola podniesc ciezki wiaz? Wejscie

było podzielone na dwie części. Chwyła noż w zęby, wsunęła palce w szczelinę wlotu i szarpnęła z całej siły. Z trudem utrzymała równowagę, kiedy właz otworzył się lekko, jakby miał wmontowaną jakąś sprężynę ułatwiającą otwieranie. Z czeluski emanowało blade, zielonkawe, nieprzyjemne światło.

Dolatywał też, odrazający fetor, jakiego nigdy przedtem nie wdychała. Tam-sin odskoczyła, ledwie opanowując mdłości i czekała na coś strasznego, co mogło wylonic się z otchłani.

Nie pojawiło się jednak nic. Dziewczyna zasłoniła nos ręką i pochyliła się nad częściowo otwartym lukiem. Zmusiła się do tego, by spojrzeć w głąb, choć każdy nerw ciała, każda cząstka jej zmysłów sprzeciwiała się temu.

To, co zobaczyła, przejęło ją zgroza. Tuż pod lukiem stała długa skrzynia trumny. Leżał w niej mężczyzna. Przy jego głowie znajdowała się świetlista kula, z której emanował ów zielonkawy blask. Po obu stronach otwartej trumny piętrzyły się... trupy. Tam-sin zacisnęła dłoń i włożyła ją do ust, aby stłumić krzyk. Niektóre z ciał musiały leżeć tu bardzo długo w stanie rozkładu, bo ich skóra wyglądała jak pergamin naciągnięty na kości - niedzne resztki czegoś, co niegdyś było ludzka istota. Ten człowiek oparty o trumnę tuż przy kuli... to był przecież Kilwar! Tuż obok leżeli jego dwaj wasale, a niżej trzech z tych, których wysłał na pokład Pihuys. Pozbawieni już mięśni, wyglądali na dawno zmarłych Kilwar!

Wysłała swą badawczą myśl w głąb jego umysłu. Nie, nie był martwy! Tylko jak wyzwoli go z tego morderczego więzienia? Ma przecież liny, którymi związany był luk! Złapała nasączone wilgocią sznury, związała je z trudem. Nie wiedziała, co może



oznaczać jej odkrycie, ale była pewna, że Kilwarowi pozostało już niewiele czasu. Tam-sin przywiązała linę do poprzeczki najbliższej burty i wracając wzdłuż tak sporządzonej drabiny ku włazowi, sprawdzała po drodze wszystkie węzły. Czekala ją teraz najcięższa próba: będzie musiała zejść do tej kostnicy i znaleźć sposób na obudzenie Kilwara oraz jego ludzi, o ile ci jeszcze żyją. Zebrała całą swoją odwagę i zaczęła zsuwać się po linę w dół.

Stanela właśnie nad Krolem Morza, kiedy spostrzegła, że nieznaną moc, która zastawiła tę potworną pułapkę, zaczyna się budzić. Miała wrażenie, że coś okropnie zarlocznego poruszyło się, by przerwać swój nasycony sen. Teraz ona zostanie schwytana... bo jak dotąd sprzyjał jej właśnie ten mocny sen. Pochyliła się i sięgnęła po miecz Kilwara.

Był dużo cięższy niż jej noż. Uniosła go z wahaniem, bo nie umiała posługiwać się taką bronią. Światło stawało się coraz silniejsze. Spojrzała na kule, głęboko w jej wnętrzu ujrzała jakiś ruch. Tam było... życie!

Kula... Coś zamykało się dookoła niej, owijało ją, jakby chciało zadusić, wysysało z płuc powietrze, pozostawiając w nich tylko ten mdlący, trupi fetor. To... ja... porywa!

Wbiła palce w ramię Kilwara, potrząsnęła nim. Wciąż tliła się w nim iskra życia, była tego pewna. Musi się obudzić, musi się ratować. Stanela w obliczu takiego zagrożenia, jakiego nigdy przedtem nie spotkała, jakiego nawet nie wysniła.

-Kilwarze - zachrypiała i poczuła, że poruszył się lekko. Nie zdoła przyciągnąć go do liny, jego bezwładne ciało było za ciężkie.

Przesunął się nieco w jej kierunku, przyciągając ją bliżej trumny. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła twarz leżącego w niej mężczyzny.

Zobaczyła i natychmiast poznała... Kas! Czy był martwy, pozbawiony życia, które wessała w siebie nieznaną siłą, czy też spał?

Kula pulsowała światłem. Promieniowała agresywną, niezmierną siłą. Ta rzecz nigdy nie doznała klęski, po prostu zabierała upatrzone przez siebie ofiary i nikt dotąd nie zdołał jej w tym przeszkodzić. Tam-sin przysłoniła te cząstki siebie, która tworzyła sny.

Pozostała Śpiewaczka Przyływu. Rzecz, z którą miała teraz do czynienia nie była istotą ludzką, lecz czymś, co przekraczało całą jej wiedzę o świecie. Ale znaleźć tu Kasa... gorączkowo starała się uspokoić, zebrać siły, aby stać się tą sobą, która także nie poznała jeszcze smaku klęski.

Czy kula żyła leżącego tu człowieka, który jej strzegł, czy też żyła sama siebie? Ciało Kasa było w doskonałym stanie. Wydawało jej się nawet, że widzi, jak jego piers unosi się i opada w płytkim oddechu. Kula... To, co kryło się w niej, stawało się coraz silniejsze, przygotowywało się do ataku. Tam-sin odwróciła miecz, który wciąż trzymała w dłoniach.

Choć ostra, postrzępiona klinga boleśnie wbijała się w ciało, podniosła ją wysoko i uderzyła rekojescią wprost w kulę. Ta jednak, wbrew jej nadziei, nie rozprysnęła się, a światło zamigotało złowieszczo i Tam-sin zachwiała się razoną mściwym ciosem niewidzialnej siły.

Po raz drugi uderzyła w kule, krew z poranionych dłoni sprawiła, że ostrze stało się sliskie.

Nie rozbila się. Jeszcze oddech, może dwa i zostanie pokonana. Co...

Tam-sin jeszcze raz odwróciła miecz, krew spływała jej po nadgarstkach.

Pozostała jej tylko sekunda i gorączkowe olśnienie, co powinna teraz zrobić. Chwytając miecz najsilniej jak umiała, skierowała ostrze w dół, wprost w piers mężczyzny w trumnie. Nie miała już wyboru.

## IX

Rozległ się krzyk przypominający skowyt, nie pochodził on jednak z gardła Tamsin, która nie była w stanie wydać najmniejszego dźwięku. Morderczy cios odebrał jej wszystkie siły. Zachwiała się i upadła pomiędzy sklezione trupy, kurczowo trzymając się iskierek życia, wciąż tłuczonej w jej wnętrzu. Ten skowyt był dla niej tortura. Oslepiała ją fala światła. Jeczła cicho. Nie była już w stanie wyrzucić z siebie żadnej siły, przetrwać - to było wszystko, na co mogła się zdobyć. Coś poruszyło się obok niej. Ta rzecz w trumnie... Nie dowiedziała się nawet, czy jej cios zadany ostatkiem sił został wymierzony we właściwy cel. Nie, nie, nie! Tam-sin zebrala jakos resztki mocy. Uniosła się z trudem, czując wstret do tego, co leżało obok niej i pod nią. Światło nie raziło już jej lżawiących oczu. Migotało we wnętrzu kuli, jakby i ono zmagalo się ze słaboscia. Ta straszliwa fala nienawisci, jaka w nią uderzyła...

Uwolnili się od niej. Tam-sin położyła rękę na brzegu trumny, zaciskając palce.

Tak uczepiona zdołała raz jeszcze się podnieść. Coś we wnętrzu kuli zwijało się niczym śmiertelnie zraniony wąż. Żałowała, że nie ma przy sobie topora, ani dość siły, by uderzyć w to wprost, bez litości.

-Tam-sin!

Choć wycie ucichło, ledwo usłyszała własne imię. Stała wpatrzona w trumnę. Miecz Kilwara utkwił pomiędzy zebrami śpiącego. Ten mężczyzna już nie spał... ciało kurczyło się szybko, skóra okrywała już tylko szkielet.

-Tam-sin. - Czyjas ręka objęła jej ramiona, akurat gdy zmagala się z falą mdłości.

-Kas. - Wskazała drżącą dłoń na to, co tam leżało, a wyglądało teraz jak człowiek, który zmarł przed wieloma miesiącami.

Gniew, niewiarygodny, bezsilny gniew. Czula obejmujące ją ramie, ale nie mogła oderwać wzroku od trumny, od kuli. Zielonkawy blask wciąż tlił się w jej wnętrzu, ale już coraz słabiej. Czyjes dłonie odwróciły ją, twarzą ku linie, i podniosły z cuchnącej mazi okrywającej podłogę. Tylko częściowo świadoma tego co robi, Tam-sin chwyciła linę. Nie miała jednak dość siły. Wspiąć się... to było ponad jej możliwości.

-W gore, Tam-sin!

Ostry rozkaz wyrwał ją oszłomienia. Spróbowała niezdarnie go

wykonac. Ten ktos ciagle byl za nia i przynaglal. Cudem znalazla w sobie jeszcze troche sily i odwagi, az upadla wreszcie na okryty mgla poklad. Nie zdolala jednak podniesc sie z miejsca, w ktorym lezala.

-Zostan tu! - rozleglo sie nastepne energiczne polecenie. - Ide po Trusenda i Lothera.

Jej powieki opadly, nigdy jeszcze nie byla tak smiertelnie zmeczona. To, co teraz toczylo jakas walke w kuli, wysalo z niej cala energie i wole. Nic ja juz nie obchodzilo, wystarczylo, ze wydostala sie z tej potwornej pulapki, ze czula powiew morskiej bryzy. Po chwili jednak przekrecila sie tak, aby widziec krawedz wlazu. Lina byla mocno naprezona i drgala lekko. Z czelusci wynurzyla sie glowa mezczyzny i na pokladzie stanal jakis czlowiek.

Kilwar. Nawet nie poczula ulgi na jego widok. Byla zbyt wyczerpana. On odwrocil sie i zaczal wciagac line, dopoki w otworze nie pojawila sie druga, bezwladna glowa. Wyciagnal nieprzytomnego na poklad i ulozyl tuz przy niej, a sam raz jeszcze przepadl w glebinie. Tylko po to, by pojawic sie znow, z nastepnym, tak samo nieprzytomnym czlowiekiem.

Chwile pozniej zobaczyla oslepiajacy blysk swiatla. Z czelusci wystrzelily plomienie, siegajac niemal mezczyzny, ktory akurat ciagnal drugiego z uratowanych ludzi.

-Ogien! - krzyknal Kilwar. - Na twarz Vlasty, nic tego nie pokona!

Skoczyl ku Tam-sin i podniosl ja.

-Na dol - popchnal ja na burte. Przywarla do niej i patrzyła, jak pochyła sie nad otwarta czescia wlazu i zamyka ja mieczem. Potem przyciagnal palete z wysuszonego drewna i przerzucil ja przez burte. Kiedy bale siegnely fal, Kilwar odwrocil sie i potrzasnal Tam-sin.

-Skacz na dol! Spuszczcie ich do ciebie. Utrzymaj ich na tratwie.

Udalo jej sie skoczyc, przeszyla tafle wody niezbyt czysto, ale z radoscia poczula, jak morze obmywa jej cialo. Doplynela do tratwy i wdrapala sie na nia. Kilwar spuscil ciala swych wojownikow na zalewana woda powierzchni, sam skoczyl za burte i wktotce znalazl sie przy niej, lezacej plasko i trzymajacej obu nieprzytomnych mezczyzn za pasy.

Mgla za nimi lsnila, jakby i ona zaczela plonac. Tam-sin ponuro przypatrywala sie plomieniom pelzajacym po burcie, ktora przed chwila opuscila. Cos, moze cieplo plonacego okretu, przewyciezyllo mgle, ktora niktela, gdy oni, kolyszac sie, oddalali sie od przekletego okretu-widma. Kilwar odgial jej zacisniete na pasach palce, przeturlal ciala na srodek prowizorycznej tratwy.

-To - wskazal na plonacy statek - powinno sklonic ich do poszukiwan. Poczekamy tu, az nas odnajda.

-Ogien... - Tam-sin bez emocji obserwowala smierc okretu-upiora. Doswiadczenia ubieglej nocy zupełnie pozbawily ja uczuc.

-Ta rzecz ukryta w kuli - wyjasnil - wyrwala sie ze swego schronienia i oto mamy rezultat.

Było coś jeszcze, o czym musiała mu powiedzieć, ale jej umysł odmawiał posłuszeństwa.

Coś ważnego, czuła się jednak zbyt zmęczona, aby mogło ją to obchodzić.

-Rrrruuuu!

Gdzieś za płonącym wrakiem ktoś dał w muszle sygnał. Kilwar podniósł się, starając utrzymać równowagę na rozkołysanej tratwie. Odpowiedział głosem tak dzwiecznym jak wołanie rogu. Za chwilę rozległ się okrzyk.

-Tam-sin! - Poczula na ramieniu ciepła, delikatna dłoń. - Płyną po nas.

Nie mogła mu odpowiedzieć, choć unosił jej głowę i ułożył wygodnie na własnych kolanach. Zamroczone zmęczeniem dostrzegła jeszcze, że dwaj ocaleni żołnierze odwracają głowy, by spojrzeć na swego Pana. Mgła zniknęła. Widziała nad sobą migocząca gwiazde.

Gwałtownie płonący okręt oświetlał nocne morze. W kregu światła pojawił się dziób statku zmierzającego w ich kierunku.

Polprzytomna została wciągnięta na pokład. Kilwar zaniósł ją na koje i tam owinał miękką kołdrą. Wrocil po chwili, zanim zdołała sobie w pełni uświadomic, że gdzieś odchodził, trzymając w ręce kielich. Podpierając jej ramiona przyłożył naczynie do ust.

Była zbyt słaba, by zaprotestować, choć wechem poczuła, że wino było bardzo mocne, przelknęła więc ten płynny ogień.

-Ta...ta rzecz - wyszeptala - jesli sie uwolnila...

Zmora nie opuscila jej mysli. Co sie stanie, jesli ta rzecz, uwolniona ze swego schronienia, podazy ich sladem?

-Ona umarla albo odeszla - zapewnil ja pospiesznie. - Usnij teraz moja pani i wiedz, ze tu nic nie moze nas skrzywdzic.

Pozwolila, by opuscil ja na koje. Kiedys bedzie musial dowiedziec sie wszystkiego. Teraz nie martwila sie tym wiecej, nadszedl sen.

X

Smuga szarego swiatla wsaczyla sie przez jedno z okien kabiny, oswietlajac Kilwara, ktory siedzial w fotelu z glowa odchylna do tyłu, z zamknietymi oczyma. Tam-sin obserwowala jego twarz, porzadkujac gmatwanine wspomnien z najblizszej przeszlosci: statekwidmo i jego ladownia. Znowu widziala czlowieka, ktory wydawal sie pograzony we snie, w zgubnym blasku tej kuli. To byl Kas! Dopiero w tej chwili zrozumiala, co moze wyniknac z jej ciosu wymierzonego w piers spiacego. Zostali uwiklani we troje w sen, ktory wymknal sie spod jej kontroli. Jezeli Kas zginial...Jednak widziala to na wlasne oczy, cialo, w ktore wbila miecz, skurczylo sie, zmienilo w cialo osoby zmarlej nie przed chwila, lecz wiele dni temu, moze jeszcze wczesniej... Czy mogli byc to ten sam statek, ktory nawiedzal wybrzeze Quinquare? Jesli tak, to Kas z tego snu byl od wielu lat martwy, czy raczej polzywy dzieki kuli. Jakie to dziwne, przerazajace czary kryly sie za tym, co znajdowalo sie w ladowni statku.

Kilwar poruszył się, otworzył oczy i przeciągnął się w fotelu. Potem spojrzal na nia i Tamsin wykrzesala z siebie dosc sily, by



sie usmiechnac.

-Pani moja! - Natychmiast znalazl sie przy niej.

-Panie moj! - Rozjasnila sie, jego przywiazanie bylo dla niej opoka w zamecie, ktorego nie zdolala do konca pojac.

-Odwazylas sie zejsc... tam. - Wzial ja za rece, jego uscisk byl moze nazbyt mocny, ale takiego wlasnie pragnela.

-Jezeli bylo to konieczne, to co innego moglam zrobic? - spytala.

- W koncu to ty ocaliles nas swoja sila, Kil warze. Czym byla ta rzecz?

Pokiwal powoli glowa.

-Tego nie potrafie powiedziec. Ona... ona zyvila sie... zyciem tych, ktorych zabierala.

A ofiar miala wiele.

Tam-sin zadrzala, przypominajac sobie to, co otaczalo trumne. Zwilzyla wargi.

Jesli on nie wie, musi wyjasnic mu od razu. To jej ciazylo.

-Kilwarze, czy widziales, co lezalo w trumnie? - Jeden sposrod umarlych...

-Niezupelnie... jak sadze. Zwlaszcza, ze zabilam go twoim mieczem. Kilwarze, tam lezal Kas.

-Kas! - Spojrzal na nia- Naprawde go widzialas?

-Widziałam go i rozpoznałam. Nie był zmieniony jak ty i ja, lecz miał tę samą postać, w jakiej zobaczyłam go po raz pierwszy. I... czy rozumiesz, Kilwarze... ja go zabiłam!

Wyraz zdziwienia nie opuszczał jego twarzy.

-Kas? - powtórzył zamysłony. - Ależ ten statek musiał wędrować już od bardzo dawna.

Nagle pojęła w pełni znaczenie tego, co widziała na statku i poczuła wzbierająca fale mdłości. Kas przetransportowany do tego świata ze snu został uwieczony w ciele swego tutejszego sobowtóra, stał się częścią polczłowieka i poltrupa, pozostającego we władzy kulistego przedmiotu. Czy wiedział, co się z nim działo? Nie, nie mogła, nie śmiała w to uwierzyć!

Poczuła, jak obejmują ją ramiona Kilwara, poczuła ciepło jego tak bliskiego ciała, wydawało się, że chce chronić ją nawet od jej własnych myśli.... myśli, które budziły w niej prawdziwe przerażenie.

-Jeśli to był Kas z tego świata, to nie masz się o co oskarżać.

-Panie, to moja wola i moc przywiodły nas tutaj.

-Ratując od niechybnej śmierci - przypomniał jej. - Nie wiem, jaka siła stworzyła ten morderczy okret. Jeżeli jednak kula starała się utrzymać przy życiu sobowtóra mojego kuzyna, być może to właśnie on był tworcą tej pułapki. Musiał istnieć między nimi jakiś ścisły związek, skoro kula rozpadła się, gdy zabiłam mojego krewniaka.

Kimkolwiek była, ta śmiercionośna istota. Ty za nic nie powinnas się winić, Tam-sin.

-Ale to ja sprowadziłam go tutaj... do tego... - Jej głos łamał się i przechodził w szept.

-Sprowadziłaś tu nas wszystkich, przekonana, że zapewnisz nam w ten sposób bezpieczeństwo. Ktoś z tego świata musiał mieć konszachty z diabłem, bo inaczej nigdy nie związałby się z tym pozeraczem ludzkiego życia.

-Tego nie możemy być pewni. - Pragnęła, by ją pocieszał, chciała uwierzyć, że to on ma rację, ale czy mogli to wiedzieć na pewno?

-Pamiętaj, że ja tam byłem. - Delikatnie odgarnął jej włosy z czoła. - Byłem lupem tej istoty. Jeśli zamierzała zabić połowę setki ludzi, ludzi mojej krwi, sam wydałbym rozkaz, który zmiotłby te podła rzecz z powierzchni ziemi i morza. Mordowała przez cały czas, bez litości, tak zachłannie, że trudno o tym pomyśleć bez wstretu. Czy sądzisz, że znajdzie się ktoś, kto uzna, że w tych warunkach Kasia nie zasłużyła na śmierć?

-Wciąż mnie nie rozumiesz. - Tam-sin usiłowała uwolnić się z jego objęć. - Kasia nie żyje... Nie mogę przerwać tego snu! Nigdy nie uda nam się wrócić.

Jego twarz spowazniała, nawet oczy zdawały się nie dostrzegać otoczenia. Teraz już wiedział i nigdy nie wybaczy jej tego, co zrobiła. Byli zablakani w świecie snów... skąd nie mogli wrócić do Ty-Kry, gdzie był panem królestwa podniebnej wieży.

-Jestes tego pewna? - zapytał spokojnie, głosem tak samo

nieprzeniknionym, jak wyraz jego twarzy.

-Jestem pewna - odpowiedzila ponuro. Nienawidzila Kasa za to, co probowal zrobic, za to, ze chcial zgladzić Starrexa we snie, ktory ona sama stworzyla. Mimo to powinna byla probowac go ocalic, wtedy mogliby powrocic.

-Niech wiec tak bedzie! - Twarz Kilwara promieniala usmiechem, jakiego nigdy nie widziala na obliczu Starrexa. - Czyzbys zapomniala, moja Tam-sin? W tamtym TyKry bylem tylko w polowie czlowiekiem, uwiezionym w ciele, ktore nie bylo mi posluszne. Jako Hawarel bylem polowa czlowieka w innym znaczeniu - nie moglbym zyc dlugo w ciele glupiego osilka. Tutaj - uniosl glowe z duma - mam wszystko, czego pragne! Czy uwazam, ze przeszlosc byla lepsza od tego, co jest teraz? Wcale nie! Jestem wladca LochNar i mam swoja pania. Jesli Kas zginal, pogodźmy sie z tym i spojrzmy w przyszlosc.

Patrz. - Delikatnie uniosl ja wyzej, az do okna kabiny.

Na zewnatrz slonce zlocilo grzbiety fal. Jakis ciemny ksztalt wyskoczyl ponad powierzchnie wody, zawisl na chwile w powietrzu, zwracajac pysk w jej strone, i Tam-sin nie miala watpliwosci, ze loкса spostrzegł ja i rozpoznal.

-Tam-sin, wstal nowy dzien. Wydobyliśmy sie z mrocznej mgly nocy wprost w jasny, przeznaczony dla nas dzien... nie zmarnujmy szansy. Zalujesz tego, co minelo?

-Nie!

Nie zalowala. Byla niegdys tworczynia snow, ale nie obchodzilo

jej już, czy świat, w którym się znaleźli, był tylko niematerialną fantazją, bez drogi wyjścia. Może jej ciało leżało wciąż w wieży Ty-Kry, ale nie wierzyła, że tamto zdarzyło się naprawdę... przynajmniej nie teraz. Była Tam-sin i stał obok niej Kilwar, nie Starrex; razem mogli wkroczyć nie na krote ścieżki snu, lecz wprost na szeroka drogę życia. Rozesmiała się radośnie, ale zamilkła, gdy usta Kilwara dotknęły jej warg.

## CZESC TRZECIA

### WYNOS SIE Z MEGO SNU

Każdy świat ma swoje rytuały, zwyczaje i prawa. Itlothis Sb Nath uważała, że jako agentka-poszukiwaczka przyzwyczaiła się już do wszelkich przeszkód i problemów, jakie stawały przed nią podczas służby. W głębi ducha przyznawała jednak, że nie spotkała się dotąd z takim oporem. Wprawdzie nie posadzono jej w fotelu, który zapewniłby wygodę jej szczupłemu ciału, ale miała nadzieję, że rozmawiając z tą kobietą sprawia wrażenie całkowicie odprezonej i pewnej siebie. Dobrze wiedziała, że ta... Matka Foost jest uparta. Itlothis była przygotowana do zmagania się z ludzką i nieludzką wrogością.

Jednak ta sytuacja zbijała ją z tropu, a nie mogła sobie pozwolić na przeciąganie sprawy.

Chyba po raz dwudziesty w ciągu ostatnich dwóch dni wolno i wyraźnie przedstawiała istotę swej misji, nie przestając się przy tym uśmiechać. Cierpliwość była jedną z najcenniejszych zalet agenta, stawała się zarówno bronią, jak i obronna tarcza.

-Widziałas rozkazy, Szlachetna Pani. Przyznasz, że jest to

sprawa nie cierpiaca zwloki.

Twierdzisz, ze Oslan Sb Atto jest w tej chwili jednym z twoich klientow.

Zostal-am upowazniona do rozmowy z nim. Tu liczy sie kazda chwila, Oslan musi zostac poinformowany o sytuacji w jego kraju. To sprawa niezwyklej wagi, istotna dla przyszlosci jego i innych. Nie wtracamy sie w sprawy innych swiatow bez akceptacji Zwierzchnika Rady.

Wyraz twarzy tamtej nie zmienil sie. Na Dwadziescia Wlosow Inga! Itlothis moglaby rownie dobrze zwracac sie do aparatu rejestrujacego, czy nawet do zniszczonej czasem sciany za plecami Matki Foost.

-Ten, ktorego szukasz - glos kobiety brzmial monotownie, jakby byla pograzona w transie, ale oczy miala czujne, zywe, przenikliwie inteligentne - lezy w pokoju snow.

Powiedzialam ci prawde, Szlachetna Pani. Nie wolno przeszkadzac sniacym. To byloby niebezpieczne i dla przybysza z twojej planety, i dla tworczyni snow. Zaplacil za tydzien snu i przywiozl ze soba tasmy, aby poinstruowac fantazjotworczynie. Dzis mija dopiero drugi dzien...

Itlothis opanowala ochote, by uderzyc piescia w stojacy miedzy nimi stol i tylko sapnela ze zlosci. Juz po raz szosty sluchala tych samych slow, a moze tylko tak do siebie podobnych, ze wydawaly sie identyczne. Jeszcze dwa dni zwloki i jej misja zakonczy sie niepowodzeniem.

Oslan Sb Atto musi zostac obudzony, poinformowany o sytuacji na Benold, aby znalazl sie na pokladzie najblizszego statku miedzygwiezdneho.

-Na pewno budzi sie na posilki - rzekla.

-Tworczyni snow i jej klient sa odzywiani dozylnie, jak zwykle w podobnych wypadkach - odparla Matka Foost.

Itlothis nie byla pewna, czy w jej glosie nie zabrzmiala nutka triumfu. Ona jednak nie poddawala sie tak latwo. Pochylila sie nad Stolem i czubkiem palca dotknela zielonej plytki, jednej z tych, ktore rozlozyla na blacie. Jej Isniacy paznokiec zastukal o powierzchnie najwyzszego pelnomocnictwa, o ktorym wielu agentow moglo tylko marzyc. Nawet jezeli ten krazek zostal wydany przez agencje spoza tej planety, agencje, ktora z zasady nie lamala lokalnych praw, to jednak jego widok powinien otwierac jej wszystkie drogi w miescie TyKry.

-Badz pewna, Szlachetna Pani, ze nie prosilabym cie o nic takiego, co mogloby byc niebezpieczne dla twojej fantazjotwyczyni albo jej klienta. Rozumiem jednak, ze istnieje jakis sposob na przerwanie takiego snu... jesli ktos inny zrecznie przeniknie do snu, by dostarczyc klientowi wazna informacje.

Po raz pierwszy zmienilo sie cos w wyrazie twarzy tej surowej kobiety o twardych rysach, ktora moglaby byc modelem dla starozytnych pomnikow, jakie Itlothis zauwazyla w starszej czesci miasta, tam gdzie nie wyrosly podniebne wieze o nieprawdopodobnej wysokosci.

-Kto?... - zaczela i zacisnela usta.

Itlothis ożywiła się. Znalazła klucz!

-Kto mi to powiedział? - gładko dokończyła zaczęte pytanie. - Czy ma to jakieś znaczenie? Wiedza o takich sprawach jest niezbędna w mojej pracy. Można to zrobić, prawda?

Tamta z ociąganiem nieznacznie skinęła głową.

-Oczywiście - kontynuowała Itlothis - o swoich zamiarach poinformowałam przedstawiciela Rady. Przysłał tu swojego naczelnego medyka, który - zgodnie z regulaminem - będzie nadzorował przebieg akcji.

Matka Foost powróciła do swej niewzruszonej postawy. Jeśli nawet uznała jej słowa za ostrzeżenie czy groźbę, nie dała po sobie poznać, że nieufność Itlothis zrobiła na niej jakiegokolwiek wrażenie.

-Ta metoda nie zawsze przynosi spodziewane efekty - powiedziała tylko. - Annota to nasza najlepsza twórczyni snów klasy A. Nikt nie dorówna jej umiejętnościom. A wolne mam tylko... - Musiała dotknąć jakiegoś przycisku, gdyż z prawej strony ściany rozbliżyła świetlista tablica pełna znaków nie zrozumiałych dla agentki spoza tego świata.

Matka Foost przyglądała się im przez dłuższą chwilę. - Możesz dostać Eleudd. Jest młoda, ale obiecująca i już raz przenikała do cudzego snu.

-Znakomicie. - Itlothis wstała. - Wezwę medyka i będziemy próbować tego przenikania. Doceniamy twoją pomoc Matko Foost - choć, dodała w myśli, nie zapomnimy też o tym, jak



niechętnie jej udzieliła.

Była tak zadowolona ze swego sukcesu, że dopiero kiedy przybył medyk i wraz z nim weszła do pokoju snu, uswiadomila sobie, że nigdy jeszcze nie stala przed tak niesamowitym zadaniem. Tropic kogos poprzez swiaty, wedrowac przez nie zamieszkane galaktyki - robila to juz od wielu lat planetarnych. Szukac czlowieka we snie - to bylo cos zupełnie nowego.

Pomyslala, że nie jest zachwycona tym pomyslem, ale nie mogla sie juz wycofac.

Tworczynie snow z Ty-Kry byly slawne. Pochodzily z bardzo starego rodu, a kierowane przez Matke Foost potrafily stwarzac fantastyczne swiaty i przygody, ktore mogly dzielic z kazdym, kogo stac bylo na dosc slona oplate. Niektore z fantazjotworeczyn byly stale wynajmowane przez bogate domy multi-kredytowcow, zamieszkujacych wyzsze poziomy podniebnych wiez, dostarczaly rozrywki wybrancom albo calemu rodowi. Inne mieszkaly w Roju, a klienci przybywali do nich. Splatajac swoje mysli z mysalami tworczyni snow, klient wstepowal w swiat, ktory wydawal sie calkowicie prawdziwy. Fantazjotworeczynie klasy A byly modne i bardzo drogie.

Itlothis przygladala sie pomieszczeniu, w ktorym znajdowal sie poszukiwany przez nia czlowiek pograzony w glebokim snie. Staly tam dwie lezanki (Matka Foost nadzorowala wlasnie przygotowania do wniesienia kolejnych dwoch, co mialo zagracic pokoj do granic mozliwosci). Na jednej lezala szczupla, bardzo blada dziewczyna, jej glowa byla czesciowo ukryta w metalowym helmie, ktory byl polaczony kablami z nakryciem glowy, jakie mial na sobie Oslan, lezacy na sasiedniej sofie. Pomiedzy nimi stal

aparatus, zawieszony butelkami, z których doprowadzano do ich żył odżywcza ciecz. Itlothis nie widziała dokładnie twarzy Oslana, helm zakrywał ją aż do linii nosa. Poznała go jednak. Właśnie tego mężczyzny szukała. Zapragnęła natychmiast położyć kres swoim rozterkom, zrzucając mu z głowy helm i budząc go. Opanowała się jednak, dobrze wiedziała, że byłoby to zbyt niebezpieczne.

Pomocnicy Matki Foost ustawili jedną sofę obok twórczyni snów, a technik starannie połączył nakrycie głowy dziewczyny z kablami helmu, który dopiero miał zostać założony.

Za chwilę obok posłania Oslana ustawiono następną leżankę z przygotowanym helmem.

Itlothis była coraz bardziej niespokojna. Najbardziej nie podobało jej się to, że będzie całkowicie uzależniona od woli innego człowieka. Z drugiej strony, musiała bezzwłocznie sprowadzić z powrotem Oslana. No i będzie jej strzegł ten medyk. Bez ociągania wykonywała więc polecenia Matki Foost: ułożyła się na sofie i pozwoliła, by dopasowano jej helm, choć w głębi serca czuła paniczny lęk, pragnęła zerwać z głowy wyscielany czepiec i uciec z tego pokoju... Nikt nie wiedział, jakie przygody przeżywał we śnie Oslan. Nie istniały dwa podobne do siebie sny i nawet sama twórczyni nie mogła do końca przewidzieć przebiegu tworzonych przez siebie fantazji. W dodatku Matka Foost mówiła, że Oslan sam przywiozł jakieś tasmę i nie korzystał ze zbiorów Roju. Itlothis nie miała więc pojęcia, do jakiego świata się udaje. Nie wiedziała nawet, jak znajdzie się we wnętrzu snu. Czy nadejdzie chwila całkowitej nieswiadomości, niczym w zwyczajnym śnie, i co następnie zobaczy...?

Itlothis nagle znalazła się na szczycie skalistego klifu, wśród wysmaganych wiatrem kamieni o dziwnym kształcie, wśród których rozlegało się ponure, monotonne wycie wiatru.

Doleciał do niej także inny dźwięk, w którym rozpoznała dochodzący z dołu huk uderzających fal przyływu. Znała to miejsce! Była na Yulgreave, w swoim własnym świecie! Wystarczyło, by się teraz odwróciła i zobaczyła przed sobą wiekowe, bardzo wiekowe, ponure i przerażające ruiny Yul. Miała zamęt w głowie. Spodziewała się, że znajdzie się w jakiejś dziwnej, wysnionej krainie, a wróciła na planetę, na której się urodziła. Dlaczego... i po co...? Spojrzała na Yul, aby zyskać pewność, co do swego położenia. I... Ruin nie było!

Cieżkie, potężne wieże tkwiły nie naruszone, jakby wyrastały ze skały klifu, tak jak drzewa wyrastają z ziemi, a nie zostały wzniesione, kamień po kamieniu, reka człowieka czy czelakowskiej istoty. Stara forteca w całej swej potędze była znacznie bardziej imponująca niż znane jej ruiny... była większa i bardziej rozległa, niż sugerowały jej pozostałości w wiele wieków później. W tym momencie Itlothis przypomniała sobie, co sędziło o Yul w jej własnym czasie, wzdrygnęła się i cofnęła, aż oparła się plecami o jedno ze wzniesień klifu.

Nie miała ochoty oglądać nie naruszonego Yul, ale nie mogła oderwać od niego oczu, ciemne ściany i wieże przykuwały jej uwagę.

Kiedy, tysiąc lat planetarnych temu, na Benold przybyły pierwsze istoty jej rasy, Yul było już zrujnowane. Znaleziono także inne, rozproszone ślady jakiejś dawnej cywilizacji. Yul było wśród nich najmniej zniszczone. Jednak, choć jej współplemięcy z pasja

penetrowali tajemnice tych, którzy zamieszkiwali przed nimi kolonizowane tereny, osadnicy z Benold niechętnie zapuszczali się do Yul. W jego osypujących się ścianach było coś, co wzbudzało taki niepokój, że każdy, kto tam wszedł, prędzej czy później opuszczał to miejsce w pośpiechu. Dlatego znano je tylko z zewnątrz i z oddali, tak też pokazywały je tasmę tri-dee.

Dlaczego Oslan zapragnął zobaczyć Yul takie, jakie było przed laty? Ta zagadka zepchnęła w cień jej początkowy strach. Domyslała się, że nie zrobił tego bez powodu. To wcale nie miała być przyjemna ucieczka od rzeczywistości. Dziewczyna odsunęła się od chroniącej ją skały i zaczęła nad tym rozmyślać.

Oslan Sb Atto był, zgodnie z prawami Benoldu, spadkobierca ogromnego dziedzictwa Atto. W związku z tym, ponieważ upłynęło już sześć planetarnych miesięcy od śmierci Atto Sb Natona, powinien przejąć swe obowiązki Szefa Klanu tak szybko, jak tylko było to możliwe. Jego brat, Lars Sb Atto, wynajął więc agencję Itlothis, aby jak najprędzej sprowadziła dziedzica, który wędrował gdzieś po innych światach. Później, gdy przedłużająca się nieobecność spadkobiercy Atto zaczęła wazyć na sprawach politycznych, poszukiwaniami zaczęła kierować Rada.

Po co Oslan przybył na planetę snow, odnalazł Roj i wstąpił w sen o własnej planecie sprzed wieków? Wszystko wskazywało na to, że i on poszukuje czegoś ważnego.

Itlothis wierzyła w to, nie wiedziała tylko, co tropi Oslan. Coz, im prędzej to odkryje, tym prędzej będą mogli oboje powrócić do prawdziwego Benold i obowiązków Oslana. Wbrew własnej niechęci do tego, co musiałoby nastąpić, dziewczyna ruszyła w kierunku Yul, pewna - jakby dowiedziała się o tym od samego

Oslana - ze znajdzie tam rozwiązanie tej lamiglowki. Nie zmieniły się przynajmniej zwierzęta i rośliny znane jej z własnego świata. Nad głową pikowały morskie ptaki, ich jekliwe krzyki rozlegały się wśród huku fal, a błyszczące pomarańczowe, błękitne i zielone pióra lśniły mimo pochmurnego dnia. Pomiedzy skalami piely sie niewielkie rośliny o szarobrazowej barwie otaczających je kamieni.

Niektóre z nich wypuszczały silniejsze pędy ku następnym skalnym szczelinom wypełnionym pyłem naniesionym przez wiatr.

Itlothis bacznie obserwowała Yul. Chociaż mury były całe, a wieże wznosiły się strzelście, nie widziała wśród nich żadnych oznak życia. Na wieżach nie powiewał ani jeden sztandar, nikt nie pokazywał się w oknach, które sprawiały wrażenie oczu pozbawionych powiek, obserwujących morze i wysokie szczyty na zachodzie. Yul leżało na skraju posiadłości Atto. Itlothis po raz ostatni widziała Yul, gdy udawała się na naradę z Larsem i Sbjornem Atto, przed wyruszeniem na poszukiwania. Przylecieli tu z Killamarsh i mineli ruiny, zmierzając ku dolinie za wzgórzami. Dom Atto, gdyby tylko zechciał, mógł uznać klif i ruiny za część swojej własności. Zła sława Yul nadała mu jednak status ziem niczyj.

Itlothis uparcie przemierzała skalistą drogę, słuchając ptasich krzyków i przypatrując się ponurej bryle Yul. Sądziła, że wdzierając się w ścianę Oslana, natknie się na niego od razu. Tak się jednak nie stało. No cóż, musiała go odnaleźć, nawet jeśli wszystkie ślady poprowadzą ją do Yul. Chociaż marzyła, żeby znaleźć się gdzie indziej, była przekonana, że musi iść właśnie tam. Kiedy podeszła do nie naruszonego muru zewnętrznego,

przerazily ja olbrzymie bloki kamienia, z ktorego zostal zbudowany. Wiedziala, ze w murze znajdowala sie brama. Dziwne tylko, ze nie prowadzila ona na lad, ale w strone morza. Jesli ma do niej dotrzec, bedzie musiala pojsc niebezpiecznym, nierownym szlakiem tuz nad krawedzia klifu. Nie bylo tam drogi, nie bylo nawet sciezki. Fakt ten zawsze zaskakiwal wspolczesnych jej specjalistow.

Dlaczego jedyna brama nie wychodzila na droge odpowiadajaca rozmiarami murom?

Nie bylo takze zadnych sladow portu w dole.

Itlothis zawahala sie, jedno spojrzenie na droge, ktora miala przebyc, odebralo jej cala pewnosc siebie. Rozpoczynala te wyprawe pelna wiary w to, ze jej umiejetnosc i doswiadczenie przygotowaly ja na kazda ewentualnosc. W koncu byla agentka najwyzszej klasy, z niezliczona iloscia pomyslnie zamknietych spraw. Jednak, jak dotad, zawsze dzialala w normalnym swiecie... to znaczy rzeczywistym. Tu pojawialo sie coraz wiecej rzeczy stanowiacych prawdziwe wyzwanie dla jej wiedzy i bezpieczenstwa. W kazdym rzeczywistym swiecie... odetchnela glebiej. Musi przyjac, ze to jest rzeczywisty swiat. Jesli nie odzyska zaufania we wlasne sily, bedzie zgubiona. Przeciez niejedna planeta sposrod tych, na ktorych prowadzila swoje akcje, byla dziwaczna i niesamowita. Dlatego nie moze tego swiata traktowac jak wymyslonego Benold, ale raczej jak jedna z tych niezwyklych krain.

Jesli to osiagnie, odzyska panowanie nad sytuacja.

Droga byla trudna, a nie wiedziala, czy nie jest pod obserwacja z

Yul.

Nieustannie spoglądała w górę, w okna, ale nic nie zauważyła. Nie mogła jednak pozbyć się uczucia, że ktoś śledzi każdy jej ruch. Podnosząc wysoko głowę, Itlothis pierała się przed siebie. Przestrzeń dzieląca mur od krawędzi klifu była bardzo wąska, w dole groźnie mruczały fale.

Przycisnęła plecy do muru i przesuwiała się wzdłuż niego, czuła bowiem, że mogłaby upaść i stoczyć się w dół. Napotykała mnóstwo sterczących skałek i zatrzymywała się przy każdej z nich. Nagle przykucnęła, kryjąc się, usłyszała bowiem coś więcej niż krzyki morskich ptaków.

Nie wiedziała co to było - może samolot? - bo nadleciało z nieprawdopodobną szybkością.

Kierowało się do bramy, ku której zmierzała i, niczym strzala wypuszczona z archaicznego luku, wleciało w nią, nie zmniejszając szybkości. Samolot... czy jakiś latający potwór? Nie miała pojęcia. Pozostało w niej niejasne wrażenie, że dostrzegła skrzydła i zawieszony pomiędzy nimi lśniący metalicznie korpus. Dzieło człowieka... czy żywa istota?

Zaskoczył ją jakiś ruch w górę. Wysoko nad jej głową ktoś, a może coś poruszyło się w otworze okiennym. Itlothis wysunęła się ze swej skalnej kryjówki. Tak, w ramie okna zobaczyła czyją głowę i ramiona. Patrzac, dostrzegła zachwianie proporcji, albo okno było zbyt duże i przytłaczało postać swym ogromem, albo było na odwrot.

Ten ktoś wspiał się na parapet! Dziewczyna wstrzymała oddech.

Chce skoczyc?

Dlaczego?

Jednak nie, poruszał się ostrożnie, przykucnął i przeszedł na drugą stronę.

Teraz znalazł jakieś oparcie dla stop. Skąd ma tyle odwagi? Przycisnięty do ściany, schodził w dół cal po calu, dłońmi i stopami odnajdując w murze punkty oparcia. Itlothis zastygła i w napięciu obserwowała tę morderczą wędrowkę. To, że znajdował jakąś drogę, graniczyło z cudem. On jednak poruszał się pewnie, choć wolno, wyraźnie przekonany o tym, że odnajdzie potrzebne mu uchwyty. Ten widok spowodował, że Itlothis opuściła swoje płytkie schronienie i stanęła u stop muru, dokładnie w tym miejscu, gdzie on dokonywał swej ryzykownej wędrowki.

Podniosła rękę i dotknęła kamiennej powierzchni, oczyma bowiem nie zdołała dopatrzeć się żadnych szczyrbów w kamieniu. Jej palce natrafiły na wycięta bardzo przemyślnie szczeliny; z pewnością była ona przeznaczona do takich właśnie wspinaczek - była częścią niewidocznej drabiny. Cofnęła się o krok, aby lepiej widzieć człowieka schodzącego po ścianie. Jego głowa wydawała się znajoma, podobnie jak układ ramion. Wprawne oko poszukiwaczki rozpoznało go natychmiast. Oslan!

Itlothis odetchnęła z ulgą. Teraz musi tylko z nim porozmawiać i wyjaśnić mu, dlaczego powinien przerwać swój sen. Potem wróci do rzeczywistości. Matka Foost twierdziła, że to życzenie Oslana utrzymuje w równowadze pracę fantazjotwórczyni, może on więc obudzić się, kiedy tylko zapragnie. Miała nadzieję, że osiągnął już ten cel, który sprowadził go do dawnego Yul. W



kazdym razie posłanie, przyniesione mu przez Itlothis, było tak ważne, że z pewnością nie zostanie tu ani chwili dłużej. Upewniwszy się, co do osoby, dziewczyna zauważyła, że był ubrany w jakies dziwne szaty. Stroj ciasno opinał jego ciało, był niemal elastyczny, gdyż został wykonany z małych lusek, ściśle nakładających się na siebie. Tylko dłonie i stopy miał nagie. Ich skóra była tak brązowa jak kamienie, po których schodził.

Włosy przyczesane gładko, dość ciemne. Itlothis nie widziała jego twarzy, ale знаła jej regularne rysy, typowe dla rodu, z którego się wywodził. Gdyby na tasmach tridee, na których go jej pokazano, nie miał niezmiennie nachmurzonej, ponurej miny, uznałaby go za przystojnego mężczyznę.

Gdy był na dość znacznej jeszcze wysokości nad poziomem klifu, oderwał ręce od skały i zeskoczył. Stał teraz na ziemi i ciężko oddychał. Itlothis domysliła się, ile wysiłku kosztowała go ta droga w dół po stromej ścianie. Przez chwilę nie ruszył się z miejsca. Z rękami i nogami opartymi na ziemi, zwieszona nisko głowa, dyszał ciężko, wciągając powietrze w strudzone płuca.

-Przywódczo Rodu, Oslanie - Itlothis odezwała się z formalnym szacunkiem.

Podniósł głowę gwałtownym ruchem, jakby przemówił do niego jakiś potwór z morskich odmetów. Spojrzał na nią i wstał z trudem, trzymając się muru. Jego dłonie zacisnęły się w piasku, jakby przygotowane do odparcia jakiegoś ataku. Zobaczyła, jak zweżyły się mu błyszczące, zielone oczy. Tym razem jego twarz była pełna wyrazu! Patrzyła na jego wściekłość. Potem przymknął oczy i opuścił piasek, jakby zrozumiał, że kobieta ta nie stanowi takiego niebezpieczeństwa, jakiego się spodziewał.

-Kim jesteś? - Jego głos był niemal taki sam bez wyrazu jak Matki Foost; być może miał kryć uczucia, których nie chciał zdradzić.

-Agentka-poszukiwaczka Itlothis Sb Nath - odparła natychmiast.  
- Przywódco Rodu Oslanie, jesteś pilnie potrzebny.

-Przywódco Rodu? - przerwał jej. - Wciąż Naton nie żyje?

-Zmarł drugiego Miesiąca Lodu, wodzu. Jesteś pilnie potrzebny na Benold. - Itlothis nagle pojęła dziwaczność swego położenia. Przecież byli na Benold. Szkoda, że świat snu nie był rzeczywistym światem. Oszczędziłoby to wiele cennego czasu.

-Czekają na ciebie nie tylko sprawy rodowe - ciągnęła - musisz także przygotować nowe porozumienie w sprawie kopalni. Rada naciska, byś zrobił to bezzwłocznie.

Oslan potrząsnął głową. Jego twarz znowu wykrzywił grymas gniewu zmieszanego z niepokojem.

-Nie ma takiej możliwości, po prostu nie ma, abys mogła mnie teraz stąd zabrać, agentko! - Zbliżył się do niej.

Wbrew własnej woli, Itlothis cofnęła się o krok czy dwa.

-A teraz - powiedział ostrym, ponagającym głosem - wynos się z mojego snu!

Każde jego słowo ogłuszało ją jak cios pięścią. Jednak jego otwarta wrogość pobudziła ją do działania. Nie cofnęła się już więcej, stała w miejscu, czekając aż się zbliży. Po raz pierwszy spotkała kogoś, kto odmawiał powrotu. Jego niechęć sprawiła, że

sie opanowala.

-Chodzi o interesy Rady - odparla szybko. - Jesli nie...

Rozesmial sie! Odrzucil glowe do tylu, oparl dlonie na biodrach i smial sie, choc w jego rozbawieniu pobrzmiwaly nuty gniewu.

-Co wobec tego proponujecie, ty i twoja Rada? Wezwiesz jakiegos uzbrojonego funkcjonariusza, aby cie tutaj bronil?

Przed oczyma Itlothis natychmiast stanal obraz pokoju snow w Roju z jeszcze jedna lezanka, z kolejna fantazjotworczytnia oraz - o ile zdolaloby sie jeszcze wtloczyc do tego pomieszczenia - nastepna lezanka z uzbrojonym wojownikiem. To bylo niemozliwe. W tej sprawie mogla polegac tylko na sobie samej.

-Widzisz - zbлизyl sie jeszcze o krok - co tu znaczy wladza Rady? Rada istnieje gdzieś tam, w odleglej o wieki przyszlosci.

-Nie chcesz mnie zrozumiec - Itlothis starala sie zachowac spokoj - a to sprawa niezwykle wazna, takze dla ciebie. Twój brat Lars i Rada zadaja, abys pojawil sie na Benold przed dniem Wysokiego Slonca. Mam upowaznienie, aby przywiezc cie tam najblizszym hiperstatkiem...

-Nie masz niczego! - Oslan przerwal jej po raz drugi. - To moj sen i tylko ja moge go przerwac. Powiedzieli ci o tym?

-Tak.

-No wiec wiesz. Jesteś tu moim jencem, mimo całej twojej wladzy i wszystkich upowaznien. Chyba ze wolisz, abym cie natychmiast odeslal z powrotem.

-Nie opuścisz mnie bez ciebie! - Wypowiadając te słowa, Itlothis zaczęła się obawiać, czy nie popełniła fatalnego błędu. Jednak nie miała zamiaru poddać się tak łatwo, jak on by tego pragnął. - Czy chcesz, żeby odczytano to jako twoja rezygnacja z przewodzenia Rodowi? - dodała pośpiesznie. - Rada ma w tej kwestii nadzwyczajne uprawnienia i...

-Badz cicho! - Lekko odwrócił głowę ku muirowi Yul. Nasluchiwał czegoś uważnie.

Czy to głębokie huczenie było dźwiękiem, czy też raczej wibracja przenoszona przez skałę, na której stali? - Do tyłu!

Oslan chwycił ją gwałtownym ruchem ręki i pociągnął za sobą. Stali teraz oboje razem przycisnięci do muru. Wciąż nasluchiwał z uwagą, przekrzywiając głowę, jakby spoglądał w górę, na mury obronne Yul.

-Co to jest? - spytała szeptem, gdy już dłuższy czas trwali tak w bezruchu.

-Całe mrowie macek. Cicho!

Niczego się nie dowiedziała, ale jego napięcie nakazywało jej posłuszeństwo. To był sen Oslana i to on wyłonił się z Yul, z pewnością więc wiedział więcej niż ona.

Niespodziewanie pojawił się promień światła, niczym sygnał alarmowy, wymierzony w przestrzeń nad morzem. Potem następny i następny, jeden za drugim, wylatywały z bramy prowadzącej na klif i mknęły nad falami z taką prędkością, że Itlothis zdołała dostrzec tylko świetliste, promieniejące kule.

Zniknely wreszcie gdzieś za linia horyzontu.

Wciąż przycisnieta do ciała Oslana, poczula, że opuszcza go napiecie. Odetchnal gleboko.

-Zniknely. Teraz bedzie bezpiecznie.

-Bezpiecznie?

Oslan popatrzył jej prosto w oczy. Itlothis wcale nie podobalo sie to spojrzenie tak przenikliwe, jakby chcial czytac w jej myslach. Sprobowała oderwac od niego wzrok, ale nie mogła. To ja zdenerwowalo. Nie czekala na jego odpowiedz i powtorzyła raz jeszcze to, z czym tu przybyła. Tym razem starala sie byc stanowcza:

-Jesli natychmiast nie przerwiesz tego snu, stracisz Atto. Rada powola na Przywodce Rodu Larsa.

Jego usmiech podszyty byl gniewem, tak jak niedawne rozbawienie.

-Lars jako wodz? Czemu nie... o ile bedzie jeszcze istnialo Atto, ktorym bedzie mogl wladac.

-Co chcesz przez to powiedziec?

-A po co przybylem tutaj? Po co przemierzylem pol wszechswiata, aby znalezc fantazjotworiczynie, ktora potrafilaby przeniesc mnie do dawnego Yul? No, jak sadzisz? - Chwycil ja za ramiona i potrzasal, jakby tym gestem chcial podkreslic wage swoich slow. - Wydaje ci sie, ze Yul z naszego swiata to rumowisko, bezpanskie miejsce. Tak powiadali ludzie od czasu,

gdy po raz pierwszy zbadali Benold. Ale Yul to nie tylko zawalone mury, nie tylko aura niepokoju. Nie, w Yul kryje się coś bardzo starego... i groznego.

Wierzył w to, wyczuła to w jego głosie. Co to było? Itlothis nie mogła zapytać, bo słowa płynęły teraz z jego ust gwałtownym strumieniem.

-Byłem tam. Widziałem... - Przymknął oczy, jakby chciał odpedzić od siebie jakiś obraz. - Nasze Yul na powierzchni jest może w trzech czwartych zniszczone przez czas.

Jednak jego serce wciąż jest żywe. Leży uspione, ale zaczęło się poruszać.

Uwierz mi, badałem to od kilku lat, przejrzałem wszystkie dostępne archiwa. Rok temu odważyłem się i wziąłem ze sobą do środka skaner. Dane przesłałem do centralnego komputera. Chcesz wiedzieć, jaka otrzymałem odpowiedź? Naprawdę chcesz? - Znowu nie potrzaskał. - Dobrze, oto nowe chodniki kopalni, rozprzestrzeniające się na zachód, zbudziły coś. Ta rzecz jest gotowa do działania...

Itlothis zorientowała się, że jego bezgraniczna wiara w swoją misję wyklucza wszelki spor.

On nie posłucha żadnych argumentów, fantazja opanowała go całkowicie.

-Do działania - powtórzyła. - A więc co to właściwie jest?

-To, co niegdys żyło w Yul. Właśnie widziałas, jak macki zerwały

sie do lotu.

Coz, to za ledwie tysieczna czesc tego, co Yul zdolne jest wyprodukowac. Te latajace przedmioty to energia, ktora zywi sie takze energia. Jesli znajdziesz sie w jej poblizu, twoje ciało splonie na popiol. To nie jedyne formy tej istoty. - Znow wyczula jego napiecie. - Rzecz kryjaca sie w Yul moze objawiac sie pod roznymi postaciami, a wszystkie sa nam nie znane i jednakowo dla nas niebezpieczne. Ludzie - a moze inne istoty? - wybudowali Yul oraz inne miasta, ktorych slady zachowaly sie jeszcze na Benold. Potem... pojawilo sie to. Nie wiadomo, skad sie wzielo, moze bylo skutkiem jakiegos nieudanego eksperymentu, a moze przedarło sie tu z innego wymiaru, z innego swiata? Ci, ktorzy to znalezli, uznali je za bostwo, karmili energia zycia, az stalo sie ogromne i zapanowalo nad cala planeta. I wtedy zniszczilo ludzi, ktorych juz nie potrzebowalo, albo tylko sadzilo, ze nie potrzebuje. Kiedy jednak skonczyla sie energia zycia, zaczelo tracic sily. Nie ogarnialo juz calej planety, musialo wycofac sie najpierw na ten kontynent, potem do samego Yul. Przestraszylo sie wtedy i przygotowalo sobie legowisko. Tam zapadlo w sen... i trwalo uspione przez wiele, wiele lat.

Jednak ostatnio zostalo obudzone przez promienie wycinajace nowe tunele w kopalni. One dostarczyly mu energii. Znowu rosnie. Benold zas jest pelne pozywienia. I...

-Musisz ostrzec Rade! Obudz nas. Potrzasnal glowa.

-Nie rozumiesz. Ta bestia nie moze zostac unicestwiona w naszych czasach.

Potrafi zywic sie poprzez umysly napotkanych ludzi, pustoszc ich ciala, odbierac im sily do zycia.

Nie mozna schronic sie przed nia. Mozna ja pokonac tylko w przeszlosci. Jesli zanikniemy ja w jej gniezdzie, umrze z glodu. Benold bedzie wolne.

Itlothis byla wstrzasnieta. Oslan oszalal! Musi przeciez wiedziec, ze to tylko sen! Co moga dzialac we snie? Moze powinna go troche udobruchac...

-Zebralem wszystkie raporty - ciagnal - i dalem je tworczyni snow. Te fantastki potrafia we snie powracac do przeszlosci. Klienci czesto interesuja sie historia. Kazalem jej skoncentrowac sie na moich zbiorach.

-Ale to jest tylko sen! - wykrzyknela Itlothis. - Wcale nie jestesmy na Benold sprzed wiekow! Nie mozesz zrobic tego...

Tym razem potrzasnal nia brutalnie.

-Nie moge? No to posluchaj! Istnieja rozne wymiary, swiaty leza jeden na drugim.

Wystarczy troche wiary, by staly sie realne. Dla mnie to wlasnie jest Benold, ktore dalo poczatek dzisiejszemu Benold. - Odwrocil sie od niej i stanal przodem do sciany.

-To wyslalo swe macki na polowanie i na nich skupi teraz cala swa uwage, tylko na nich.

Nadszedl moj czas!



Odnalazł zagłębienie w murze i zaczął wspinać się. Itlothis ruszyła się zbyt późno, aby go powstrzymać. Przecież nie może zostawić tu tego szalenca. Jeżeli pójdzie z nim, sprawiając wrażenie osoby, która uwierzyła jego słowom, może uda się jej nakłonić go do opuszczenia snu? Od chwili, gdy znalazła się w tym fantastycznym świecie, była nieswoja, wytracona z właściwej jej spokojnej pewności siebie. Teraz uczyła się już tylko nadziei, że jeśli pozostanie z Oslanem, to za jakiś czas zdola na niego wpłynąć. Usiadła na skale i zdjęła ciężkie buty. Oswobodziwszy palce rąk i nóg, poszukała szczeliny w murze i zaczęła pisać się w górę po ścianie Yul. Na szczęście nie miała leku wysokości. Mimo to wolała nie patrzeć w dół. Biała się i nie miała najmniejszej ochoty robić tego, co właśnie zaczęła.

Jednak wspinała się wytrwale. Oslan był już w oknie. Wychylił się, aby jej pomóc. Zeskoczyli z szerokiego parapetu do komnaty o mrocznych zakamarkach.

-Nie mogłaś lepiej postąpić - zauważył Oslan. - W przeciwnym wypadku to mogłoby wyczuć twoją obecność. Zachowuj się cicho, nie wiesz nawet, ile może ci kosztować ten idiotyczny pomysł wtargnięcia w mój sen.

Itlothis stłumiła w sobie gniew. To był szaleniec. Na nic zda się tu sprzeciw, nawet najbardziej subtelny. Nie zaprotestowała więc, lecz skradła się za nim wzdłuż ściany, gdy omijał środkową część pomieszczenia. Pokój, którego ściany, sufit i podłoga zbudowane były z kamienia, okazał się zupełnie pusty. Przez okno za ich plecami syciło się niewiele światła.

Oslan nie kierował się ku drzwiom, które Itlothis dostrzegła po przeciwnej stronie. Zatrzymał się w środku drogi, pod ścianą i

wyciagnal ramie, badajac dotykem mur, jakby szukal nastepnego miejsca do wspinaczki. Jednak, wbrew jej oczekiwaniom, nie podciagnal sie, aby zaczac swa droge donikad, bo sufit nad ich glowami wygladal wyjatkowo solidnie.

Rozlegl sie gluchy zgrzyt. Trzy potezne plyty, przed ktorymi stanal, odsunely sie z loskotem, ukazujac ciemne przejście.

Skad Oslan o nim wiedzial? Oczywiscie, we snie mozliwe sa rozne tajemnicze rzeczy.

Tylko wrazenie realnosc, jakie sprawial ten pokoj, klocilo sie z logika. Jak sen moze wydawac sie az tak rzeczywisty?

-Wchodz - wyszeptal.

Nie ruszyla od razu, wiec wciagnal ja do ukrytego korytarza. Probowala sie uwolnic, kiedy zsuwajace sie plyty zamykaly ich w mroku, ktory budzil w niej przerazenie, wyczuwala w nim nieuchwytna atmosfere zla, te sama, co w znanym jej Yul.

-Tu sa schody. - Uchwyt jego dloni na jej nadgarstku byl mocny. - Pojde pierwszy, a ty trzymaj sie reka sciany.

Puscil ja. Itlothis slyszala tylko stlumione odglosy jego krokow. Nie mogla wrocic, musiala sluchac jego polecen. Zaciskajac zeby, przestraszona jak nigdy jeszcze w zyciu, ostroznie przesuwala jedna stope, az natrafila na krawedz pierwszego stopnia. To zejście bylo niczym zly sen, ktory oslabil cialo i oblal je lepkiem potem. Niemal nie zwracala uwagi na brak powietrza. Schody ciagnely sie bez konca.

Od kiedy wyszli z pokoju na gorze, Oslan milczał, a Itlothis nie śmiała przerywać ciszy.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że znajduje się w okolicy czegoś ogromnie niebezpiecznego, co nie powinno dowiedzieć się o ich obecności. Nagle krzyknęła cicho, czując czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

-Cicho!

Przyciągnął ją do siebie. Jej białe stopy utknęły w czymś bardzo miękkim i lekkim, jakby tajemne przejście pokrywał dywan z kurzu liczącego setki lat. Oslan szedł dalej, trzymając ją za rękę. Była z tego zadowolona, bała się nawet pomyśleć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby straciła z nim kontakt w tych ciemnościach. W końcu puścił ją i wyszeptał:

-Zaczekaj, muszę otworzyć drzwi.

Itlothis czuła dreszcze. Zobaczyła przed sobą smugę szarego światła. W porównaniu z mrokiem, w jakim dotąd przebywali, wydawało się jej jasnością. Przecinał ją jakiś ciemny kształt. Był to chyba Oslan. Podeszła do niego. Znaleźli się w miejscu, które przypominało pokój na gorze, choć jego sufit był znacznie niższy i z lewej strony jedna ze ścian nie była zabudowana. Widzieli za nią rozległą przestrzeń. Nie była ona jednak pusta. W nikłym świetle, a Itlothis nie potrafiła zlokalizować jego źródła, widac było masywne korpusy zaparkowanych tu ciasno pojazdów kołowych.

Oslan zatrzymał się, odwracając głowę w prawo, jakby nasłuchiwał. Potem skinął na nią.

Przy scianie pozostalo wolne przejście, którym ruszyli naprzód. Oslan spieszył się, i tylko od czasu do czasu przystawał, aby zbadać którąś z tych dziwnych maszyn. Za każdym razem był wyraźnie niezadowolony. W końcu dotarli do następnej otwartej sciany. Mezczyzna zatrzymał się nagle, poruszając nozdrzami, jakby dotarła do niego won wieszcząca zagrożenie. Zachowywał się jak wielkie psy, które widziała podczas polowania.

Tuż przed nimi stał kolejny dziwny pojazd i Oslan wszedł do jego kabiny. Gdy Itlothis ruszyła za nim, zatrzymał ją jednym gestem. Niezadowolona przyglądała się, jak zajmuje siedzenie kierowcy i bada tablice rozdzielczą. Surowe rysy jego twarzy zlagodniały. Kiwał głową, jakby w odpowiedzi na własne myśli. Itlothis przeslizgnęła się przez ciasne przejście i znalazła obok niego. Fotel, na którym usiadła, był wprawdzie wyscielany, ale niewielki i ciasny; przywarła więc ciasno do niego. Oslan, nie czekając, aż się usadowi, przycisnął dłoń do jednego z guzików. Pojazd zatrząsnął się, zawarczał i ruszył do przodu, w otwartą przestrzeń przed nimi.

-Co chcesz zrobić? - spytała Itlothis.

-Zamknąć schronienie.

-Potrafisz to?

-Muszę spróbować. Nie mam wyboru.

Rozsadne porozumienie się z nim nie wydawało się możliwe, był całkowicie zanurzony w swojej fantazji. Musi pozwolić mu doprowadzić ten fantastyczny plan do końca.

Potem, może przerwie swój sen.

-Skąd wiesz, jak to obsługiwać? - spytała.

-To moja druga wizyta w Yul. W pierwszej części mego snu znalazłem się tu dużo wcześniej, kiedy temu służyli jeszcze ludzie.

Gdy go odnalazła, był już od dwóch dni pogrążony w głębokim śnie, a przypuszczała, że we śnie można przeskakiwać lata. Wszystko, co mówił, było jakos wewnętrznie logiczne.

Pojazd toczył się naprzód. Korytarz zaczął się teraz rozgaleziac, ale Oslan nie zwracał uwagi na boczne przejścia, jechał wciąż przed siebie. Dopiero, kiedy na ich drodze stanęła kamienna ściana, skreślił w lewo. Ta nowa droga była znacznie węższa. Itlothis zaczęła się zastanawiać, czy w końcu nie zatrzymają się, skutecznie zablokowani pomiędzy dwiema ścianami. Od czasu do czasu Oslan przystawał. Podnosił się wtedy na siedzeniu i badał czubkami palców sklepienie. Przy trzecim takim zatrzymaniu krzyknął cicho.

Usiadł, ale nie ruszył już maszyny z miejsca. Pochylił się tylko nad tablicą, przypatrując się przyciskom.

-Wysiadaj! - rozkazał, nie podnosząc wzroku. - Uciekaj, biegiem!

Sila jego polecenia była tak wielka, że posłuchała, nie zadając już żadnych pytań. Kiedy zeskakiwała na posadzkę, zauważyła tylko, jak jego dłonie wybierają jakąś skomplikowaną konfigurację na tablicy rozdzielczej. Pobiegnęła z powrotem korytarzem. Nagle usłyszała za sobą zgrzyt maszyny. Kiedy zatrzymała się i

obejrzała za siebie, zobaczyła pedzacego za nią Oslana i maszynę poruszającą się bez operatora. Szczęśliwa, że nie została sama, znowu zerwała się do biegu. Oslan dogonił ją i zmusił, by przyspieszyła. Warkot maszyny był już słabiej słyszalny. Dotarli do wylotu głównego tunelu. Oslan wepchnął ją do środka i, nie zwalniając szalenczego biegu, ruszył tą samą drogą, która tu przybyli. Klebiący się w nim strach udzielił się jej, choć nie знаła jego źródła, i biegła z całych sił, jakby sama śmierć deptała im po piętach. Dotarli do jaskini, w której stały pojazdy, kiedy ściany i sufit zatrzęsły się. Huk, jaki temu towarzyszył, ogluszył ją. Potem zapadł mrok... Coś tropiło ich w ciemności... coś bardzo wściekłego. Itlothis skuliła się. Drżąc ze strachu, otworzyła oczy.

Tuż obok swej twarzy zobaczyła inną twarz, ledwo widoczna w mroku. Zwilżyła wargi, a własny głos wydal jej się bardzo słaby i daleki.

-Przywódco Rodu, Oslanie...

Przybyła tu, aby go odnaleźć. Teraz ktoś, jakas rzecz, tropiła ją! Zamrugał powiekami i otworzył oczy. Popatrzył na nią. Na jego twarzy malował się ten sam lek, jaki prawdopodobnie i na jej. Zobaczyła, że jego wargi poruszają się. Z trudem zrozumiała jego słowa.

-Już, wie! Szuka nas!

Ta jego szalona obsesja. Może przyda się, aby ich ocalić? Wzięła jego głowę w obie dłonie, zmuszając go, aby na nią popatrzył. Jakże chciałabym, aby tliła się w nim jeszcze iskierka rozsądku, pomyślała. Powoli, wymawiając osobno każde słowo,

mobilizując całą swoją wolę, zazała:

-Przerwij sen!

Strach ją obezwładniał. To, co ich szukało, zbliżało się. Uciec w szalenstwo, ten strach był gorszy od każdego bólu. On musi! On... To było...

Itlothis zamrugła. Światło, dużo więcej światła niż w lochach Yul. Spojrzała na szary sufit. Nie czuła zapachu kurzu ani starości. Wrocila! Zerwała z głowy helm snu.

Usiadła, wciąż nie wierząc w to, że wygrała, że oboje zwyciężyli. Szybko spojrzała na sąsiednią leżankę. Pomocnicy zdjęli już mu helm, ręce bezwiednie unosił ku głowie, ale oczy miał otwarte. Zobaczył ją i otworzył je jeszcze szerzej.

-A więc była prawdziwa!

-Tak. - Czy rzeczywiście wyobrażał sobie, że stanowiła część jego snu? Itlothis poczuła się dziwnie dotknięta tą myślą. Ona naraziła się na tak wielkie ryzyko ze względu na niego, a on sądził, że była fragmentem jego wyobrażeń.

Oslan usiadł i rozglądał się dookoła, jakby nie wierzył, że powrócił. Potem rozesmiał się, bez gniewu, jak w Yul, raczej triumfalnie.

-Dokonałismy tego! - Uderzył płaską dłoń w sofę. - Gniazdo się zawaliło, dlatego ta rzecz była tak wściekła. Yul przepadło!

Wciąż żył swoją fantazją, szalenstwo go nie opuściło. Itlothis poczuła się źle.

Jednak Oslan Sb Atto był wciąż jej klientem. Nie mogła mu współczuć. Pomyslnie zakończyła swoją misję, teraz musi się nim zająć rodzina. Zwrociła się do medyka:

-Przywódca Rodu jest wyczerpany.

-Wcale nie jestem wyczerpany! - odparł różnym głosem Oslan. -  
Poczekaj a zobaczysz, Szlachetna Pani, poczekaj!

Była niespokojna podczas ich hiperskoku na Benold, ale Oslan nawet nie wspomniał o swoim śnie. Nie szukał też jej towarzystwa, pozostawał w swojej kabynie. Jednak gdy tylko znaleźli się na aerodromie ich ojczystej planety, przejął dowodzenie z taką stanowczością, że nawet nie śmiała mu się sprzeciwić. Jeszcze zanim zdolała złożyć meldunek, zabrał ją na pokład samolotu oznaczonego insygniami Atto. Bardziej ją to zaniepokoiło niż rozczłociło.

Miała już bowiem nadzieję, że wyzwolił się spod wpływu tego snu. Zrozumiała jednak, że tak się nie stało, choć znaleźli się na Benold, które nie pochodziło z wyobraźni fantazjotwórczyni.

Kiedy skierował samolot na północ, rzucił jej krótkie spojrzenie.

-Sądzisz, że powinienem dać się reprogramować, prawda Itlothis?

Nie odpowiedziała. Bada śledzeni. Udało jej się nadać sygnał, zanim opuścili port.

-Mam ci udowodnić, że nie jestem szalony? Świetnie, zrobię to -  
samolot osiągnął największą prędkość. Co on chce zrobić?



Nie minela godzina planetarna i Itlothis poznała odpowiedz. Maly samolot przelatywal nad ruinami. Ale nie bylo to juz to samo Yul, jakie widziala podczas swej pierwszej podrozy do Atto. Stala juz tylko czesc murow obronnych. Pomiedzy nimi widac bylo potezna wyrwe, w ktorej lezalo kilka skalnych blokow. Oslan wylaczyl silnik i wyladowal na samym srodku plytkiego zaglebiecia. Szybko wyskoczyl z kabiny i pomogl jej wysiasc. Nie puszczajac jej dloni, zapytal:

-Widzisz?

To jedno slowo odbilo sie gluchym echem od resztek murow.

-Co... - Itlothis musiala przyznac, ze bylo to juz inne Yul. Tylko jak uwierzyc w to, ze dzieło, ktorego dokonali we snie, wiele lat planetarnych temu, spowodowalo tu takie zniszczenie... - Ladunek dosiegnal kryjowki! - powiedzial z entuzjazmem. - Nastawilem moc spychacza na maksimum. Kiedy zetknela sie ona z niebezpiecznym punktem, wybuchla. To nie mialo juz miejsca, gdzie mogloby ukryc sie bezpiecznie i spac!

Itlothis trudno bylo uwierzyc, chociaz zobaczyla wszystko na wlasne oczy.

Klocilo sie to ze zdrowym rozsadkiem. Slady wybuchu, jaki tu nastapil, nie wygladaly na swieze; wszystko wskazywalo na to, ze ta katastrofa wydarzyla sie przed wiekami! Rzeczywiscie cofneli sie w czasie o cale wieki? Itlothis wydawalo sie, ze to byl tylko sen, nocna zmora.

Oslan mowil dalej:

-Czujesz? To zniknelo. Nie ma tu juz innego zycia!

Stala w jego objeciach. Kiedys, jako dziecko, gdy dopiero przygotowywala sie do sluzby, byla w Yul. Przekroczyła wówczas mury, za ktore niewielu odwazylo sie wejsc, a juz nikt nie pozostal tu dluzej. Doskonale to pamietala. Osaln miał racje! Zlo, ktore tu tkwilo, przepadlo.

Pozostal tylko krzyk morskich ptakow i odlegly szum morza. Yul bylo martwe, martwe od wiekow.

-Ale to byl sen! - zaprotestowala oszolomiona. - Tylko sen!

Oslan powoli pokrecil glowa.

-To byla rzeczywistosc. Teraz Yul jest wolne. Jesteśmy tu, aby sie o tym przekonac.

Powiedzialem ci kiedys: "wynos sie z mojego snu", mylilem sie - ten sen nalezal takze do ciebie. Teraz to jest nasz swiat... puste Yul, wolny swiat. A, za jakis czas, moze jeszcze cos...

Jego ramiona objely ja mocniej. Nie ze strachu ani z gniewu. Itlothis spogladajac wprost w Isniace, zielone oczy, wiedziala, ze sny, niektore sny, nigdy nie opuszczaja tych, ktorzy w nich raz zamieszkali.

CZESC CZWARTA

SENNA MARA

I

-Ale ja nie znam tego sektora. - Najmlodszy sposrod siedzacych w pokoju mezczyzn wierzal sie w miakkim, komfortowym fotelu, tak jakby okazal sie on nagle okropnie niewygodny. - 1 wlasnie dlatego jestes niezastapiony w tej akcji - odpowiedzial mu chlodno jeden z trzech siedzacych naprzeciw mezczyzn, Trystian, na ktorego pierzastej czuprynie pojawily sie juz nikle slady uplywajacego czasu.-Terrianin z bogatego rodu - wtracil ten, ktory siedzial po lewej stronie Trystianina - zwiedzajacy te okolice moze zatrzymac sie w Ty-Kry i zamowic sobie tam sen, bez wzbudzania podejrzen czy przymusu odpowiadania na klopotliwe pytania. Doskonale wiadomo, ze bogacze z klasy kredytowej zawsze poszukuja nowych przezyc.

Oczywiscie, bedziesz mial nieskazitelna przeszlosc.

Burr Neklass wzruszyl ramionami. Nigdy nie mial zadnych konfliktow z tym departamentem. Dane, jakich dostarczaja, byly przygotowywane bez zadnych usterek, doskonale przystosowane dla tego, kto z nich korzystal. Zostanie wyposazony w szczegolowa historie swego zycia od chwili urodzenia i bedzie ona bezblednie przygotowana.

Nie to bylo przyczyna jego niepokoju. Zgodnie ze s woj a natura przedstawil zastrzezenie wprost:

-Nie jestem Esperem.

-I wlasnie dlatego zostales wybrany - odparl Hyon. - Espera kazdy moze sprawdzic, a mozesz byc calkowicie pewny, ze oni sprawdzacie bardzo dokladnie, zaden Esper nie mialby wiec najmniejszej szansy.

-Jestem zatem przyneta - Burr rozparł się w miękkim fotelu - a wszystko wskazuje na to, że bardzo łatwa przyneta.

Grigor Bnon, jedyny człowiek w składzie wewnętrznej rady, uśmiechnął się.

Burrowi wydawało się, że w uniesionych kącikach ust tamtego kryje się szyderstwo. Bnon cieszył się reputacją osoby, która w akcji bywa całkowicie nieludzka i podobno cenił sobie te sławy.

-Bardzo dobra przyneta - powiedział łagodnie. - Według danych, jesteś idealnym typem do zastawienia tego rodzaju pułapki, cokolwiek ona oznacza i jakkolwiek zadziała.

-Wielkie dzięki Komandorze! - warknął Burr. - A jeśli powiem nie?

Bnon wzruszył ramionami.

-Oczywiście, może stać się i tak. Pamiętaj jednak, że to wyróżnienie.

-I chcecie, żebym to zrobił - rzekł cicho Burr. - Czekałście dość długo, aby postawić mnie w sytuacji bez wyjścia, bo czy powiem "tak", czy "nie", będziecie mnie mieli. - Poczul kwasny smak w ustach, który mógł pochodzić z uświadomienia sobie tej gorzkiej prawdy. - Jeśli mam wyruszyć zupełnie sam, to co się stanie, jeśli zginę? Dowiedziecie się czegośkolwiek więcej ponad to, co już wiecie? Przecież nie udało się wam zarejestrować tych snów... - Ton jego głosu podniósł się nieznacznie, tworząc z ostatniego zdania niemal pytanie. Gdyby mogli to obserwować i wydostać go stamtąd w krytycznej sytuacji, cała operacja zyskałaby zupełnie inne oblicze.

-Wprawdzie nie takie, o jakim myślisz, ale wsparcie otrzymasz. Bezsensowna śmierć kolejnego człowieka nie przyniesie nam żadnych korzyści. - Po raz pierwszy odezwał się trzeci spośród obecnych. Miał tak ludzki wygląd, że Burr mógłby uznać go za kolonistę z Terrana. Tylko brak zrenic i tkanina, okrywająca widoczne fragmenty jego skóry, zdradzały jego prawdziwą naturę.

-Ciesz się, Mistrzu Illan, że to usłyszałem. - Burr starał się, by jego odpowiedź zabrzmiała dość ironicznie.

Illan zdawał się nie zwracać uwagi na jego słowa.

-Dostarczymy ci twórczynię snów. Wiem, że zostałeś szczegółowo poinformowany i doskonale ci wiadomo, że fantazjotwórczynię są wynajmowane albo sprzedawane przez Roj.

Jeśli właściciel umrze, twórczyni musi zostać zwrócona; rodzinie właściciela zwraca się wtedy połowę ceny. Jeśli jest ponownie wynajmowana, to tylko na określony czas.

Przed dwoma laty Osdeve, Pan Ulay, zakupił fantazjotwórczynię o randze dziesięciu punktów. Był już ciężko chory na gorączkę kaffar. Umarł przed dwoma dniami. Ta fantazjotwórczyni, Uahach, musi teraz wrócić do Roju. Panuje taki zwyczaj, że jeśli twórczyni wraca, przynajmniej przez rok nie jest sprzedawana, gdyż każdy właściciel czy wynajmujący dostosowuje jej umiejętności do własnych upodobań, musi więc odpocząć, zanim będzie można zaprogramować ją ponownie. Jednak Matka Foost z Roju nie zniosłaby tak długiej bezczynności. Zgodzi się więc na to, by Uahach sniła w Roju, jeśli ten, kto

zapłaci za czas tej dziewczyny, zaaprobuje każdy sen i nie będzie przedstawiał własnych wymagań.

Bedziesz zatem turysta, który chce po prostu poprobować snu jako atrakcji w podróży.

Dlatego Uahach będzie ci odpowiadała tak jak każda inna dziewczyna. Słyszałeś o niej kiedyś i właśnie dlatego prosisz o nią... - Hyon zamilkł, aby zaczerpnąć tchu i Burr wtracił pytanie:

-Jak mogłem o niej słyszeć, jeśli nigdy przedtem nie byłem w Ty-Kry?

-Trzy lata temu Osdeve wyruszył w podróż. Odwiedził Melytis. Ten, którym będziesz w Ty-Kry, poznał go tam. Właściwie to jego opowieści o snach zwabiły go do Ty-Kry.

Burr lekko zmarszczył brwi. Nie miał wątpliwości co do ich spotkania na Melytis, będzie ono tak fachowo udokumentowane, że starczy za prawdę. Niepokoiła go inna kwestia.

-Ta Uahach, czy mogę być jej pewny?

-Jest agentka... a raczej będzie nią, gdy wróci do Roju - wyjaśnił Bnon. - Dzięki wbudowanej masie plastycznej, zamieni się w Uahach; ona jest Esperka i od jakiegoś czasu trenowała sztukę snu. Była przygotowana na długo przedtem, nim komputer wybrał ciebie.

Ta nieznaną "ona", stwierdził Burr, ryzykuje o wiele więcej, niż oczekiwano od niego.

Twórczyni snów miała talent wrodzony, choć przechodziły

surowy trening, zanim zyskiwały status twórczyni snow klasy A lub E. Dopiero wtedy mogły poprowadzić kogokolwiek przez wymagany świat.

-Tak, jest jedna z nas - znowu podjął wątek Hyon. - Zebraliśmy się tu właśnie dlatego, że ona została zwolniona. Musielismy poczekać na takie okoliczności. Pieć śmierci i żadnej odpowiedzi!  
-Trystianin po raz pierwszy uzewnętrznił swoje uczucia. - Tworzą też jakiś wzór: dwóch dyplomatów, inżynier, który dokonał ostatnio ważnego odkrycia i stał się tak bogaty, że zamierzał założyć własne laboratorium, dwóch posiadaczy tak wielkich majątków, że ich senna śmierć narobiła niezłego zamieszania w całej galaktyce. Ktoś ma ci morskie wody, by zbierać resztki statków rozbitych podczas burzy.

-Może wszyscy oni mieli słabe serca... Słyszałem, że przygody we śnie wymagają niekiedy mocnych nerwów - zauważył Burr, choć sam nie wierzył w to, co mówił.

Bnon warknął:

-Nie będziesz snił w Roju, jeśli nie przedstawiś Matce Foost świadectwa zdrowia.

Moga nie wiedzieć, co dzieje się z właścicielem fantazjotwórczyni, ale jednorazowa wyprawa w sen w Roju jest zawsze nadzorowana, po to, by nic takiego się nie zdarzyło.

Nie chcą, żeby padło na nich podejrzenie, iż zabijają swoich klientów. To zrujnowałoby całe przedsięwzięcie.

-A jednak zdarzyło się - zauważył Burr. - Pieć razy.

-Piec razy w ciągu jednego roku planetarnego - potwierdził Hyon.

-Jeżeli te wypadki zostały z góry zaplanowane, to są dość lekkomyślne - mruknął Burr bardziej do siebie niż do pozostałych. - Sądzę, że musiały się spodziewać, że władze przeprowadzą jakieś śledztwo.

-Władze planety - odrzekł Hyon - zrobiły już wszystko, co mogły. Nie mogą jednak zamknąć Roju, nie wolno im nawet przesłuchiwać twórczyni snu, gdyż miałyby to fatalne skutki. Ty-Kry jest dumne ze swoich snów. Wszyscy zmarli byli spoza planety, więc ich śmierć nie wywołała poruszenia wśród jej mieszkańców. Poza rym Yilland i Wyvid podróżowali incognito i prywatnie. Władze są jednak na tyle zaniepokojone, że wezwwały nas - co, jak na nie, jest i tak rewolucyjnym posunięciem, zważywszy na ich niechęć wobec oficjalnych kontaktów z innymi światami. Zastrzegły sobie jednak, że nie będziemy działać jawnie, a one oficjalnie nie będą nam pomagały w naszych badaniach.

Burr uśmiechnął się niewesoło.

-Czy wiedząc podstawionej przez was fantazjotwórczyni?

-Nie. I nie mają się dowiedzieć. Roj ma monopol na sny. Jeśli dowiedzą się, że twórczyni snów można wyprodukować sztucznie, będziemy mieć przeciwko sobie całą planetę. Istnienie tych dziewcząt ma tu wartość niemal religijną i nie powinniśmy się w to mieszać.

-Co uczyni mnie na tyle ważnym, że może spróbują swojej gry po raz szósty? - dopytywał się Burr.



-Burr Neklas został właścicielem asteroidy, który jest niemal czystym Byolitem - odparł Hyon.

Burr uniosł brwi z niedowierzaniem.

-Istnieje coś takiego? - zapytał z powatpiewaniem.

-Owszem, istnieje. Jest kontrolowane przez siły Patrolu. I zarejestrowane na twoje nazwisko. Nie masz bliskiej rodziny, więc... - Hyon zawiesił głos, jakby pragnął nadać szczególne znaczenie temu, co zamierzał powiedzieć - jeden z twoich partnerów z Neklass Enterprise wyjawiał, z najwyższą ostrożnością, ale i na tyle jasno, by zostać dobrze zrozumianym, że w wypadku twojej śmierci Byolite zostanie włączone do twego majątku.

Nie wątpię, że w kartotekach, może jeszcze nie w Ty-Kry, bo byłoby to zbyt nachalne, znalazł się już testament, w którym zapisujesz swój majątek temu, kto zaoferuje najwyższą cenę za twoje życie. - Świetnie, znalazłem się między młotem a kowadłem, co? - Zachmurzył się Burr. - Jestem świetną przynętą dla mordercy. Więc dobrze, kiedy mam złożyć sam siebie jako ofiarę na ołtarzu Roju?

-Natychmiast zostaniesz wyposażony w nowy zyciorys - powiedział Hyon. - Potem polecisz prywatną rakieta do Ty-Kry. Tam postarasz się, aby zauważono cię jako bogacza, który chętnie spróbowałby czegoś niezwykłego. Myślę, że nie będziesz miał trudności w dotarciu do Roju, a tam poprosisz o Uahach...

-I zapadnę w miły, śmiertelny sen - dokończył Burr. - Dziękuję wam wszystkim za to wspaniałe zadanie. Będzie o was pamiętał w

swoich snach!

II

Jej figura gineła w ponurym, szarym worku szaty, włosy miała obcięte tak krótko przy głowie, że nie miały nawet poł palca długości, ułatwiało to dopasowanie helmu snu; szczupłe ciało, wylaniające się z transportowego fotela, mogło należeć zarówno do dziewczynki, jak i do staruszki. Jej twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu. Gdy szła, zachowywała się jak ktoś, kto nie opuścił jeszcze świata snu, w którym żył. Strażnik otworzył przed nią drzwi i wsunęła się w bezszelestne, dyskretne zacisze Roju. Idąc głównym korytarzem, nie zmieniła skupionego wyglądu, choć chłonęła obraz, którego nigdy przedtem nie widziała, a który był jej doskonale znany dzięki przesłaniu wiadomości z umysłu do umysłu. Nie była już Ludia Tanguly, stała się Uahach, fantazjotwórczynią klasy A, z dziesięciopunktową rangą. Z góra dwa lata temu opuściła Roj, do którego dziś wraca. Na szczęście zdolali dotrzeć do myśli twórczyni i teraz rozpoznawała wszystko, co niegdyś widziała jej poprzedniczka, znała też dobrze rytuał powrotu. Stała przed drzwiami po prawej stronie i czekała bez ruchu, aż wykryje ją badawczy promień. Kiedy brama rozsunęła się na dwie strony, weszła. Pokój był mały, stały w nim dwa krzesła, nie miękkie fotele, ale meble starego typu, z twardymi siedzeniami. Wyglądało na to, że Matka Foost nie dbała o wygodę tych, którzy przybywali tu, aby z nią rozmawiać. Pomiedzy krzesłami, w zasięgu ręki przywódczyni Roju, stał kontroler pamięci. Na jednej ze ścian widoczny był duży ekran. Matka Foost siedziała, oczekując przybycia Uahach. Nie powitała jej żadnym słowem, podniosła tylko rękę na znak, że fantazjotwórczyni może usiąść na drugim krzesle.

-Nie spieszylas sie - zauwazyła. - Twój ostatni pan umarł cztery dni temu - ciągnęła monotonnym głosem. Jeśli jej słowa miały być pytaniem, zabrakło w nich intonacji. Jeśli miały być wyrzutem za opieszałość, trzeba było się tego domyslić.

-Następca mego pana zwolnił mnie zaledwie przed godziną. Natychmiast użyłam przesyłacza obrazu. - Głos Uahach był tak samo pozbawiony wyrazu. Jej rece opadły bezwładnie na kolana i siedziała w pozycji osoby, która całe życie słuchała cudzych poleceń.

-Racja. Roj był zmuszony przypomnieć panu Ylph, że zawarliśmy kontrakt z jego poprzednikiem. Ta opieszałość w zwolnieniu cie została już odnotowana w naszych kartotekach. Może sądził, że uda mu się coś wytargować... masz wysoka rangę i twój pan był zadowolony z twoich usług. My się jednak nie targujemy. Wrocilas więc. Twoje sny zostały już wciągnięte do archiwum. Teraz nie będziesz tworzyć. Ten Osdeve wymagał od ciebie wielu poszukiwań, może się nawet okazać, że musisz być poddana wymazaniu. - W oczach Matki Foost pojawił się teraz cień emocji. - Musimy jednak zbadać do końca twoje nagrania, nie chcę nakazywać niepotrzebnych wymazań.

Uahach pozostała na pozór niewzruszona, ale w jej wnętrzu odezwał się instynkt samozachowawczy. Czy Corps Master to przewidział? Poddanie się wymazaniu oznaczałoby zniszczenie wszystkiego, do czego została przygotowana. Gdyby tak się zdarzyło, zostałaby prawdziwa Uahach.

-Bo widzisz - wąskie usta Matki Foost wyrzucały każde słowo, jakby wycinała je nożem - przybywa do nas coraz więcej klientów nowego typu, wędrowców z innych światów, którzy poszukują

nowych doznaw. Material, jaki dostarczałaś Lordowi Osdeve, to głównie sny-przygody. Mogłabyś zostać w Roju bardzo długo i obsługiwać tych przybyszów.

To, co masz do zaoferowania, byłoby dla nich zupełnie nowe.

-Mam dziesięć punktów - odezwała się Uahach.

-Jesteś za dobra do pracy w Roju? - Matka Foost skinęła głową. - Prawda. Musisz się jednak oczyścić, zanim znów zostaniesz wynajęta na zewnątrz. Bądź pewna, że zostaniesz należycie doceniona.

-Ta decyzja, jak i wszystkie inne, pozostaje w twoich rękach - odpowiedziała zgodnie ze zwyczajem. Bnon miał rację, pierwszy ruch w tej grze został już wykonany.

-Jesteś prawdziwą fantazjotwórczynią. - Matka Foost sięgnęła po słowa konwencjonalnego pożegnania. - Przydzielę ci komnatę Pancernego Suxsux. Zamów wszystko, czego możesz potrzebować. Twój kredyt nie jest ograniczony.

Uahach wstała i podniosła dłoń do czoła, Matka Foost odpowiedziała jej dokładnie tym samym gestem. Przydzielenie jej nieograniczonego kredytu w Roju oznaczało, że była bardzo cennym towarem. Idąc korytarzem i wspinając się po dwudziestu schodach na następne piętro, zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Ponieważ Matka Foost powiedziała, że będzie na razie służyć w Roju, ma pełne prawo dowiedzieć się wszystkiego, czego potrzebowała.

Kolekcja taśm znajdująca się w bibliotece Roju stanowiła

najznakomitszy zbiór wszelkich informacji pochodzących z całej galaktyki z wyjątkiem miejsca, w którym znajdował się sztab Patrolu. Opowieści podróżników z tysięcy światów, historia, najdziwniejsze zdarzenia, wszystko to, co mogło wzbogacić wizje, jakie twórczynie snów wysnuwały dla swoich klientów, pozostawało do dyspozycji mieszkanek Roju. Czy jednak istniała jakaś metoda, aby odnaleźć te tasmę, z których korzystały obie podejrzane twórczynie snów? Tego nie udało się sprawdzić. Znała jednak ich imiona: Isa i Dynamis. Obie tworzyły sny o przygodach, ale chyba żadna nie osiągnęła rangi dziesięciu punktów, żadna z nich nigdy nie była zatrudniona poza Rojem. We wspomnieniach Uahach, przeniesionych tak dobrze jak tylko pozwoliła na to nauka na usługach Patrolu, majaczył mglisty obraz Isy. Dynamis nie znała zupełnie. Była to młoda stazem fantazjotwórczyni, jedna z Późnych - jej talent objawił się dopiero kiedy była już dorosła, a nie we wczesnym dzieciństwie, jak u większości z nich, odkrywanych i szkolonych od dziecka.

Isa przeżyła obydwa sny, które zabiły jej klientów, jednak z trudem. Jej egzystencja, według wszystkich oglądających ją specjalistów, przypominała byt rośliny.

Dynamis miała więcej szczęścia. Niemniej Matka Foost uznała, że będzie musiała przejść powtórny, długi trening. Procedura snu, jaka odbywała się w tym świecie, nie należała do zbyt skomplikowanych. Maszyna łączyła klienta i twórczynię snów poprzez nakrycie głowy, dziewczyna popadała w stan wizjonerskiego transu, a jej klient przeżywał tam niesłychane przygody, których rodzaj określał wcześniej. W ten sposób mógł cofnąć się w przeszłość, badać obce światy, wędrować po wymyślonych drogach przyszłości. Jeśli zyczył sobie

dlugiego snu, mogli spac tak caly tydzien, odzywiani dozynnie. Klient mogl jednak przerwac sen w kazdej chwili. Mimo to pieciu ludzi wysnilo wlasna smierc i nigdy sie juz nie obudzilo.

Jeden taki wypadek, moze dwa, mogl zostac spowodowany przez blad maszyny, slabe serce, albo jakis inny nieszczesliwy przypadek, ale piec - to bylo zbyt wiele.

Uahach wiedziala, ze Matka Foost osobiscie sprawdzala maszynie wtedy, kiedy snic mial ktos znaczny. Zadala takze od kazdego potencjalnego klienta, i wladze wspieraly ja w tym zadaniu, swiadczenia zdrowia. To zas wydawano tylko po badaniu, ktorego nie dalo sie sfalszowac. Ty-Kry nie zyczylo sobie skandalu, ktory juz i tak stal sie zbyt glosny. Z uslug tworczyn snow od dawna korzystali mieszkancy planety, ostatnio jednak staly sie one najwazniejsza atrakcja turystyczna, a ci, ktorzy wladali miastem, w pelni doceniali jej wartosc. Pomimo tych srodkow ostroznosci jedna z fantazjotworczyn popadla w obled, a pieciu ludzi nie zylo. Pieciu takich, ktorych smierc mogla przyniesc korzysc komus innemu.

Bylo to ciezkie podejrzenie, ale wciaz brakowalo dowodu.

Podeszla do drzwi, na ktorych widnialo namalowane to samo opancerzone stworzenie, o ktorym wspominala Matka Foost. Wiedziala, ze znajduje sie za nim jeden z najbardziej pozadanych w tym mrowisku, pojedynczych pokoi. Rzeczywiscie, mogla byc pewna, ze jej wartosc dla Roju pozostala niezmiennie wysoka. Choc tym, ktore nigdy nie znalazly sie w podniebnej wiezy swego pana, pokoj ten mogl wydawac sie luksusowy, w rzeczywistosci byl on niewielkim, skromnym pomieszczeniem. Stala w nim lezanka, uformowana ze stosu miekkich poduszek,

obleczonych w ponure, ciemne szarości i zielenie; nic nie mogło rozpraszac uwagi twórczyni snów, odrywac jej od pracy. Na jednej ze ścian znajdował się ekran z blokiem odtwarzacza, w który można było wpasować każdą zadana taśmę. Na przeciwległej ścianie widniała niewielka tablica z rzędem przycisków. Służyły one do zamawiania słodkawych, niemal pozbawionych smaku, posiłków bogatych w białko i inne składniki odżywcze, stanowiących zwyczajne pożywienie twórczyni snów. Za zasłoną znajdowała się mała łazienka. Była także szara, wyłożona miękkim dywanem. Uahach usiadła na posłaniu, zastanawiając się, czy Matka Foost ma jakieś metody kontrolowania pomieszczeń swoich dziewcząt. Z pewnością i o tym nie zapomniała, przecież nigdy nie spuszczała ich z oczu.

Panowała tu niezwykła cisza, nie dochodził żaden dźwięk z zewnątrz, choć Rój pełen był ludzi. Fantazjotwórczyni, w jej komorce, nic nie może przeszkadzać w pracy. Dla niej cisza na pewno nie jest uciążliwa. Jej życie stanowią sny, a świat spoza nich wydaje się mroczny i nieciekawym.

Podeszła do tablicy i wybrała wzór napoju. Po chwili sięgnęła po mały kubeczek gorącego płynu. Usta miała spieczone, jak zwykle w obliczu nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Suchość języka i warg, wilgotne dłonie stanowiły znak, by sięgnąć po wyuczone techniki.

Czekanie jest zawsze trudne. Kiedy od razu przystępuje się do akcji, można zapomnieć o sobie, zagubić się w działaniu. Jednak siedzieć i czekać... Ile czasu upłynie, nim przybędzie tu drugi gracz wystawiony przez Hyona? Nie wiedziała nawet, kim on był, ani na ile może na nim polegać. A nie lubiła pracować po

omacku. Ta nie przypomniała żadnej z akcji, w których dotąd uczestniczyła. Z każdą upływającą minutą coraz mniej jej się to wszystko podobało.

III

-Więc proszę o te Uahach. Dłonie Matki Foost spoczywały na krawędzi tablicy kontrolera pamięci.

Zaszczyciła Burrę nieruchomym spojrzeniem tak pozbawionym wszelkiego wyrazu, że zaczął się zastanawiać, czy zwierzchniczka Roju sama nie przebywa w jakimś śnie. Potem odezwała się głosem wypranym z emocji:

-Mówisz, że opowiadał ci o niej Lord Osdeve. Tak, wynajmował ją. Musisz jednak zrozumieć, panie, że ona nie może jeszcze przyjmować nowych zamówień, wróciła do Roju zaledwie dwa dni temu. Nie będziesz miał możliwości wyboru przedmiotu swego snu...

Burrę otworzył sakiewkę umocowaną przy pasie i wyciągnął srebrną płytkę kredytu.

-Nie zależy mi na serii stworzonej tylko dla mnie. Tak naprawdę, to jestem po prostu ciekaw, jak wyglądają te słynne sny Ty-Kry. To, co wymyśliła dla Lorda Osdeve, będzie dobre i dla mnie. Chce zyskać jakies nowe doświadczenie, to wszystko.

Wzrok Matki Foost przez dłuższą chwilę zawisł na płytce kredytu. Burrę nigdy przedtem nie trzymał takiego w dłoni: nie ograniczony kredyt, waluta przyjmowana na każdej planecie, gdzie znajdowały się poselstwa Rady.



-Pojedynczy sen - powiedziała Matka Foost - kosztuje więcej, ponieważ twórczyni nie ma zabezpieczenia na przyszłość.

Burr wzruszył ramionami.

-Cena nie gra roli. Ale chce Uahach. Osdeve tyle mi opowiadał o jej snach, kiedy widziałem go po raz ostatni.

Matka Foost znowu obrzuciła go tym spojrzeniem bez wyrazu. Równocześnie jednak sięgnęła do przycisków na małej tablicy i nacisnęła dwa z nich. Na ekranie pojawił się jakiś wzór. Przyglądała się mu przez chwilę, a potem zacisnęła dłoń na płytce kredytu.

-Jeszcze nie zaczął się proces rozprogramowania. Doskonale, jeśli zgadzasz się na serię Osdeve'a, można to zrobić. Czy masz świadectwo zdrowia i równowagi psychicznej?

Wyjął kolejną perforowaną płytkę. Wzięła ją i wsunęła do otworu w tablicy rozdzielczej kontrolera. Rozległo się kilka stuknięć i wzór na ekranie zmienił się.

-Czym grozi taki sen? - Postanowił przejść od razu do rzeczy. Jako przybysz z innego świata, nie znający zwyczajów Roju, mógł przecież zadać takie pytanie.

-Dziesięciopunktowa fantazjotwórczyni klasy A - odpowiedziała Matka Foost - tworzy sny tak żywe, że klient ma wrażenie, iż znajduje się w prawdziwym świecie. W takiej sytuacji napięcie, obciążające serce i umysł, może prowadzić do poważnych następstw.

Oczywiście, pragniemy tego uniknąć. Mamy również medyka, który stoi obok.

Ostateczna decyzja, co do przerywania snu, należy jednak do klienta. Jeśli sen mu nie odpowiada, może z niego zrezygnować. Będziesz połączony z umysłem fantazjotwórczyni, która natychmiast odbierze twój sygnał i uwolni cię.

-Ryzyko jest zatem nieznaczne - mruknął Burr.

-Oczywiście. - Matka Foost najwyraźniej nie zamierzała wspominać o ostatnich wypadkach w Roju. - Kiedy chciałbyś skorzystać z usług Uahach?

-Może od razu? - zaryzykował Burr. - Pozostałe pięć dni mam spędzić u Lorda Erlvina. Sądzę, że poczynił on jakies przygotowania, których nie będę mógł zmienić.

Matka Foost trzymała srebrną płytkę kredytu między kciukiem a palcem wskazującym.

Znowu wbiła w niego wzrok, ale tym razem Burr był przekonany, że stara się przeniknąć nie jego, lecz raczej własne myśli.

-Uahach jest wolna, to prawda. Potrzebne są jednak pewne przygotowania. W tej chwili wszystkie pokoje snu są zajęte. Jeżeli zgodzisz się, aby powrócić po południu, wszystko będzie gotowe. - Świetnie. - Burr pochylił się do przodu i wyjął z jej dłoni płytkę kredytu.

Trzymała ją wciąż, jakby nie miała zamiaru oddać. Przez chwilę usiłował zgadnąć, ile widziała takich płytek. Całkowite kredyty

podrozne nie mogly zdarzac sie zbyt czesto w galaktyce.

Udal sie na obiad do najlepszej restauracji w Ty-Kry. Jادل niewiele, dokonujac starannego wyboru z przedstawionej mu listy dan i korzystajac z plytki, ktora tak zauroczyła wladczyni Roju. Zrobiono wszystko, aby zapewnic mu bezpieczenstwo (poza, oczywiscie, odwołaniem akcji). Mial jednak zmierzyc sie, z przerazajacym nieznanym. Kiedy powrocil do Roju, zaraz zaprowadzono go do pokoju zastawionego niemal calkowicie przez dwie lezanki.

Pomiedzy nimi stala maszyna, a na sofie po prawej stronie lezala juz jakas dziewczyna, z twarza oslonieta helmem az po linie nosa. Identyczne nakrycie glowy czekalo na niego.

Fantazjotworczyni oddychala powoli i gleboko, Burr zastanawial sie, czy dziewczyna juz spi.

Dwoch pomocnikow, jeden ze znakiem sluzby medycznej, przywitalo sie z nim i w mgnieniu oka ulozyla na drugiej lezance, zakrywajac mu oczy miękko wyscielany helmem.

Gleboko wciagnal powietrze. Teraz nie mial juz odwrotu, stalo sie! Pograzyl sie w mroku, czul sie tak, jakby krecil sie i kolysal w powietrzu. Potem ogarnela go struga swiatla, jakby, pozbawiony helmu, lezal w cieplym slonecznym blasku. Usiadl powoli i rozejrzal sie wokol.

Tego sie nie spodziewal... czul sie swobodnie, swiat dokola wydawal sie calkowicie rzeczywisty.

Na probe pociagnal kepke szarozielonej trawy. Najpierw oparla

się, potem poddała temu pociągnięciu i korzenie oddzieliły się od czerwonej ziemi. On... to... wyglądało tak prawdziwie!

Wokół wznosiły się niewielkie wzgórza i pagórki, tworzące obramowanie dla kotliny, w której się znalazł. Na szczycie każdego wzniesienia widniał pionowy kamień, wygładzony wiatrem i deszczem, ale na pewno nie ustawiony siłami przyrody. Nigdy przedtem Burr nie widział podobnego krajobrazu. Powoli wstał. Sen kategorii A zwiastował przygody.

Ta pustosząca okolica stwarzała wrażenie niebezpiecznej, choć w zasięgu jego wzroku nie było widać nikogo, nie spostrzegł też żadnych oznak życia. W górze nie krążyły ptaki, w powietrzu nie było słychać ani widać żadnych owadów. To miejsce opustoszało jeszcze, zanim kurtyna została podniesiona i rozpoczęło się przedstawienie.

Zwrócił uwagę na najbliższe z okrągłych wzgórz. Uznał, że z jego szczytu na pewno zobaczy coś więcej niż z tego zagłębienia. Zaczął się wspinać ku ukoronowanemu skała wierzchołkowi. Wysoka góra porastała tą samą szarozieloną trawą, której kępki wyrwał.

Zbocze było strome i śliskie, potykał się więc i musiał czepiać się trawy, aby nie zślizgnąć się z powrotem w dół, do miejsca, w którym rozpoczął swą wędrowkę po tym sennym świecie. Kiedy znalazł się na szczycie, obrócił się powoli, obserwując okolice.

Wzgórza z utkwionymi na nich kamiennymi kolumnami ciągnęły się bez końca w kierunku, który uznał za północny. Jednak na południe było ich już tylko kilka, a dalej rozciągała się szeroka równina, wysadzana licznymi kamieniami, które były tak

zgrupowane, że sprawiały wrażenie ruin jakiejś starożytnej budowli - a może kilku? - dawno już przemienionej w gruz za sprawą czasu, czy też jakiejś odległej katastrofy. Nad tym nieruchomym światem zalegała potworna cisza. Nagle dotarło do niego jakieś drzenie, raczej wyczuwalne niż słyszalne. Tak, jakby sama ziemia oddychała, powoli i z trudem. Burr poczuł ochotę, by krzyknąć, wydać z siebie jakiś dźwięk, który przerwałby tę okropną ciszę. Nie ufał temu, co zobaczył, a jego nieufność wynikała nie tylko z otrzymanych wcześniej ostrzeżeń.

To naprawdę było... groźne, choć nie potrafił określić, na czym polegało. Sięgnął dłonią do pasa, czy raczej do miejsca, w którym powinien znajdować się jego pas, instynktownie poszukując oszalamiacza, który każdy rozsądny człowiek ma przy sobie w nieznanych terenach.

Jego palce musnęły nagą skórę i po raz pierwszy przyjrzał się samemu sobie.

Nie nosił już tego dziwnego stroju, jaki zaprojektowano dla Burra Neklasa - kredytowego krezusa. Jego skóra była wyraźnie ciemniejsza. Miał na sobie spodnie z tkaniny w stalowym kolorze, wyglądały na elastyczne i opinały go ściśle niczym druga skóra. Na nogach miał coś tak miękkiego, jakby również wykonanego z tkaniny, ale solidnie podbitego grubym, czerwonym materiałem. Wierzchnia część tych niby-butów była obszyta lśniącą czerwoną nitką, dokładnie obrysowująca każdy ukryty w nich palec. Nad talią znajdowały się dwa szerokie pasy materiału nie opasujące go jednak, lecz biegnące jeden przez prawe, drugi przez lewe ramie. W miejscu, gdzie krzyżowały się na piersi, były połączone broszą wielkości dłoni, wykonana ze srebrnego metalu i wysadzana kamieniami o różnych odcieniach czerwieni - od

glebokiej po jaskrawa barwe pomaranczy. Na kazdym barku nosil oslony z tego samego metalu, ale jedna byla wysadzana kamieniami w roznych odcieniach czerwieni, druga - zolci. Ten stroj wydawal sie Burrowi ubiorem jakiegos barbarzyncy z innego swiata, choc przyznawal, ze wykonany byl po mistrzowsku. Nigdy przedtem nie widzial czegos podobnego.

Nagly ruch pomiedzy zwalonymi kamiennymi blokami gruzow spowodowal, ze przykucnal ostroznie, kryjac sie za glazem, wznoszacym za jego plecami na szczycie wzgorza. Dopiero teraz uswiadomil sobie, jak glupio postapil, nie ukrywajac swej obecności tutaj. Cos przemykalo, kryjac sie pomiedzy kamieniami, tak szybko, ze dostrzegal tylko sam ruch. Nie byl nawet pewny, czy mial do czynienia z istota ludzka. Ten paradny stroj z pewnoscia nie zapewni mu bezpieczenstwa. Kleczac za kamieniem, rozejrzal sie dookolą za jakims uzbrojeniem. Wypatrzył wreszcie kamien, ktory wzial do reki.

Zwykle klient wie, czego ma sie spodziewac we wlasnym snie, sam go przeciez zamawia.

Burr musial przyjac swiat zgodny z zyczeniami Osdeve'a, przeniesiony do umyslu pseudoUahach. Nie mial pojecia, czego ma sie spodziewac poza klopotami. A te chyba wlasnie teraz zmierzaly w jego strone.

## IV

Bylo ich wiecej... Burr odetchnal gleboko, zaciskajac palce na kamieniu tak mocno, ze szorstka powierzchnia ranila mu opuszki. Cos krylo sie za dwoma kamiennymi blokami, wciaz jeszcze ulozonejmi jeden na drugim; nieco na prawo cos innego

poruszyło się, z tą samą błyskawiczną, płynną prędkością i ukryło, nim zdolał zobaczyć cokolwiek poza czystym kolorem - ostrym błękitem, który przemknął wśród kamieni. Nie miał pojęcia skąd, ale wiedział, że polują właśnie na niego. Może Osdeve lubił ten typ emocji... ucieczka, tropienie; może z powodu choroby dreczacej go przez ostatnie lata wybierał sny, w których sprawdzał swoją siłę w walce. Burr spojrzął przez ramię na pasmo wysokich wzgórz, ciągnących się za nim aż po linię horyzontu. Może mógłby uciec, spróbować czegoś, co nie musiałoby zamienić się w morderczą zabawę w chowanego wśród wzgórz. To jednak odwlekłoby tylko zdarzenia tego snu. Nie, zostanie tu, gdzie jest, dopóki nie okaże się, że niebezpieczeństwo stało się już tak wielkie, że nie może mu stawić czoła. Chyba straciły go z oczu, a niecierpliwość wywabiała je z ukrycia. Ciągle się przesuwaly, ale tym razem były już widoczne. Potem, w pewnej odległości od siebie, trzy dziwadła zastygły niczym kamienne figury, jakby nieruchomiejąc również próbowały ukryć swoją obecność. Burr, który przewedrował wiele światów, dawno już przestał się dziwić cemukolwiek, co różniło się od jego przyzwyczajen. Te stworzy były jednak na tyle dziwaczne, że przykuły jego uwagę. Z tej odległości trudno było określić ich wielkość, ale był przekonany, że wszystkie trzy są od niego wyższe. To były ptaki, a może istoty podobne do ptaków. Ich korpusy, osadzone na długich, cienkich nogach, były pokryte jaskrawym, niebieskim lub zielonym piórami (jeden był zielony, dwa niebieskie), które na ogonach przechodziło w puszyste pióra. Miały ogromne głowy uwieńczone pierzastymi czubami, wielkie oczy i dzioby o przerazającym wyglądem, ostre niczym krótkie miecze Harkimana.

Te nieproporcjonalnie duże głowy sterczały na długich, niezwykle

gietkich szyjach, zupełnie pozbawionych upierzenia, odsłaniających szerokie pasmo luskowatej skóry. Nie wyglądały przyjaźnie. Burr wiedział, był pewny, że to on jest celem tego polowania, a te ptaki to śmiertelni wrogowie jego gatunku.

Teraz nie były już spokojne. Ten zielony unosił troszeczkę głowę, wyprostował szyję.

Kierował się wprost na Burra. Mężczyzna zaczął podejrzewać, że pozostając tutaj, mimo wszystko dokonał złego wyboru. Choć prędkość, z jaką te ptaszyska przemieszczały się wśród ruin upewniła go, że ucieczka skończyłaby się dla niego fatalnie. Czy tak właśnie umarli tamci? Czy zostali upolowani, niekoniecznie zresztą przez stojące przed nim pierzaste potwory? Przypomniał sobie przestrogi Matki Foost: może się obudzić...

Zielony wykonał potężny skok, który przeniósł go pomiędzy kamiennymi blokami.

Przesunął się niczym figura w szachach na szczyt pobliskiego wzgórza, nieco niższego od tego, na którym schronił się Burr. Nie ma co udawać bohatera, nadszedł czas, by się obudzić.

W odpowiedzi na jego zadanie, przeraźliwe polowanie wcale się nie zakończyło, za to powietrze przeszył błysk. Tuż obok chroniącego go glazu tkwiła wbita głęboko w ziemię dzida, wciąż jeszcze lekko rozedrgana od impetu, z jakim cisnięto ją w przestrzeń. Reka Burra instynktownie zacisnęła się na drzewcu. W tej samej chwili zaskoczył go jakiś krzyk dochodzący z północy. Głowa zielonego ptaka obróciła się w tym kierunku. Burr wyciągnął ostrze z ziemi. Jego umysł opanowała w tej chwili tylko jedna myśl: sen nie został przerwany, mimo jego zadania! Zwążył



w dłoni bron. To było to! Teraz może tu pozostać.

PseudoUahach, która zdołała wprowadzić go do tego świata, nie może go z niego oswobodzić.

Odezwała się w nim uparta wola, nigdy przecież się nie poddawał. Ktoś rzucił mu bron, choć wydawała się ona bardzo mała w porównaniu z wielkością i szybkością wrogów. Ktoś odwrócił uwagę ptaka... Burr przesunął się, usiłując nie spuszczać ptaków z oczu, a równocześnie sprawdzić, kto go uratował. W tej samej chwili zielony ptak po raz pierwszy wydobył z siebie głos - przenikliwy, raniący uszy wrzask. Potem skoczył w przestrzeń.

Pozbawiony skrzydeł, wydawał się niezdolny do lotu, ale ten fantastyczny skok przeniósł go prosto na następne wzgórze, równe temu, na którym kulil się Burr, choć dość oddalone. Nie patrzył już w jego stronę, skierował wzrok na północ. Burr czuł, że nie powinien tracić z pola widzenia jego dwóch towarzyszy, wciąż pozostających wśród ruin, ale musiał dowiedzieć się, komu, a może czemu, grozi teraz atak tego stworza. Ciało ptaka napięło się, jego długie nogi zgięły się nieznacznie. Burr był pewny, że przygotowuje się do trzeciego wspaniałego skoku.

Jeśli tak, to zdecydował się o ułamek sekundy za późno. Coś zawirowało w powietrzu.

Obciążony koniec długiego sznura smagnął nogi ptaszyska tuż pod jego brzuchem.

Sila uderzenia była tak duża, że lina ściśle skrepowała jego kończyny. Ptak zaskrzeczał z wściekłości, jego głowa

podskakiwała do góry i w dół, gdy próbował rozedrzeć krepującą go linę swym ostrym dziobem. Kiedy upadł na ziemię, zawirował następny obciążony powrót, okrecając się wokół jego szyi. Burr obrócił się, aby spojrzeć na pozostałe dwa ptaki.

Zniknęły, choć może ukryły się za płaszczem wzgórz, aby niebawem przybyć swemu skrepowanemu towarzyszowi z pomocą.

-Chodź!

To nie był krzyk ptaka, ale słowo wypowiedziane w najzwyczajszym Basicu. Burr znów się odwrócił. Dwa szczyty dalej zobaczył jakąś, machającą do niego postać. Osoba ta owinięta była płaszczem, jej głowa kryła się w kapturze tak szczelnie, że udało mu się tylko rozpoznać ogólny zarys ludzkiej sylwetki. Nie miał wyboru, posłuchał więc, zbiegł ze wzgórz i wbiegł na następne tak szybko, jak tylko potrafił, wciąż przy wtórze wrzasku skrepowanego ptaka. Dyszał ciężko, gdy dotarł wreszcie do ostatniego wierzchołka. Spod płaszcza wysunęła się dłoń, uchwyciła ramię i pociągnęła za tkwiący na szczycie głaz.

-Ta petla nie przytrzyma kwakera zbyt długo. - Burr patrzył prosto w dziewczęce oczy.

Strzasnęła z głowy kaptur, odsłaniając włosy ściagnięte na czubku głowy klamrą i spływające swobodnie na ramiona. Miały barwę granatu. Jej skóra, odsłonięta, gdy odrzuciła płaszcz na plecy, by uwolnić ramiona, była ciemna jak u Burra. Pod granatowymi łukami brwi lśniło pomarańczowe światło oczu. Zamysłony Burr balansował dzida.

-To chyba także nie jest zbyt skuteczne - zauważył sucho. - Co teraz, uciekamy?

Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta kobieta. Wyglądało na to, że uratowała mu życie, przynajmniej tymczasem. Potrząsała głową, a upięte pod gorę włosy muskały z szelestem jej okryte ramiona.

-One właśnie tego pragną. Potrafią poruszać się szybciej od każdego z ludzi.

Nie, zmienimy...

-Co zmienimy? - wtracił pytanie.

-Zmienimy położenie naszego snu. Daj mi reke! - Jej palce zacisnęły się na jego dłoni bez żadnej delikatności. Druga reka wykonała zamaszty gest. Świat zawirował i Burr zamknął oczy, aby przemoc mdłości, nigdy bowiem nie znajdował się w tak rozkolysanym stanie. Kiedy znowu odważył się je otworzyć, stał na plaży pokrytej złotawym piaskiem, a przed nim falowała łagodnie wypukła wodna przestrzeń, która sprawiała wrażenie spokojnego morza. Jego dłoń wciąż była uwieczona w uścisku jej palców, usłyszał obok siebie westchnienie ulgi. Wtedy puściła go i odsunęła się nieco.

-A więc... - powiedziała jakby do siebie - tego jeszcze nie zmienili.

-Co to wszystko ma znaczyć? - Burr ocknął się na tyle, by zadać wyjaśnienie, a jego głos zabrzmiał zbyt głośno na tle cichego poszumu fal.

-Posluchaj! - Odwrocila sie lekko, aby spojrzec mu prosto w oczy.  
- Oni nas tu jakos zamkneli. Kiedy chciales przerwac sen, nie udalo mi sie tego zrobic. Rozumiesz?

Jestesmy oboje uwiezieni w tym snie, ktory tylko czesciowo pochodzi z pamieci Uahach.

Ruiny byly jej... Kwakery tez. One naprawde istnieja, a raczej istnialy za Altara IV. Tyle, ze nie sa agresywne.

-Pamiec Uahach - Burr nareszcie cos zrozumial - czyli ty jestes...

Rozesmiala sie szorstko.

-Jestem twoja pomocnica, tworczynia snow. I jestem zaplatana w swoim wlasnym snie.

Dales znak, ze chcesz sie obudzic, a ja probowalam spelnic twoje polecenie. Cos mi jednak przeszkodzilo. Jednak nie udalo sie im, przynajmniej na razie, uniemozliwic nam poruszania sie w obrebie snu. Teraz jestesmy tu - wskazala na plaze - zamiast scigac sie tam z kwakerami na wzgorzach. Nie wiem, czy oni moga nami manipulowac, czy tylko zamkneli nas we snie. Tak czy owak, nie powinniśmy czuc sie bezpiecznie.

Burr mocniej uchwycil drzewce dzidy. Zrozumial ja az za dobrze. Zostali uwiezieni w tym nazbyt realnym snie, z ktorego nie bylo ucieczki.

-Czy mozesz nadal przenosic nas, jesli cos nam zagrozi?  
Wzruszyla ramionami.

-Do pewnego stopnia. Moge korzystac z pamieci Uahach. Jezeli

jednak zmusza mnie, bym dotarła do jej kranca... - Potrzasnęła głową. - Nie mogę rozwijać snów poza jej pamięć. Znalazłam to morze, bo istniało w tym śnie. Pozostały nam jeszcze cztery punkty, do których możemy się przenieść.

-A potem - dokończył za nią - znajdziemy się w potrzasku? Powoli skinęła głową i powtórzyła za nim:

-W potrzasku.

V

Burr przyglądał się ostrzu dzidy, którą wciąż trzymał w ręce. Matowy metal składał się z trzech warstw. Uczono go posługiwania się dawną bronią - mieczem, sztyłem i prymitywnym narzędziem, które wystrzeliwało pociski. Nigdy jednak nie trzymał w dłoni włóczni.

-Znasz ten sen - odezwał się powoli. - Jak zaprojektowała go Uahach dla Osdeve'a?

Czy możesz przewidzieć, co nastąpi, abyśmy wiedzieli, czego się spodziewać?

-Jak dotąd, wygląda tak samo co do scenerii, nawet jeżeli chodzi o kwakery.

Choc jest trochę zmieniony. Kwakery miały być częścią polowania, ale jako zwierzyna, nie myśliwi.

Osdeve uwielbiał polowania. Tu... - Zawahała się. - Lepiej, żebyś wiedział, w swoim śnie Osdeve spotykał się tu z Wedrowcami Morza i wyruszał wraz z nimi na wyprawę na dawne morza

Panow Wysp. W tym snie byly trzy takie watki: polowanie na ptaki, morska wyprawa i, na koncu, podroz do Wiezy Kiln-nam-u. W kazdym z nich tkwi jakies niebezpieczenstwo, jesli sen nie potoczy sie tak, jak powinien. Czuje jakis nacisk i nie rozumiem go... - Mowila wolno, lekko marszczac czolo. - Wiesz o tym, ze jestes teraz kims zupełnie innym.

Nazywasz sie Gurret i jestes Wojownikiem Prawych.

Burr nachmurzyl sie.

-Ile z tego... - zaczal.

-Fantazjotwornicy stwarza jakas forme rzeczywistosci - wtracila sie, zanim zdazyl dokonczyc pytanie. - Ty stales sie czescia tego swiata, starozytnego swiata Altara IV, no moze niezupełnie, poniewaz twornicy snow dodala mu wlasne rysy. Ja jestem Kaitilih, Bojownica Lewych. Zgodnie z tradycja, powinniśmy byc wrogami. Wyglada jednak na to, ze i tu wtracila sie Uahach. Wedlug jej planu, wyruszemy razem na wyprawe, podczas ktorej - jak to w legendach bywa - musimy zdobyc jakies przedmioty. Kiedy juz to osiagniemy, mamy wrocic do Trzech Wiez i tam... - Usmiechnela sie lekko. - Z mysli fantazjotwornicy wnioskuje, ze nagroda, ktora nam przypadnie, bedzie wspaniala.

Oczywiscie, choc w przebiegu tego snu kryly sie najrozmaitsze niebezpieczenstwa, Osdeve nigdy nie byl powaznie zagrozony, lecz tylko na tyle, by zaspokoic jego potrzebe przygod.

Teraz jednak, po tamtych zmianach, nie potrafie przewidziec, co naprawde kryje sie za zaslona snu.

-Jezeli jestesmy wojownikami - zapytal Burr - to dlaczego nie mamy prawdziwej broni?

-Poniewaz ta wyprawa miala byc proba. Ja nioslam dzide i sznur, ale zadnego z nich nie uzylam. Ty miales isc z golymi rekami.

-Wyrwalas nas stamtad w ostatniej chwili. Czy nie moglabys wysnic jakiegos oszalamiacza albo czegokolwiek lepszego niz to? - Potrzasnal drzewcem.

Wolno pokrecila glowa.

-Sama nie potrafie nic dodac, moze tylko korzystac z tego, co przechowuje pamiec Uahach. Wiesz, ze nie jestem zbyt wprawna fantazjotworczynia. I - odwrocila sie, by popatrzec na bezludna plaze - cos wywiera na mnie nacisk. Jest ktos, kto wtraca sie i wprowadza zmiany tak sprytnie, ze nie moze natrafic na ich zrodlo. Dlatego odwrocily sie role podczas polowania na wzgorzach. Mysle, ze wktotce nastapia kolejne zmiany.

-No, znakomicie! - warknal Burr. - Najlepiej bedzie, jesli przeczekamy tu, az bedziesz mogla sprobowac przerwac sen.

-Nie mozemy zatrzymac biegu akcji - odparla dziewczyna - musimy odegrac swoje role az do konca watku.

Burr wiedzial, ze mowila z pelnym przekonaniem. A zatem role we snie zostaly odwrocone. Moze powinni je po prostu przyjac?

-Zostaly jeszcze dwie przygody. Jakie?

-Ty masz zapalic stos sygnalizacyjny na brzegu. - Kaitilih, jak sama siebie nazwala, wskazala na wyrzucone przez morze

drewno o barwie kości, uwieszone pomiędzy nadmorskimi skalami. - To powinno się stać o zmroku. Wtedy przybędzie tu łódź z korsarskiego statku, zwanego "Erne". Ty, a raczej Gurret, skontaktowałeś się już z jego kapitanem, przyrzekając mu bogate łupy z Morskiej Wieży na Wschodnim Vur.

Jedynego, czego stamtąd pragniesz, to Puchar Krwi Śmiertelnej, trzymany tam w ukryciu.

Wyprawa okaże się niezwykle ryzykowna, ale "Erne" będzie miał sporo szczęścia i wyjdzie cało z tarapatów. Posiadając Puchar, będziesz mógł rozpocząć targ z gospodarzem Kilnnam-u...

Burr rozesmiał się szorstko.

-To brzmi jak bajka dla dzieci! Chcesz mi powiedzieć, że Osdeve pragnął przeżyć właśnie te niesamowite bzdury?

-To nie bajka, lecz legenda i tkwi w niej ziarno prawdy - poprawiła go dziewczyna. - Przeprowadzono wiele badań legendarnych wątków i szczegółów zawartych w tych opowieściach. Są po części historia. Gurret istniał rzeczywiście i był pierwszym Najwyższym Wojownikiem tej połowy świata. Zdobył swoją pozycję właśnie dzięki takiej wyprawie.

Fantazjotwórczynie z dużym sprytem przywracają przeszłość nie tylko własnego świata, ale i każdej planety, której historii mogą obejrzeć na tasmach.

-Ale... jeżeli to jest właśnie... historia, to jak można ją zmienić? Domyslam się, że ja nie miałem uciekać przed tymi kwakerami, tak jak to się stało.



-To prawda. Miales złapac dwa z nich, a później uwolnić je w okolicy gniazda.

Tam, w ruinach, znalazłbys bardzo stary, metalowy cylinder, a w nim mapę Vur...

-To bez sensu! - przerwał Burr. - Nie wierze, że dorosły człowiek mógł traktować coś takiego poważnie... nawet jeśli miałyby to być historia!

-Zapewniam cię, że Osdeve traktował to poważnie. Był człowiekiem; który niemal stracił władzę nad swoim ciałem i pragnął tych przygod, jak ktoś uzależniony od narkotyku tęskni do "prochów", które pozwolą mu przenieść się na chwilę w inny świat. To był jego ostatni sen przed śmiercią, najstaranniej przygotowany i najbardziej skomplikowany z tych, jakie Uahach kiedykolwiek stworzyła. Wiedziała przecież, że koniec był już bliski.

-Wydawało mi się, że ludziom słabego zdrowia nie wolno snić - zauważył Burr.

-Przybyszom. Nie dotyczy to mieszkańców Ty-Kry. Niektórzy z nich nawet decydują się na śmierć we śnie.

-Ale... Myślałem, że to niemożliwe. Przecież jesteśmy tu właśnie z powodu śmierci ludzi we śnie.

-To zupełnie coś innego. Tu ofiarami byli przybysze z innego świata, ludzie cieszący się dobrym zdrowiem, nie pragnący pożegnać się z życiem. Śny, które wybrali, wcale nie były niebezpieczne.

Burr pokiwał głową.

-Ale człowiek może zasnąć na śmierć?

-Jeśli taka jest jego wola i zostanie ona zarejestrowana. Musi też wyrazić na to zgodę Rada, a także głowa rodu. Pozwolenia tego rodzaju nie dotyczą przybyszów spoza Ty-Kry.

-W porządku. - Burr nie wątpił, że dziewczyna została dobrze wykształcona w sennym przedsiębiorstwie. - Jednak ten sen już został zmieniony. Nie zdobyłem mapy, czy co tam jeszcze Gurrett miał zdobyć. Co się stanie, jeśli nie zbuduje stosu i korsarze nie przybędą? Czy sen zostanie przerwany?

-Nie wiem. Może zostaniesz zmuszony do następnego kroku. Burr osunął się na piasek.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, umieszczając dźwidze na kolanach.

-W to już nie wierze.

Usiadła nieco dalej i zsunawszy kaptur, wystawiła głowę na powiew morskiej bryzy, która plątała jej długie włosy.

-No, dobrze. Sprawdźmy siłę tego, z czym walczymy - odpowiedziała spokojnie.

Po chwili zapytał:

-Wciąż nie możesz się obudzić?

-Nie. Ale tonie wszystko - zawahała się, jakby nie była pewna,

czy powinna mu to powiedzieć - przestałam panować nad snem.

-Co to znaczy?

-Dokładnie to, co mówię. Przedtem wiedziałam, co nas czeka. Teraz - podniosła garść piasku i przesypywała go przez palce - nie mogę być już pewna przyszłości.

Wszystko się... zamglilo... inaczej nie potrafię tego określić. Tak, jakby na jeden obraz nałożył się drugi i teraz oba zmagają się, który ma zwyciężyć.

-Ktoś jeszcze śni nasz sen? - zapytał Burr.

-Nie jestem pewna. Wiem tylko, że mój sen został przykryty przez jakiś inny i...

Zniknęła. Burr wlepił wzrok w miejsce na piasku, na którym siedziała. Widział tam jeszcze lekkie wgłębienie. Jednak Uahach czy Kaitilih (kimkolwiek była) zniknęła wprost spod jego badawczego spojrzenia! Podniósł się, nie odrywając wzroku od tego miejsca i delikatnie dotknął dzida nieznacznego śladu na piasku. Nikogo... niczego tam nie było!

Nie przypuszczał, by zrobiła to z własnej woli. Ten nowy wzor, który wyczuwała we śnie Osdeve'a... czyżby był na tyle silny, by ją wymazać i pozostawić go tu samego?

Ocaliła go przed kwakerami. Może nie miał już ujsc z życiem z kolejnej próby dawnej legendy? Mówiła, że powinien wzniecić ogień, aby sprowadzić statek. Postanowił zatem odejść stąd natychmiast! Wprawdzie nie mógł zniknąć jak Uahach, ale mógł

opuszcic ten zdradziecki brzeg i ruszyc w glab ladu; dac sobie czas, aby znalezc jakis sposob pokonania tej nieznanej fantazjotwórczyni, skoro nie mial zadnej nadziei, ze na jego chec obudzenia sie odpowie mu ktos... chyba, ze odmownie.

## VI

Burr odwrocil sie gwałtownie od morza. Zobaczył przed sobą lad zarosniety niskimi, lecz gestymi zagajnikami czegos, co moglo byc wysokimi krzewami albo skarłalymi drzewami. Geste, ciemne liscie zmienialy kazde skupisko w jednolita plame. Bylo cos złowroznego w tym krajobrazie. Pagorki wydawaly mu sie obce i niesamowite, ale ta okolica sprawiala wrazenie przerażajacej, choc nie potrafil powiedziec dlaczego. W dodatku musial przemoc rosnaca w nim chec, by nie kierowac sie w strone ladu. Moze to wzor nowego snu probowal sklonic go, by wrocil, rozpalil ogien i - jak planowal to pierwszy sen - ruszyl do Vur. Burr wahal sie, nie mogac podjac decyzji. Rosla tu ta sama gesta trawa, ktora pokrywala zbocza wzgorz, a jej dlugie, ostre zdzbla oplatywaly mu nogi, niemal wytracajac go z rownowagi, jakby staraly sie utrudnic mu wedrowke. Nie wiedzial wiele, choc byl swiadomy, ze idzie wbrew nakazowi, ktory pragnie go pokonac i przez chwile mial nadzieje, ze tak sie stanie.

Ogarnely go złe przeczucia. Spodziewal sie, ze za moment cos straszliwego wypelznie lub wyskoczy sposcrod ciemnych drzew i go zaatakuje.

Z trudem lapiac oddech Uahach-Kaitilih-Ludia (ktora z nich byla naprawde?), osunela sie na jakies oparcie, ktorego nawet nie widziala, ale czula pod plecami, i starala sie odzyskac swiadomosc. Nie byla juz nad morzem. Nie wrocila takze na swa

lezanke w Roju.

Nie, znalazła się z powrotem na wzgórzu, z którego rozpoczynał się sen. Widziała za sobą mężczyznę skulonego pod głazem, kwakery gotowe do sięgnięcia po swą zdobycz. Jej ręka powędrowała już do pasa, aby uwolnić linę. Tylko... coś się nie zgadzało! Nie mogła uporządkować myśli. Musi ocalić tego człowieka. Obraz, jaki miała przed oczyma, zamigotał.

Pozbawiony był on tej glebi rzeczywistości, jaką posiadał za pierwszym razem.

Opanowała wole i jej umysł wreszcie odzyskał trzeźwość. Nie działać instynktownie... To nie był jej sen, tylko ten drugi. Mężczyzna, którego widzi, nie jest jej towarzyszem, ale senna symulacja. Kwaker skoczył, uderzył dziobem, przebił pierś mężczyzny, który bezskutecznie próbował się bronić.

Usłyszała jego jęk i triumfalne skrzeczenie ptaszyska. Jednak ona toczyła własną bitwę, o to, by zniszczyć ten fałszywy sen. Cały obraz zafalował, a potem rozdarł się, jak sparciała tkanina, od góry do dołu. Przez ułamek sekundy widziała przed sobą cień dalekiego, realnego świata, który musiał znajdować się gdzieś na bardzo odległym planie. Zobaczyła twarz wroga, nie mogła jej jednak zidentyfikować, ani nawet rozpoznać miejsca, w którym się znajdowała.

Umierający człowiek i kwaker zniknęli, góra rozplynęła się we mgle, która owinięła ją tak ciasno, że oddychała coraz szybciej i szybciej, z trudem łapiąc haustami powietrze.

Wydawało się jej, że została uwieziona w przeogromnym

plaszczu z pary. Jeśli nie będzie walczyła... nie przywoła swoich wrodzonych zdolności Esperki oraz tych umiejętności, których nauczyła się od Uahach, ujrzy przed sobą widmo śmierci.

To był sen, iluzja. Ten, kto tworzy sen, nie może zostać bezwzględnie zaplątany w cudzą fantazję. Dlatego nie może zginąć, dopóki nie wierzy w te wizje. Zmusiła się do kilku głębokich oddechów i powoli przewycięzała obraz, jaki stał przed jej oczami.

Nie była uwikłana w sen tamtej, stanowiła część tego, który zrodził się w jej własnych myślach! To jedyna prawda! Mgła odpływała. Poczula radość, którą jednak szybko w sobie stłumiła. To zdarzenie nie wynikało z jej wiedzy, wygrała dzięki Uahach, zaczerpnęła je z tego, czego nie zarejestrowała żadna tasma. Wiedziała teraz, że bez względu na wysiłki swojej przeciwniczki, halucynacja nie może nad nią zapanować, jeżeli ona zna naturę tego widzenia. To była jej broń, ale co z Burrem? Rozdzielono ich celowo, ona zaś wiedziała, że mimo całej jego siły woli, tamta zdoła go opanować. Nie miał talentów Espera, bo inaczej nie zostałby wybrany; brakowało mu więc nawet tej broni. Pozostała im tylko jedna szansa, ale musiała go odnaleźć.

Tylko razem mogli wyjść z przygody bez szwanku.

Mgła odpływała, jednak nie ustąpiła na tyle, by mogła zobaczyć, gdzie się znalazła.

Pozostawała tylko pewność, że jej natychmiastowa obrona, to, że nie dała się schwytać na wzgorzu, zniszczyły wzór stworzony przez tamtą. Burra mogła znaleźć w jeden tylko sposób - koncentrując wolę. Byli na plaży... Zamknęła oczy i skupiła się na

obrazie wyrzeza, tak jak wtedy, gdy tak predko wyrwala ich z jednego miejsca przemienionego snu i przeniosla w drugie. Odwracajac uwage od wszelkich obrazow, od kryjacego sie w niej leku, wyobrazila sobie plaze, dokladnie tak samo, jak widziala jaw ostatniej chwili i z calej sily zapragnela tam sie znalezc. Poczula lekkosc i ostry bol. Rozejrzala sie wokol. Tak, piasek, wezbrane fale odpływu, skaly... Plaza wygladala dokladnie tak samo. Burra jednak nie bylo.

Spodziewala sie, ze zobaczy go wznoszacego stos. Byla pewna, ze ta druga fantazjotwornicy wciaz probuje poruszac sie w granicach snu Osdeve. Jego jednak tu nie bylo. Spojrzala w strone ladu. To nie byla mila okolica. Zmrozil ja widok niskich drzewek, dziwacznie prezentujacych sie na tle jasnieszej trawy. Wygladaly tak, jakby na zyczenie mogly zmieniac swa nature i przyjmowac inne, przerazajace ksztalty. Nigdzie... Czula jednak... Co wlasciwie czula?

Jakies nieznaczne przyciaganie, jakby lina, lekka jak nic, wychodzila z jej ciala i przywiazywala ja do jakiegos niewidocznego przedmiotu, tkwiacego gdzies posrod zdradzieckich drzew. To musial byc Burr, ktory sam zdolal podjac walke ze snem i wyruszył dokladnie w przeciwnym kierunku niz ten, ktory zostal mu zasugerowany.

Zaskoczyla ja jego moc. Byla przeciez przekonana, ze sen o takiej sile, ktora przeniosla ja stad do poczatku przygod, bez trudu nakloni Burra do podjecia nowego wzoru. Bylo to oczywiste, chocby z tego powodu, ze odgrywal w tym snie role klienta, sklonnego do zaakceptowania dawnego wzoru. Moze pomogla mu jej walka, ktora odciagnela od niego spora czesc woli owej nieznanej dziewczyny? Dzieki temu mogl zmienic

kierunek. Tak czy owak, koniecznie musza sie odnalezc. Tworczyni snow i jej klient byli polaczeni nierozzerwalnym wezlem i mogli rozpoczac lub zakonczyc sen razem albo wcale. Przede wszystkim powinna teraz odpowiedziec na to nikle przyciaganie. Smialo wiec ruszyla w glab ladu.

Niebo ciemnialo. Wiedziala, ze nadchodzi noc. W prawdziwym snie spedzili te noc na pokladzie "Erne". Ten sen byl jednak nowy, a w ciemnosci mogly czacic sie najrozmaitsze niebezpieczenstwa, grozne dla nocnego wedrowcy. Zerwal sie zimny wiatr, dziewczyna szczelniej owinela sie plaszczem i szla dalej, z nadzieja, ze przeczucie jej nie zwodzi. Sciemnialo sie. Burr ominal rozproszone zagajniki, nadkladajac drogi tak, by nie natknac sie nawet na ich dlugie cienie. Byl ogromnie zmeczony, nie samym marszem, ale nieustanna walka z wlasnym pragnieniem, by powrocic nad morze i rozpalic tam ogien. To uczucie ogarnialo go teraz silnymi falami, ktore byly jeszcze bardziej niepokojace niz wczesniejszy, staly nacisk, naplywaly bowiem z przerwami, jakby chcialy go przekonac, ze juz je zwalczyl, a potem powracaly naglym, jeszcze ostrzejszym szarpnieniem. Jego przeciwnik byl niezmordowany i Burr zaczal zastanawiac sie, ile to jeszcze potrwa, zanim powroci nad morze, wzniesie stos z drewna, podpali go i sprowadzi na siebie jakies nieszczescie, ktore - byl tego pewny - czekalo na niego w odmienionym snie. Kwakery niemal go zabily, pomyslal zatem, ze rownie dobrze moze spodziewac sie nie przyjaznych Morskich Wedrowcow, ale ludzi uzbrojonych w zelazo i palajacych checia pozbawienia go zycia. Na razie wciaz jeszcze i mimo wszystko trzymal sie na nogach. Potem uniosl glowe i dokladnie przyjrzel sie zagajnikowi po lewej stronie. Jego zarys troche sie zmienil... Cos ogromnie go zaniepokoil.



## VII

Jakas postac, dotad niewidoczna na tle krzewow i skarłalych drzew, nagle wylonila sie z cienia. Rozmiarami przewyzzszala czlowieka, ale otoczenie zagajnika bylo tak mylace, ze Burr nie wiedzial, czy stoi przed nim jakas ogromna bestia, czy jakas przecietna istota. W szybko zapadajacym mroku widac bylo tylko majaczacy ksztalt. Dziwilo go jednak to, ze kiedy sie zblizal, postac zdawala sie kurczyc, tak ze po jakims czasie wydawala sie nie wieksza niz on sam. Burr mocno zacisnal dlon na wloczni. Ta rzecz, ktora stanela mu na drodze, nie poruszyla sie. On jednak nie mial watpliwosci, ze zeslaly ja wrogie moce. Przynajmniej nie byl to kwaker. Nie mial jednak odwagi zgadywac, co go moze teraz spotkac. Nieraz juz ryzykowal, ale to, co przezywal tym razem, nie przypominalo zadnej z wczesniejszych przygod. Tamte rozgrywaly sie w realnym swiecie, a on potrafil z grubsza ocenic zagrozenie.

Ta kraina stworzona zostala przez wole i imaginacje... czyja wole i imaginacje?

Sama pseudo-Uahach zapewnila go, ze nie tylko przez nalezaca do niej.

Teraz jednak nie probowal uniknac spotkania z tym, co stanelo mu na drodze.

Lepiej bylo spojrzec niebezpieczenstwu prosto w twarz, niz wypelniac je wytworami niespokojnego umyslu. Postac poruszyla sie nagle, strzasajac z ramion czarne faldy plaszcza.

Bylo jeszcze na tyle jasno, ze wyraznie dojrzal rysy twarzy.

Wrocila! Juz zamierzal wykrzyczec slowa powitania, kiedy raptownie zwolnil. Choc widzial przed soba te sama twarz, glowe unoszona tym samym ruchem, to jednak...

Dziewczyna wysunela reke i przyjaznie pomachala. Burr przypomniał sobie, gdzie jest.

Zmienił się tylko ten dziwny nacisk, z którym walczył od momentu opuszczenia plazy. Teraz ogarnelo go nieodparte pragnienie, by podejsc do Uahach. Wlasnie ta zmiana nieznaney woli stanowila dla niego ostrzezenie.

-Chodz - wypowiedziala to samo slowo, jakim przywitala go po raz pierwszy.

Jeszcze raz skinela dlonia i zmarszczyla brwi, co moglo oznaczac zniecierpliwienie.

Wbil ostrze dzidy w ziemie i zacisnal obie dlonie na drzewcu, jakby musial sie na czyms oprzec.

-Kim jestes? - spytal.

-Jestem Kaitilih. - Tembr glosu byl ten sam, niczym nie roznil sie od tego, jaki pamietal z ich rozmowy na plazy. Niepokoilo go tylko to silne pragnienie, a w tej krainie nie lekcewazyl zadnego ostrzezenia, nawet najbardziej blahego.

-Nie jestes nia!

-Jestem Kaitilih... chodz - odezwała się, jakby nie slyszala jego slow. - Zapada noc, a tu grasuje cos, co nam zagraza. Musimy znalezc jakies schronienie. Chodz! - Jej rozkaz zostal

wzmocniony nagłym przyplywem woli, tak silnym, że bliski był ustapienia i - wbrew sobie - niemal dał się ponieść w przód.

-Nie jesteś nią - powtórzył. Co jednak się stanie, jeśli nią jest w istocie?

Burr nie był niczego pewny, polegał tylko na wskazaniach siły, której nagle zwroty traktował jak wskazówkę.

-Jestem Kaitilih! - Podniosła obie ręce, aby zdjąć kaptur. - Popatrz na mnie, ty głupcze!

Burr uspokoił się. Popelniła błąd. Na krótką chwilę ukazała swoje prawdziwe oblicze, mimo tej sennej maskarady. To nie była dziewczyna z plaży.

-Nie jesteś Kaitilih - powiedział pewnie.

Popatrzyła na niego, a potem zareagowała tak szybko, że niemal go zaskoczyła.

Podniosła prawą rękę i rzuciła czymś w jego kierunku. Zauważył tylko błysk światła, ale ten wysniony świat nie pozbawił go znakomitego refleksu. Upadł na ziemię, przekulnął się i znowu wstał błyskawicznym, wytrenowanym, płynnym ruchem mistrza walki wrecz. Coś uderzyło w ziemię za jego plecami i wznieciło płomień. Burr skoczył, jednak nie ku niej, ale po to, by uniknąć kolejnego pocisku, gdyż jej ręka uniosła się po raz drugi. Tym razem plonący przedmiot musnął go w locie. Wtedy jej twarz zmieniła się w obrzydliwą maskę, splunęła w jego stronę. Faldy płaszcza zawirowały, jakby materia ożyła albo poddała się jej woli.

Okrycie owinelo ja szczelnie, zmieniajac w ciemna kolumne, ktora zaczela szybko zanurzac sie w ziemi. Trawa obok Burra ulegla zwegleniu, a wsrod czerni tlily sie czerwone iskierki.

Cierpki odor wypelnil wieczorne powietrze. Wygladalo na to, ze zostal sam wsrod drzew.

-Gurret?

Odwrocil sie z dzida przy gotowana do obrony. Zblizal sie do niego kolejny cien.

-Gurret. - W glosie brzmiala ulga. Nie oszuka go jednak. Czy sadzi, ze moze po raz drugi zagrac te sama sztuke? Burr widzial wyraznie jej twarz. Nawet w ciemnosciach jej rysy promieniowaly oswietlajacym blaskiem. Przygotowal sie do odparcia kolejnego ataku.

-To nie ma sensu - powiedzial - ty nie jestes Kaitilih.

-Nie - zgodzila sie - jestem ta, ktora sni.

Burr przygladal sie jej ostroznie. Rzeczywiscie, widzial jakas nieuchwytna roznicke (ktorej nie potrafil nazwac nawet w myslach) pomiedzy ta dziewczyna, a tamta, ktora zniknela w ziemi otwartej pod jej stopami.

-Jesli jestes... fantazjotworczynia, udowodnij mi to.

-W jaki sposob?

-Powiedz... dokad poszlas... i dlaczego? Nie probowala zblizyc sie do niego.

-Gdzie bylam? Wrocilam do poczatku naszego snu. Dlaczego? Tego nie wiem, wiem tylko, ze ta, która chce zaklocic nasza wyprawe, starala sie, bym uwierzyla w to, ze nie zyjesz.

-Co niemal stalo sie prawda. O ile oczywiscie mozna zabic czlowieka wysniona bronia.

-Dotknal ostrzem dzidy zweglonej trawy. Zagrozenie, które odczuwal, kiedy stal twarza w twarz z tamta, zniklo. - W jaki sposob wrocilas?

-Sila woli. - Uahach byla pewna tego, co mowi. - Ale nie byla to zwykla ucieczka.

Burr potrzasnal glowa.

-Sny i cienie... jak mam z nimi walczyć? Twój sobowtor miał przynajmniej jakas bron.

-Znowu rozgarnal spalona trawe. Potem opowiedzial jej o dziewczynie, która przybrala jej postac.

-To ta druga fantazjotwórczyni - odparla Uahach. - Nie poddales sie wzorowi snu i teraz... - gleboko wciagnela powietrze - teraz bedzie musiala zastapic zniszczony wzor własnym watkiem.

-Wiec nie wiemy, czego mozemy sie spodziewac? - Wylowil sens jej niepokoju.

-Chyba nie. Pozostala nam tylko jedna rzecz, której mozemy sprobowac... udac sie jak najblizej konca snu, przyspieszyc jego final. Zanim zbierze sily i stworzy sen, nad którym w pelni zapanuje, moze zdolamy wyrwac sie stad.

-Potrafisz to zrobic?

-Nie wiem. Ale nie udalo jej sie zamknac mnie w swojej iluzji, kiedy przeniosla mnie z powrotem na wzgorza. Moze, jesli razem zapagniemy sie obudzic, nie zdola powstrzymac nas obojga? Utrzymanie watku nie jest takie latwe, choc nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyl sie przypadek, by klient samodzielnie zmienil przebieg snu. Ja snie dla ciebie i dlatego jestesmy scisle polaczeni... jesli spróbujemy razem, możemy być dla niej zbyt silni...

-Myslisz, ze możemy... ruszyc? - dopytywał się Burr.

-Spróbujemy. - Wyczuł w jej głosie ton wahania.

-Co wybrałaś?

-Wieze Kiln-nam-u.

Wyciągnęła rękę, dokładnie tak jak tamta. Identyfikacja tego gestu była tak uderzająca, że przez ułamek sekundy zawahał się... Bał się, że spróbowano oszukać go po raz drugi. Nie czuł jednak tamtego nacisku, wybierał sam. Podszedł dwa kroki ku niej i poczuł ucisk jej dłoni. Była chłodna, a dotykając jej ciała, poczuł jak bardzo jest spięta, jak mocno stara się skoncentrować.

-Myśl - odezwiała się ostro - o wieży nad morzem, nad tym samym morzem, które już widziałeś... myśl o niej!

Nie znał sztuczek i nie miał zdolności umysłu Esperów, ale jeśli mogłoby to pomóc, pomyśli o wieży. Wyobraził ją sobie na tyle, na ile potrafił... starożytna budowla, pasująca wyglądem do ruin,

które widział ze wzgórza. Burr zamknął oczy, aby lepiej zobaczyć obraz zbudowany przez swoją imaginację i przestał odczuwać dotyk jej dłoni. Czuł tylko w sobie coś, co tliło się z wielką, niemal niszczącą siłą. Miał wrażenie, jakby w połączenie ich rak uderzyła jakaś ogromna moc.

## VIII

Stała przed nimi wieża, Uahach zdołała zatem przenieść ich do końca snu. Burr spojrzał na wysoki gmach. Przez dłuższą chwilę obraz zrodzony w jego wyobraźni nakładał się na rzeczywisty, niczym zamglona wizja. Później rozplynął się i zobaczył przed sobą miejsce zrodzone we śnie. Wieża była tak usytuowana, że wznoszące się ściany klifu osłaniały dwie ściany budowli od strony morza, tworzyły one zaciszny zaułek, chroniąc starożytną budowlę tak, że nawet czas nie mógł jej zniszczyć. Wieże tę otaczała atmosfera wiekowosci tak wyczuwalna, że niemal kładła się na niej widocznym cieniem. Az do wysokości mniej więcej dwóch pieter w skale nie było żadnych szczelin, żadnych otworów. Powyżej znajdowały się trójkątne okna, ułożone w kształcie diademu, ziejące całkowitym mrokiem; nie docierał bowiem do nich żaden promień słońca. Zaszła jeszcze jedna zaskakująca zmiana. Dzięki podróży, w którą wyruszyli, zjednoczywszy swoją wolę, noc pozostała za nimi. Teraz zbliżało się południe.

Wieża była zbudowana z ciemnoczerwonego, matowego kamienia, a otaczające ją skały klifu były jasnobrazowe. Surowo ociosana powierzchnia skalnych bloków była wysadzana drobnymi kryształkami, które lśniły w słońcu tak, że wieża wyglądała jak zdobiona drogocennymi klejnotami.

-Kiln-nam-u. - Uahach puscila jego dlon. - Na razie dobrze nam idzie.

-Co mial tu robic Osdeve? - dopytywal sie Burr.

-Mial skropic te skale - dziewczyna wskazala na jeden z kamiennych blokow w podstawie wiezy, siegajacy niemal ramienia Burra - woda z Pucharu Krwi. Wtedy powinno pojawic sie cos, co tutaj mieszka, i od tego... mial wytargowac Rozdzke Ara... symbol wladzy.

-Skoro nie mamy Pucharu - zauwazyl Burr - moze moglibysmy po prostu przerwac sen?

Nie odpowiadala, odwrocil wiec wzrok od wiezy i spojrzal na nia. Miala skupiona twarz i nie patrzyla ani na niego, ani na wieze, raczej gdzies w przestrzen, jakby przenikala wzrokiem wszystko, co ich otaczalo.

-Nie... nie... moge... - wyszeptala chrapliwie, ciezko dyszac, jakby wracala z dalekiego, meczacego lotu.

-Jesli dotarlismy niemal do konca snu... i nie mozemy sie obudzic, to co teraz nastapi?

-Prawdopodobnie bedziemy zaraz zmuszeni do przyjecia jej snu - wyznala z gorzka szczeroscia.

Burr przyznal jej racje. No tak, skoro nie moga opuscic snu (wymyslonego przez Osdeve'a), to cos jeszcze musi sie zdarzyc...

-Wiesz wszystko to, co wiedziala Uahach, tak zostalas



zaprogramowana - ciagnal - czy wczesniej zdarzylo sie juz cos podobnego?

Odwrocila lekko glowe i spojrzala mu prosto w oczy.

-O ile wiem, to jest o ile wie Uahach, takie przeniesienie nie jest znane. A ona jest fantazjotwórczynia z dziesięcioma punktami... Roj nie zna lepszych według tej skali...

-A jednak musi istnieć przynajmniej jeszcze jedna, bo inaczej nie znaleźlibyśmy się w potrzasku. Czy jest jakiś sposób, abyś zlokalizowała źródło tych zmian?

Z jej twarzy zniknął wyraz lekkiego oszłomienia. Zastąpiło go zamyslenie, jednak nie tak nieobecne, jak przed chwilą.

-Mogę spróbować. Oni... ona... zechce dosięgnąć nas tutaj przedziej czy później. Sen musi się skończyć, bo inaczej medyk w Roju zorientuje się, że coś się stało.

Oni... Matka Foost, o ile jest w to zamieszana, nie osmiela się przeszkodzić jego interwencji. Z pewnością leżymy tam prawidłowo uspieni. Jednak czas naszego snu jest odmierzany i dlatego ta, która chce stworzyć nowy wątek, musi działać szybko. Opuszciliśmy przygody Osdeve'a w samym środku, znaleźliśmy się tuż przy końcu. Nie mogę zrobić nic więcej, tylko czekać na następny ruch, a ten należy do niej.

Burrowi nie podobało się to. Cierpliwość była narzędziem, którym posługiwał się dość często w różnych akcjach. Rozgrywały się one jednak w realnym świecie, gdzie przyszłość dawała się przewidywać. Wiedział, co oznacza oczekiwanie na atak, ale

dotad walczył zawsze z przeciwnikiem, ktorego rozumiał. Niejasność tej rozgrywki, na która miał teraz czekać, drażniła go.

-Czy możemy się jakos przygotować do obrony? - pytał dalej.

Nie odpowiedziała mu, podniosła tylko dłonie w geście ostrzeżenia. W sekunde później zachwiał się pod ciosem, który nie był fizycznym uderzeniem, choc odczuł go tak, jakby jakas gigantyczna piasec opadła pomiędzy jego łopatk, odrzucając go ku wieży. Uahach uniosła ręce do głowy i krzyknęła z bólu. Burr ciągle odczuwał napor tej sily, pchającej go ku kamiennym blokom. On jednak miał już swoje sposoby - wbił wlocznie w ziemie i trzymał się jej. Jego ciało kolysało się do przodu i do tyłu pod niewidzialnymi ciosami, ale trzymał się mocno, zaciskając zęby.

Jego towarzyszka upadła na kolana, rękami wciąż zatykała uszy, z kącików oczu płynęły jej łzy. Jeczala, a odgłos ten odbijał się od otaczających ich skal. Doskonale wiedział, że tak jak i on, zmaga się z naciskiem niemal niemożliwym do zniesienia. Wieża znajdująca się przed oczyma Burra zachwiała się. A może poruszył się kamień, który wcześniej wskazała Uahach? To, co starało się nad nim zapanować, chciało teraz wrzucić go do otwierającej się ciemnej szczeliny. Jeśli była to brama, to jej obrys, bardzo nierówny, zachowywał naturalną linię kamienia. Burr stał w miejscu. Nie miał zamiaru posłuchać tego rozkazu.

Uahach mówiła, że dotarli do końca właściwego snu, nie pozwoli, aby narzucono mu kolejny porządek. Przywołał na pomoc całą swoją sile woli, cały swój upor. Postanowił uczynić z nich bron w tej walce.

Dziewczyna podnosiła się powoli. Jej mokra od leż twarz miała ten sam co jego (choć podobieństwa nie dostrzegali) wyraz determinacji. Brama o nieregularnym wykroju była już całkowicie otwarta. Uahach mówiła, że we właściwym śnie coś - jak to nazywała - wychodziło stąd, aby targować się z panem Osdeve. Coż, Burr nie miał tajemniczego Pucharu Krwi, na którym temu zależało. Poza tym, popychająca go siła zadawała, by wszedł do środka, a nie czekał tutaj. Podobnie jak przez okna na gorze, słońce nie docierało przez bramy do wnętrza wieży, było więc ono całkowicie niewidoczne. Ciemność za progiem wydawała się niemal dotykalna i nie przepuszczająca światła. Czy to coś wyjdzie teraz? I jak zareaguje na fakt, że Burr nie zdobył przedmiotu, którym posługiwał się Osdeve? Znowu postąpił krok do przodu, na skutek wyjątkowego impetu kolejnego uderzenia. To coś pragnęło, aby wszedł do środka. I właśnie dlatego nie pojedzie! Po raz pierwszy podczas tych zmagania odezwała się Uahach:

-Musisz być jej bardzo trudno walczyć z nami dwojgiem. -  
Odzyskała panowanie nad sobą, a wraz z tym powróciła jej stanowczość. - Kiedy podniosę rękę, postaraj się cofnąć...  
postaraj się ze wszystkich sił!

Znowu wpatrywała się czujnym wzrokiem w wieżę. Po chwili uniosła dłoń, a Burr rzucił się do tyłu, wkładając w ten ruch całą posiadaną siłę woli. Wieży puściły. Burr upadł na ziemię z siłą, która niemal go ogluszyła, potem potoczył się do przodu. Dziewczyna stała wyprostowana, jak opoka pomiędzy nim a otworem, który musiał być pułapka. Poczuli ulgę i ogarnęła go słabość.

Nagle Uahach zachwiała się. Znowu upadła na kolana, jakby

przytłoczona jakimś mściwym ciężarem. Burr nie zdążył nawet pomyśleć, rzucił wlocznie, zerwał się i jednym skokiem znalazł się przy niej. Objął ją mocno i pewnie w momencie, gdy zaczęła osuwać się bezwładnie na ziemię.

## IX

Powietrze wokół nich wypełniała gniewna, złowieszcza wściekłość. Burr nie potrafił powiedzieć, skąd czerpie pewność istnienia tego bezcielesnego uczucia, wiedział tylko, że na pewno się nie myli. Ten ponury gniew dawał mu także odrobinę poczucia pewności siebie. Tamta nie spodziewała się takiego oporu ze strony ich dwojga, toteż została pokonana - na chwilę. Tego także był pewien. Demonstracja nieznanego woli skończyła się nagle, przepadł także jej gniew. Ułach wciągnęła głęboko powietrze.

-Odeszła - powiedziała zdartym, wyczerpanym głosem.

-Czy znowu będzie próbować? - spytał Burr.

-Kto wie? W każdym razie ma dość siły, by trzymać nas tutaj.

-Jestes tego pewna?

-Sądzisz, że nie sprawdziłam? Tak, jesteśmy uwięzieni w śnie Osdeve'a. Nie umiem przewidzieć, jaki nowy sen dla nas stworzy.

Burr popatrzył na nieregularną bramę w murach wieży. Miał nadzieję, że teraz, kiedy nacisk przestał działać, zamknie się i ona. Pozostała jednak otwarta, a zło czaiło się w jej

nieprzeniknionej ciemności. Zapragnął tam podejść i wbijać głęboko w mrok ostrze dzidy. Coś w jego wnętrzu wzdrygnęło się jednak na myśl o zbliżeniu się do tej tajemniczej twierdzy.

-Czy istnieje jakiś sposób na to - próbował dalej szukać wszelkich możliwości ucieczki albo obrony - abyś rozwijała ten sen dalej, rozpoczynając od końca snu Osdeve'a?

Potrzaskała głową.

-Nie jestem prawdziwą fantazjotwórczynią. Jako Esperka mogłam przejąć doświadczenia Uahach i wykorzystać je. Twórczynie snów z Ty-Kry mają wrodzone talenty, doskonałe od chwili, gdy tylko zostaną odkryte. Wiele z nich żyje tylko swoimi snami. Ja wiem jedynie to, co zdobyłam, przejmując przeszłe doświadczenia Uahach.

-A zatem nie mamy wyjścia. - Jednak Burr nigdy się nie poddawał. Nie będzie tu pokornie czekał na kolejne, nieznane zagrożenie.

-Nie wiem... - Początkowo jej słowa nie przedarły się przez gmatwaninę jego myśli.

Kiedy jednak pojął ich znaczenie, zapytał z wyrzutem:

-Może i nie wiesz, ale zastanawiasz się nad czymś... Nad czym?

-Jest chyba jeden sposób, ale na granicy ryzyka. Ona wkrótce wykona kolejny ruch, musiałeś przecież czuć jej gniew, kiedy nie udało się jej skłonić nas do tego, czego chciała.

Jeżeli pozwolimy, aby następny atak, jaki przeprowadzi, rozwiał

sie w pełni, pojawi sie wowczas szansa, ze zdolam polaczyc sie z watkami snutego przez nia wzoru. Sen musi byc jej, nie moj, nie moze to tez byc hybryda zlozona po czesci z mojej, po czesci z jej woli.

-Moze zdolasz sie z nia polaczyc... i co wtedy?

-Wtedy, jesli mocno wpasuje sie w jej watek, bedziemy mogli przerwac sen.

Fantazjotwornicze sa doskonale wyszkolone pod jednym wzgledem... musza przerwac sen na zadanie klienta. Ja nie moge tego zrobic dla ciebie, poniewaz zostalismy tu zamknieni. To sen niejako z drugiej reki, a w dodatku, nim zdazylam sprobowac, nalozyl sie na niego inny sen, tlumiacy moj wzor sila innej, poteznej fantazjotwornicy.

To, co mowila, wydalo sie Burrowi nawet sensowne. Choc nie bardzo mu sie podobalo.

-Do jakiego stopnia musi rozwiniac sie nowy sen, zanim uda ci sie to zrobic?

Nie spojrzala mu w oczy.

-Obawiam sie, ze na tyle dlugo, by sytuacja stala sie niezwykle niebezpieczna.

Bedziesz musial stawic czolo temu, co ona stworzy, i wytrwac, dopoki nie zlokalizuje sennego watku i nie bede mogla wlaczyc nas do wzoru.

Kryla sie w tym wszystkim jakas rozpaczliwa logika. Burr

rozumiał jej sugestie, choć znacznie przekraczała jego doświadczenia. Nie wątpił w to, że rezultaty tej próby były wysoce ryzykowne. A z drugiej strony wiedział, że nie ma żadnego wyboru.

-Zaczekamy więc... na jej ruch. - Nie było to pytanie, lecz postanowienie.

Pytanie zadał dopiero po chwili: - Czy domyślasz się, kim "ona" jest? Matka Foost?

-Nie. Ona kształci twórczynię, ale sama nie jest znana jako fantazjotwórczyni.

Widzisz, większość z nich jest zupełnie wyłączone z realnego życia, trzeba je prowadzić jak niemowlęta. Ci, którzy je chronią i opiekują się nimi, sami nie śnią. W Roju są dwie fantazjotwórczynie, których sny zabiły klientów. Jedna z nich została okaleczona we śnie i wprawdzie żyje, ale jej umysł... albo jest już martwy, albo po prostu nie może normalnie funkcjonować. Druga jest wyjątkowa, ponieważ jej zdolności zostały odkryte dopiero wtedy, gdy była już dorosła. To zdarza się czasem, ale naprawdę bardzo rzadko. Każda rodzina, w której kiedykolwiek przyszła na świat twórczyni snów, doskonale zna objawy tego daru, widoczne już we wczesnym dzieciństwie, i z radością wita utalentowaną dziewczynkę. To zapewnia jej ogromną ilość kredytów. Dlatego takie późne odkrycia zdarzają się rzadko.

-Myślisz, że to ona?

Uśmiech wzruszyła ramionami.

-Co mam na to odpowiedzieć? Dwoch ludzi zmarło podczas snów, które ona stworzyła; sama zaś wyszła z nich nietknięta. Podaje ci tylko fakty.

-Widziałas ją? Rozmawiałaś z nią? - naciskał Burr.

-Nie. Roj trzyma wszystkie fantazjotwórczynie wyższej rangi osobno. Twórczyni, która nie jest zajęta, powinna doskonalić swoje zdolności i zbierać informacje z taśm, potrzebne do budowania snów. Te, które nie śnią, prowadzi bardzo samotne życie.

-Każdy z tych zabitych mężczyzn był atrakcyjnym łupem - zauważył Burr. - Był bogaty albo na stanowisku. Jeżeli ktoś manipulował fantazjotwórczynią, może dostarczył odpowiednie taśmy...' Dziewczyna kiwała głową.

-Tak, to możliwe. Każdy z nas przechowuje w swoim umyśle jakiś własny, prywatny strach. Jeżeli istota tego leku zostanie odkryta, można go zmateriałizować i pogłębić...

-I w ten sposób zabić lub doprowadzić do obłędu! Jednak taka informacja może dostarczyć tylko ktoś dość bliski.

-Co z twoim strachem? - spytała.

-Dostarczyli mi osobowość w szczegółach - mruknął Burr - ale niczego takiego nie pamiętam.

Zaczął chodzić w te i z powrotem, zastanawiając się, czy fantazjotwórczyni potrafi samodzielnie odkryć największy lek tkwiący w człowieku i zmateriałizować go?



Kiedy po chwili spojrzal na dziewczycine, zobaczyl, ze utkwila wzrok w czarnym otworze bramy. Cala jej postac zdradzala napiecie. Nie potrzebował juz innego ostrzezenia. Cos nadchodzilo, ich wrog znow sie poruszył. Jak dotad jednak Burr nie widzial niczego poza gesta ciemnoscia we wnetrzu otworu. Podbiegl do Uahach. Chcial ja poprosic o jakas wskazowke, ale nie przerywal jej skupienia. Wyjasnila mu przeciez wczesniej, ze bedzie musial zniesc wszystko, co ich czeka, do chwili, gdy ona zdolala wlaczyc ich w sen tamtej.

W mrocznym cieniu cos sie poruszylo i zaczelo pelznac. Wysuwalo sie niczym czarny, natretny jezor, przecinajacy swiatlo i powietrze dluga, cetkowana wstega ciemnosci. Burr cofnal sie instynktownie, ciagnac za soba dziewczycine. W tej dziwacznej formie zycia bylo cos, co wywolalo u niego skurcze zoladka i drzenie calego ciala, jakby przewial go mrozny wichor. Zaostrzony leb stwora podniosl sie z ziemi niczym leb jakiegos gada.

Znajdowaly sie na nim jakies wybrzuszenia, ktore teraz otwieraly sie z trzaskiem, odslanjajac czerwone kregi oczu. Burr nie potrafil okreslic, co to za stworzenie i, choc wywolalo ono w nim mdlosci i dziwaczne, nieokreslone uczucia, udalo mu sie pokonac wlasny strach. Moze ta nieznana fantazjotworczyni nie miala zadnych informacji na temat jego ukrytego leku i stworzyla wizje czegos, co bylo najstraszniejsze dla niej? Czarna wstega powoli sunela ku nim.

Jej leb przestal sie chwiac, a okragle oczy wlepione byly w Burra. O ile glowa potwora byla waska, o tyle cielsko wylaniajace sie z otworu okazalo sie obrzmiale, oslizle i tluste, zlozone z trzesacych sie wybrzuszen.

-Nie!

Dziewczyna zaczęła nagle krzyczeć, podnosząc ręce, jakby chciała wepchnąć pelznącego potwora z powrotem do lochu. Na jej twarzy malowały się obrzydzenie i przerażenie. Pokonał ją strach.

X

Burr domyslił się, co się stało. Cios nie był wymierzony w niego, lecz raczej w Uahach. Ich nieprzyjaciel z pewnością musiał się zorientować, że w toczonych przez nich walce, dziewczyna była groźniejszym przeciwnikiem. Wokół pelznącej bestii unosił się obrzydliwy odor, tak gęsty i cuchnący, że Burr poczuł, iż traci oddech. Dotknął ramienia dziewczyny i stwierdził, że cała drży. On nie znalazł tego sunącego potwora, ale ona znalazła go aż nazbyt dobrze.

-Nie poddawaj się! - Potrząsnął nią. - To jest sen... pamiętaj... to tylko sen!

Nie mógł ukończyć jej drżenia, choć zobaczył, że poruszyła głowę. W tym stanie na pewno nie mogła dokonać tego, co zamierzała... wytropić watek, który pomógłby im nawiązać kontakt z tamtą fantazjotwórczynią. Burr zdjął rękę z jej kraglego ramienia i sięgnął do broszy, która spinała pod szyją jej obszerny płaszcz. Rozpiął klamrę i błyskawicznym ruchem uchwycił fałdy materii.

-Odwroc się!

Umieściwszy dźwido między kolanami, ujął brzoги płaszcza w obie dłonie. Materiał był ciasno utkany, lecz śliski w dotyku.

Rozpostarł jednym ruchem tkaninę i z całą wprawą, na jaką tylko było go stac, wyrzucił zewnętrzną krawędź szaty w powietrze. Zwoje materiału opadły na pelznacą bestię. Zanim zdołała się spod nich uwolnić, Burr podskoczył i wbił kilkakrotnie ostrze włóczni w okryte płaszczem cielsko. W głowie, nie w uszach Burra rozległ się cienki, przeraźliwy pisk, który nim wstrząsnął, ale go nie powstrzymał. Na tkaninie pojawiały się plamy. Z dziur wyszarpanych ostrzem dzidy wydobywała się potwornie cuchnaca ciecz. Wyglądało jednak na to, że bestia jest nieśmiertelna, bo ruch pod splamionym i podartym płaszczem nie ustawał. Burr wymierzał cios za ciosem. Czy nie można tego zabić?

Nagle wyczuł w powietrzu znajoma falę gorączkowej wściekłości. Potwór nie ruszał się już.

Zdyszany odsunął się od tobołu okrytego cuchnącą szmatą, choć jego włócznia była wciąż wzniesiona na wypadek kolejnego ataku.

Udech oddychała głęboko, ale kiedy spojrzała na niego, jej wzrok był już przytomny.

-Zdołałaś złapać cokolwiek? - Wiedział, że nadzieja była więcej niż nikła. Zbyt wstrząsnęła ją pojawienie się tego pelznacego potwora.

A jednak skinęła głową.

-Owszem... choć to nie wystarczy. Będzie musiała spróbować jeszcze raz. To... tego się nie spodziewałam. - Wciąż drżąc wskazała na zakrytą bestię.

-To był twój strach. Potrzasnęła głową.

-Nie moj... jej... Uahach! Wygląda na to, że przejęłam od niej coś więcej niż tylko pamięć.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Ten atak był tak przemyślnie zorganizowany... wymierzony nie w Burra, tylko we wspomagającą go fantazjotwórczynię. Gdyby została zabita, tamta osiągnęłaby podwójny cel. Burr przekonał się, że dziewczynię, która mu towarzyszy, grozi nie mniej niż jemu samemu. Kiedy się odezwała, wiedział już, że i ona to rozumiała.

-Chciała mnie wstrząsnąć. - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Ona uważa, że kiedy mnie unieszkodliwi, ty staniesz się łatwym celem!

-Co ona teraz wymyśli? - Jeszcze nie zdążył dokończyć pytania, gdy zdał sobie sprawę z jego bezsensowności. Ta podrabiana fantazjotwórczyni była wprawdzie obdarzona talentem Esperów, ale przewidzenie następnego ruchu ich sniacej przeciwniczki przekraczało jej możliwości.

Usłyszeli jakiś hałas, ale nie dochodził on z ciemnej bramy, lecz raczej ze skalistego klifu.

Burr odwrócił się i to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Ich przeciwniczka nie miała może informacji na temat jego własnego strachu, ale to, co teraz stworzyła, co gramoliło się przez zwietrzałe skały, wzbudziłoby przerażenie w każdym stworzeniu, w którego żyłach płynęła choćby kropla terrianskiej krwi.

Każda planeta ma swoje leki. Istniał jednak jeden taki, który przewyższał wszystkie inne, a w przeszłości dwukrotnie doprowadził do rozpaczliwego kroku - spalenia całego zarzonego świata, aby straszliwa śmierć, która rozpełzła się po jego powierzchni, nie zniszczyła całej galaktyki. To... to, co zmierzało chwiejnym krokiem w ich kierunku... Burr widział coś podobnego na ostrzegających tasmach tri-dee, które musiał zapamiętać każdy agent podczas pierwszego treningu. To kwilące stworzenie było chyba kiedyś istotą ludzką, albo też podobna do ludzi krzyżówka rasy Terrian. Właśnie ta rasa była najbardziej podatna na tkwiące w nim niebezpieczeństwo. Dodatkowe przekleństwo tej choroby, powodującej rozkład za życia, polegało na tym, że osoba nią zarazona dążyła do tego, by zarazić innych.

Dotknięcie, oddech z na pol zgnilego gardła... tysiące różnych rzeczy, które mogły przenosić wirusa... wirusa, który żył własnym, złowieszczym życiem, karmił się nie tylko ciałem swej ofiary, ale i jej topniejącym umysłem, aby dowiedzieć się, gdzie i kiedy będzie mógł zaatakować kolejną ofiarę.

Ta istota, już martwa, poruszała się jeszcze, sterowana wolą stworzenia, które zabiło ją w tak okrutny sposób, ale jeszcze nie opuściło jej ciała. Cały instynkt Burra ponaglał go do ucieczki, choć wiedział, że nic nie może mu pomóc. Jeśli to raz weszło mu w drogę, będzie niezmordowanie podążać jego śladami. Ponieważ było już martwe, istniała przeciw temu tylko jedna broń - miotacz ognia. Było to zagrożenie dla nich obojga. Wyglądało na to, że tamta fantazjotwórczyni postanowiła zabić ich oboje jednym, najsilniejszym ciosem. Burr nie przestawał powtarzać sobie, że to tylko sen, że jedynie wtedy, gdy uzna go za

rzeczywistosc, ta rzecz zyska moc zabijania. Jednak tkwiacy w jego genach lek przed ta choroba byl tak wielki, ze ow logiczny argument okazal sie zbyt slaby.

Morze... za plecami tej istoty klebilo sie morze, a klif byl wysoki. Gdyby znalazl sie jakis sposob na stracenie jej w dol, zyskaliby na czasie, gdyz to polamane, strawione ciało długo musialoby pokonywac tak trudna przeszkode, by odnalezc ich slad. Burr, zaciskajac zeby, podszedl do zabitego potwora i zerwal z niego plaszcz, nie zwracajac uwagi na obrzydliwa miazge, w jaka zamienilo sie jego ciało..

-Masz jeszcze ten obciazonny sznur? - rzucil przez ramie.

Nie odpowiedziala, a kiedy sie odwrocil, zobaczyl, ze byla juz pograzona w transie. Tym razem zblizajaca sie maskara nie poruszyla jej; starala sie wysledzic droge, jaka przebyla od tego, kto ja stworzyl. Burr sam odnalazl wiec sznur przytroczony do jej pasa.

Szarpnal mocno, ale nawet nie zwrocila na to uwagi. On zas zdobył line. Odwrocil sie teraz i ruszyl na spotkanie pelznacej potwornosci. Lina byla dla niego zupełnie nowa bronia, ale nie miał nic innego. Nawet gdyby dopuscil to cos blisko siebie, aby zadac cios wlocznia, nie przyniosloby mu to zadnych korzyści, bowiem dopoki istnialy gnijace nogi, dopoki istnialy kosci jej konczyn istota ta mogla pelznac. Zakrecil sznurem nad glowa, tak jak robila to dziewczyna.

Szansa byla niewielka, ale jedyna. Zwolnil line i zobaczyl, jak sznur przecina powietrze i opasuje monstrum nieco ponizej bioder, akurat w tej samej chwili, kiedy wspinalo sie ono na skale,

z ktorej moglo zeskoczyc tuż przy nich. Teraz upadlo jednak na skutek uderzenia. Burr natychmiast zarzucil plaszcz na czolgajaca sie istote, tak samo jak poprzednio przykryl tamto oslizle stworzenie. Probowala sie uwolnic, a przez jeden z zaplamionych otworow wysunela sie odarta do kosci konczynna. Jednak Burr byl juz gotow. Odwracajac dzide, szturchnal drzewcem poruszajacy sie lach. Jego bron dwa razy uderzala z loskotem, spychajac to ku krawedzi klifu. Z calej sily, gdyz istota zdolala znow uniesc sie na kolana, uderzyl po raz trzeci, w sam srodek ukrytej pod plaszczem postaci. Tym razem odsunal ja dosc daleko. Przez chwile bal sie, ze to nie wystarczy. Po chwili jednak, gdy potwor probowal sie podniesc i odzyskac rownowage, nagle zatoczyl sie do tyłu i zniknal w dole, w morskich glebinach.

## XI

-Mamy na jakis czas spokoj - wykrzyknal z ulga. Jednak kiedy spojrzal na Uahach, stwierdzil, ze nawet nie poruszyla glowa. Mogla nawet nie zauwazyc jego malego zwyciestwa. Chociaz jej usta poruszyly sie...-Chodz.

Nie wypowiedziala tego slowa na glos, odczytal je z ruchu jej warg. Jej lewa reka poruszala sie w pewnej odleglosci od tulowia, jakby poszukiwala czegos, co miala uchwycic.

Burr rzucil sie do przodu i mocno ujal jej dlon. Czy dokonala tego... znalazla wejscie do snu wroga?... Nie smial w to uwierzyc. Swiat ogarnela kompletna ciemnosc, trudna do wyobrazenia czern pochlaniajaca wszystko.

Burr nie czul juz nawet, czy wciaz trzyma ja za reke, czy w ogole

jest polaczony z dziewczyna. Mrok wypelnialo poczucie jakiegos pospiechu... Czy tak konczy sie sen?

Wrazenie zagubienia znow obudzilo w nim strach. Czy nie zostana teraz uwiezieni w tej prozni...? Uwiezieni na zawsze? Przed oczyma mignely mu dwa obrazy, zamglone skaly i wieza. Burr mial uczucie, jakby ciagnieto go w dwoch przeciwnych kierunkach.

Pozniej poczul bol, ktory nie porazil mu ciala, lecz samo wnetrze duszy. Zapadla calkowita ciemnosc i nasililo sie wrazenie podrozy w przestrzeni. Potem czern ustapila i jego oczom ukazal sie jakis zamglony obraz. Tym razem nie byla to wieza ani skaly, lecz cialo ulozone na czymś, czego nawet nie widzial. Jakas sila przyciagala go do tego ciala. Ono snilo, a polowa glowy spiacego byla ukryta w helmie, wzmacniajacym i podtrzymujacym senna wiez.

W tej samej chwili Burr poczul wokol siebie cos dziwnego. Nie byl to wymierzony w niego gniew, jakiego doswiadczal przedtem... nie, byla to raczej potrzeba dzialania, stanowcza i kategoryczna. Nie promieniowala ona od spiacego, lecz skads obok niego samego. Zobaczyl, jak z nicosci wylania sie jakas dlon z zagietymi palcami, jakby chciala zedrzec z glowy spiacego helm. Rownoczesnie dotarl do niego bezslowny rozkaz:

-Juz! Podaj mi... juz!

Bezwolnie, bez udzialu swiadomosci, pojawila sie w nim chec wypelnienia tego rozkazu.

Musi, calym wysilkiem woli, nadac tej dloni materialny ksztalt.



Poczuł napływ siły, jakiej nigdy by się u siebie nie spodziewał, a wkrótce potem odpływ tej energii. Dłoń zgestniała, stała się bardziej realna. Wciąż wyciągała z niego moc i zbliżała się bardzo powoli, poruszając się małymi drgnieniami, jakby przedzierała się przez jakąś grubą zasłonę. Nie miał już siły dawać więcej, ale musiał! Jeśli ta dłoń nie spełni swej misji, będzie zgubiony na zawsze. Burr nie miał pojęcia, skąd to wiedział, ale wiedział na pewno, jakby ta wiedza była cząstką przekazanych mu informacji. Dłoń przesuwiała się powoli... zbyt powoli. Był już taki osłabiony przekazywaniem jej energii, że czuł się tylko strzępem człowieka, podatnym na byle podmuch.

Zagięte palce wyprostowały się nieco. Nie przypominały już szponów. Palec wskazujący kierował się ku klatce piersiowej spiacego. Burr nie przerywał swego wysiłku.

Toczył walkę, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył, do jakiej nie był przygotowany. Wszystko zależało od jednego palca, od jednego dotknięcia, ale musi ono nastąpić szybko... bardzo szybko! Reka nadal zniżala się nierównym tempem, jakby żywiła ją energia napływająca i odpływająca co jakiś czas. Wreszcie palec wskazujący dotknął ciała spiacego, który przez cały ten czas nie był świadomy tego, co się z nim działo, a przynajmniej tak wydawało się Burrowi, od kiedy znalazł się przy jego boku. Spiący poruszył się, jakby ten palec był dobrze wymierzonym stalowym ostrzem. Usta, widoczne pod krawędzią helmu, skrzywiły się w jakimś grymasie, a może przekleństwie. Burr jednak nie usłyszał ani nie zrozumiał tych słów. Znowu pochłonęła go ciemność... Był zgubiony...

Ocknął się, czując jakiś ostry ból. Tym razem nie tkwił on gdzieś w jego wnętrzu, był to ból cielesny. Ten straszliwy wirus?

Wyobraznia podsunela mu obrazistoty wspinajacej sie po klifie, by uchwycic go w pulapke, by...

Z trudem lapiac powietrze, otworzyl oczy. Pochylal sie nad nim mezczyzna w stroju z insygniami sluzby medycznej i przygladal mu sie z uwaga. Burr zamrugal raz i drugi. Byl oszolomiony.

-Bedzie dobrze... - Nawet te slowa wypowiedziane w Basicu brzmialy dziwacznie i jakby z oddali.

Cialo mial zesztwniale i z trudem podniosl roztrzesione dlonie. Helm zniknal.

Wrocil! Swiadomosc tego uderzyla go fala ciepla. Uniosl sie na sofie.

-Uahach? - zapytal drzacym glosem.

-Dojdzie do siebie - zapewnil go medyk. - Juz wkrótce, choc...

-Ta druga! - Przypomnial sobie Burr. - Tamta fantazjotwórczyni...

Zobaczyl zwezajace sie oczy medyka. Ten czlowiek byl powiazany z Rada HQ na planecie, wiedzial wszystko o ich eksperymencie.

-Ona... - Uslyszal Burr glos rownie slaby jak swoj.

Senny helm zostal zdjety. Szczupla dziewczyna o kedzierzawych, krotko obcietych, ciemnobrazowych wlosach i ostrych rysach, z twarza wymizerowana, jak u zaglodzonych, siedziala na sasiedniej lezance. Splotla przed soba szczuple ramiona i byla tak inna od znanej mu Kaitilih, ze trudno bylo

nawet porównywać to chude, bezbarwne stworzenie z jego towarzyszką snu.

-Chodź... - Uahach spróbowała wstać, ale zachwiała się i upadła. Medyk odwrócił się szybko.

-Leż spokojnie! - nakazał.

-Nie! - odparła z naciskiem. - Musimy... zaraz... iść... do niej! Burr chwiejnie stanął na nogach. Był tak słaby, jakby opuścił owego koszmar poważnie ranny.

-Ona ma rację - powiedział - trzeba z tym skończyć. Ucieszył się, kiedy pojawił się inny człowiek w mundurze strażnika i stanął obok niego, by mu pomóc. Medyk tymczasem, z wyraźną dezaprobatą dla ich zachowania, pomagał Uahach stanąć na nogi.

-Gdzie ona jest? - zapytał Burr.

-Zgubiona... tam... - Słaba odpowiedź Uahach nie była do końca zrozumiała.

Kiedy medyk wyprowadził ją z pokoju, tuż za drzwiami natknęli się na patrząca na nich bez wyrazu Matke Foost. Nie odsunęła się, zagradzała im drogę.

-Na rozkaz twych panów - warknął medyk - pozwól nam przejść.

-Nie wolno włamywać się do Roju! - odrzekła ostro.

-W tym przypadku wolno. - Medyk jednym ruchem głowy przywołał kolejnego strażnika. - Odsun się, bo inaczej zostaniesz

odsunięta!

Jej twarz wykrzywiła się w grymasie nienawiści.

-Za dużo sobie pozwalacie, wy, przybysze z za świata. Roju nie można wykorzystywać w ten sposób.

-A jeśli ty posłużyłaś się nim, żeby mordować? - zapytał Burr.

Odwrociła się ku niemu, jej twarz znowu była pozbawiona wyrazu.

-To nieprawda. Dowiodłam już tego, sprawdziliście moją niewinność waszymi metodami.

-Ale ukrywasz morderczynie, która nie jest niewinna - odparł medyk. - Idziemy właśnie po nią. Potem zbadamy jej umysł. Może powinnas pozbyć się tych, którzy psują Rojowi reputację.

-Roj jest bez winy. Fantazjotwórczynie nie potrafią zabijać... - Nie ustępowała.

-Może udowodnic - odezwał się Burr - że przynajmniej próbują...

Słabość powoli ustępowała, mogła już stać o własnych siłach.

Udech nie odzywała się. Miała skupioną twarz i napięte mięśnie, tak jak wtedy, gdy wszystkie swoje siły skoncentrowała na poszukiwaniu nieznannej przeciwniczki.

Medyk spojrzał na nią i warknął.

-Odsun się!

Tym razem Matka Foost skwapliwie wykonała polecenie. Przeszli przez hol i skrecili w drugi korytarz. Wladczyni Roju szla za nimi, bo uslyszeli kolejny glosny protest:

-Tam nie ma pokojow snu... Nie wolno wam wchodzic do prywatnych komnat!

Medyk nawet jej nie odpowiedzial. Prowadzil Uahach, podtrzymujac ja ramieniem.

Burr domyslal sie, ze wysilek, jaki wlozyla ta esperyjska dziewczyna w to, by mogli tu powrocic, znacznie przewyzszal jego w tym udzial. Teraz jednak szla pewnie, jakby potrzeba odnalezienia zrodla energii, ktora probowala uwiezic ich w swiecie snu, byla silniejsza od jej slabosci. Wreszcie zatrzymala sie chwiejnie przed jakimis drzwiami w glebi korytarza i wyciagnela reke, dotykajac zamknietego portalu.

-Wewnatrz... - W jej glosie nie bylo juz sily.

## XII

Na znak dany przez medyka, straznik, ktory stal przy Matce Foost, polozyl dlon na klamce. Przez chwile wydawalo sie, ze drzwi zostaly zamkniete przed intruzami. Potem zaczely sie odsuwac, powoli, jakby z ociaganiem. Ze srodka dobiegalo jakies kwilenie, ktore moglo wydawac chore zwierze. Medyk zajrzal do wnetrza ponad glowa Uahach. Byl wyraznie wstrzasniety, tym co zobaczyl, bo natychmiast odciagnal Uahach do tylu i ramieniem zagrodzil droge Burrowi.

-Zamknij to, do cholery! - wrzasnal.

Straznik, nie mniej przerażony, zatrzasnął drzwi. Burr zdążył jednak rzucić okiem na to, co leżało na sofie i próbowało się podnieść. Zobaczył ślepa, gnijącą twarz, zwracającą się badawczo ku tym, których chciała uczynić swymi ofiarami. Nie była tak agresywna, jak na klifie, ale była to ta sama potworna zaraza. Burr podszedł szybko, by podtrzymać Uahach, a lekarz zaczął wydawać polecenia strażnikom.

Burr odprowadził dziewczynę do jej pokoju. Kiedy ułożył ją na sofie i usiadł obok, podtrzymując ją ramieniem, odezwała się powoli:

-To... zawróciło. To, co wyszła przeciwko nam, stało się cząstką niej samej.

-Jak to się mogło stać? - spytał Burr. Staral się zapomnieć o tym, co zobaczył w tamtej komnacie, co musi teraz zostać zniszczone, bez litości i jak najprędzej.

-Nie wiem - odpowiedziała Uahach. - Choc myśle, że ona nie była prawdziwą fantazjotwórczynią, a przynajmniej nie taka, jakiej spotyka się w Ty-Kry. Używała swego talentu po to, by zabijać. Mówiono, że jej talent rozwinał się późno... może była kims innym, jakas mutacja wyższego stopnia. Myśle, że próbowała nadsłać na nas tę pelzającą śmierć, kiedy udało nam się przerwać sen. Wtedy, nie wiem jak, siła powróciła do tej, która ją wysłała.

Nazywali ją Dynamis. Musimy dowiedzieć się, skąd przybyła i kto kryje się, a może krył, za całą tą sprawą.

-To już nie do nas należy - powiedział Burr. - Niech teraz weźmie się za to te wyszkolone psy.

Uahach westchnela.

-Musimy zlozyc raport...

-Co do tego sie zgadzam. Jednak reszte zostawimy Organizacji. My zas, jestem o tym przekonany, powinniśmy odpoczac. Nawiasem mowiac - dodal po chwili to jak sie naprawde nazywasz? Nie chcialbym pozostac przy Kaitilih, choc byla dzielna wojowniczką, ani przy Uahach, fantazjotwórczyni... Wstrzasnela sie.

-Nie jestem fantazjotwórczynia! - Tym stwierdzeniem pragnela chyba oddalic wszystko, co im dotad grozilo, nawet ten potworny widok w jednej z komnat Roju.

Burr usmiechnal sie.

-Z pewnoscia! Powiadaja, ze Avalon to cudowna, wypoczynkowa planeta. Zanim jednak zaczniesz sie starac o miejsca, musze znac twoje imie.

-Jestem Ludia Tanguly - odpowiedziala z powaga. - Tak, naprawde, jestem Ludia Tanguly! - Powtorzyla, jakby musiala upewnic sie co do wlasnej tozsamosci, upewnic sie, ze nie zostalo w niej nic z Uahach.

Burr skinal glowa.

-Znakomicie, Ludia, teraz musimy udac sie do HQ i zlozyc udokumentowany raport, natomiast pozniej...

Wyprostowala sie w jego objeciach, jakby powoli wracaly jej sily.

-Natomiast później... rozważę twoją propozycję - zakończyła z absolutną powagą.

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-23

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)